ZORZA.

ZORZA

DZIENNIK

MŁODEMU WIEKOWI

POŚWIĘCONY.

Kto garstką ziemię nosi, góry się doczeka.
Czyń każdy w swojém kółku co każe duch boży
A całość sama się złoży.

K. Brodziński.

TOM VI.

WARSZAWA,

W DRUKARNI POD FIRMĄ M. CHMIELEWSKIEGO

przy ulicy Senatorskiéj. Nr 463.

—

1844.

Wolno drukować z warunkiem złożenia w komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie dnia 23 *Lutego (7 Marca)* 1844 r.

Cenzor starszy i naczelnik

Niezabitowski.

MANNA NA PUSZCZY

(z fran. z przypowieści Ks. Bonawentury).

Manna którą Bóg dał Izraelitom na puszczy, jest bardzo naturalnym obrazem dóbr tego świata.

1. Manna była nieznaną. Gdy Izraelici po pierwszy raz ujrzeli pola tym gatunkiem ziarna okryte, mocno się zdziwili i jedni drugich pytali: Man-hu? Co to jest? To więc pytanie w języku hebrajskim, dało nazwę ziarnu: manna. Podobnie można nazwać wszystkie dobra tego świata: Man-hu? Co to jest?— Młode osoby co poczynacie otwarzać oczy i odróżniać przedmioty rozrzucone po ziemi, nie sądźcie o nich wedle wrażenia swych zmysłów.— Postrzegacie na świecie bogactwa, dostojeństwa, rozkosze. Nim serce tym przedmiotom oddacie, wprzódy starajcie się je poznać i pytajcie się: Man-hu? Co to jest? Pytajcie się swoich sędziwych rodziców, roztropnego kierownika;

pytajcie się szczególniéj ojca światłości, abyście się nie pomylili we względzie natury i użycia tych dóbr. Widzicie że większa część ludzi ugania się za témi dobrami; że pracują bez przestanku około ich nabycia i że usiłują pomnażać je codziennie; lecz widzicie także i takich ludzi, co témi dobrami pogardzają, lękają ich się, i wyrzekają. Ztego, bierzcie powód do pytania się: Man-hu? Co to jest? zkąd ta różnica w sądzeniu i postępowaniu?

2. Manna była koloru białego, przezroczysta, połyskująca się jak kryształ. Dobra tego świata mają te same własności; są one świetne, powabne i mamiące: lecz nie uwodźcie się ich blaskiem: nim poczniecie o nie się starać i ich używać, zapytajcie się wprzódy: Man-hu? Co to jest?

3. Manna z nieba spadała. Dóbr świata Bog jest twórcą, Bóg-ci to stworzył ziemię. Na jego to rozkaz wydaje ona tak wiele rozmaitych istot, tak wiele gatunków owoców, tyle kruszców i rozmaitych bogactw. Bóg-ci to popostanawiał rozmaite między ludźmi dostojeństwa. On to stanowi królow, mocarzy wielkich, ludzi znakomitych; On to udziela im téj chwały i świetności jaka ich otacza: On także uczynił ubogiego i biednego; człowieka nieznanego i bez talentów, i ich utrzymuje w ich upokorzeniu i poniżeniu. Bóg nareszcie jest stwórcą wszystkich przyje-

mności na ziemi, On-ci to dał waszemu ciału zmysły, i waszéj duszy władzę i zdolności potrzebne do używania. Ta pierwsza prawda wiedzie do drugiéj, to jest: że Bóg tworząc te dobra miał swoje widoki, i swe zamiary do których obowiązane jesteście stosować się, i kiedyś zażąda od was sprawienia się ze sposobu w jaki ich używacie, będzie uważał czyli w użyciu tych dóbr zastosowałyście się do jego praw, czyli też niemi pogardziłyście. Jeśli więc między témi dobrami są takie których użycie jest wam zakazane dla wyprobowania waszéj wierności, to powinnością jest waszą wstrzymać się od ich użycia; jeżeli sposób ich użycia jest oznaczony, powinnością jest waszą, zachować go i trzymać się w przepisanych granicach umiarkowania, sprawiedliwości i miłości, i nie żyć tak jak gdybyście w nabyciu, posiadaniu i ich używaniu nie miały wcale Pana, i jak gdyby wszystko było wam dozwolone.

4. Manna było to bardzo małe ziarnko; wyraża więc dobrze małość dóbr, wielkości i uciech tego świata, sądź o nich nie z tego co o nich mówią ludzie światowi ale z zadowolenia jakie im dają. Zapytaj się ich, lub przypatrz się im z bliska: a pomiędzy tymi co tych dóbr używają z największém upodobaniem i najobficiéj, nie

znajdziesz ani jednego coby był niémi zadowolony.

5. Manna, było to dobro niestałe, miała służyć za pokarm Hebrajczykom tylko podczas ich podróży przez puszczę, to jest: pókiby nie weszli do ziemi obiecanéj; po czém już daléj nie miało być manny. Podobnie dobra tego świata są nam dane ku utrzymaniu nas na puszczy i podczas pielgrzymki tego żywotu: lecz przy śmierci która będzie naszém wejściem do wieczności zastąpią je inne dobra, inna chwała, inne przyjemności. Dobra tego świata będą wówczas niczém dla nas: zarówno postradają ich nierozumni co swe serce do nich przywiązywali, jak i prawdziwie mądrzy którzy niémi pogardzali, i używali ich tylko według woli Boga.

6. Miara manny była oznaczona dla każdego. Każdy powinien był uzbierać co dzień gomor (1). Ci co przez łakomstwo więcéj zbierali, nie mieli żadnéj korzyści, bo powróciwszy do domu w naczyniu w które zbierali, znajdywali tylko miarę przepisaną. Miara dóbr tego świata, jest także dla każdego oznaczoną; i tą miarą jest potrzeba każdego wedle jego stanu. Gdyby każdy trzymał się téj miary przez Opatrzność oznaczonéj, dość dóbr pozostałoby dla każdego i niktby niezosta-

(1) Miara.

wał w niedostatku. Lecz na cóż się przyda łakomcy gromadzić skarby? Pożyważ ich więcéj? Częstokroć mniéj. Na co się przyda bogaczowi gromadzić tyle uciech i im się oddawać? Jestże on szczęśliwszy? cieszyż się on lepszém zdrowiem? Przeciwnie, jest on najczęściéj daleko słabszym i niezdolniejszym do kosztowania rozkoszy niewinnych i umiarkowanych których mógłby używać.

7. Manna wymagała czuwania i pracy. Zbierać ją trzeba było przed wschodem słońca; potrzeba było mleć ją, gnieść, gotować i robić z niéj chléb. Ubóstwo i niedostatek które są skutkiem niedbalstwa i próżniactwa, nie zasługuje na politowanie. Pracuj więc i ufaj w Bogu, a nie będzie ci zbywało na kawałku chleba.

8. Manna ulegała zepsuciu. Kto chciał ją zachować na drugi dzień, znajdował ją nazajutrz zepsutą, i pełną robactwa;— jest to wyraźna skazówka jak mało możemy my polegać na dobrach tego świata. Robacy, złodzieje, zły zarząd, niesprawiedliwość ludzka, słota, zamieszanie w porach roku, tysiączne nieprzewidziane przypadki, pozbawiają ludzi codziennie tych dóbr, na które im się zdawało że bezpiecznie mogą liczyć.

9. Manna w pewnych okolicznościach nie ulegała zepsuciu. W piątek zbierano dwa gomory, z tych jeden zachowywał się bez zepsucia aż do

soboty, ponieważ był uzbierany dla zachowania w sobotę prawa świętego spoczynku. Mojżesz jeden gomor manny włożył do arki chcąc go przenieść do ziemi obiecanéj, aby dla Hebrajczyków był pomnikiem dobroci Boga względem nich, i aby przypomnienie odebranych dobrodziejstw obudzało w nich miłość i ufność, i ten gomor manny nie psuł się. Ziemia obiecana i odpoczynek sabatu, były obrazem nieba i wieczności. Użycie dóbr tego świata dla Boga, dla nieba, dla zbawienia i ku podźwignieniu niedoli bliźniego zamienia ich naturę i jakość. Skazitelne robi nieskazitelnemi; znikome i przechodnie, czyni trwałémi; czasowe, wiecznemi; szczęśliwy kto się zna na téj godnéj podziwienia i boskiéj sztuce!

10. Manna nareszcie miała różne smaki, stosownie do usposobień ją pożywających: dla jednych była niesmaczną i obmierzłą, a dla drugich nader przyjemną i wyśmienitą; podobnie dobra tego świata stosownie jak ich ludzie używają w tém życiu, dla jednych przygotują w wieczności niesmak i nieznośną gorycz, a dla drugich niewymowne przyjemności.

X. P. Rzewuski.

MAJÓWKA.

—Mamo kochana! wszakże to jutro pierwszego maja? pytała pieszczotliwie Ludwinia.

— Tak, moje dziecię odrzekła matka.

Chwila milczenia nastała — matka zajęta robotą nie uważała na zesmutniałą twarzyczkę Ludwini, ale domyślny braciszek odgadł przyczynę pytania i dodał:

— Jutro pierwszego maja, o tém doskonale wiemy, ale mama zapomiała może — my mamy obietnicę....

— I owszem, pamiętam dobrze o majówce, tylko myślałam żeście już do niéj stracili ochotę — na majówkę tak rano wstać trzeba!

— O! my wstaniemy, kochana mamo, wołały uradowane dzieci, i przybiegły całować ręce ma-

tki;—jutro, jutro jeżeli będzie pogoda mama nas bardzo wcześnie obudzić każe.

Matka przystała na żądanie dzieci, kazała czynić przygotowania, one się téż zajęły. Ludwinia stroiła lalki na jutrzejszą przechadzkę.— Braciszek jéj Adaś siodłał drewnianego konika, znosił bębenki, szabelki, ładownice jakby się na wielką wojenną zabierał wyprawę, a tyle było uciechy, tyle szczęścia, że dawno dzieci niepamiętały dnia tak radosnego.

Wcześnie się spać wszyscy pokładli by raniéj wstać nazajutrz, lecz dzieciom radość sen odejmowała, a kiedy znużenie kleiło oczki na chwilę, to znowu ponętne obrazy zbytkiem powabu ze słodkich budziły marzeń, i zaledwie pierwszym brzaskiem poranna zorza zajrzała w okienko, już Ludwinia wołała Adasia, już Adaś żegnał się drobną rączką i dzień-dobry siostrzyczce zasyłał. Wstali śpiesznie, włożyli przygotowane sukienki i razem odmówiwszy paciorek wsunęli się cichutko do pokoju matki, chcieli zobaczyć czy prędko się zbudzi? czy może na nich już czeka?

— Takie-to wy ranne ptaszki? zawołała matka do wchodzących— jakto? wy już nawet zupełnie ubrane, a Helenka, Teoś, Jaś, Józia i Alinka czy się już zgromadzili?

— Alboż tamte dzieci miały iść z nami?

— Tak, moi drodzy, chcąc wam zrobić większą przyjemność zaprosiłam waszych małych przyjaciół.— Dzieci nie posiadały się z radości; wtém lekki szmer w drugim pokoju i kilka znajomych głosów oznajmiło przybycie zapowiedzianych gości, Adaś z Ludwinią wybiegł na ich powitanie, matka się prędko wybrała i ojciec przybył połączyć się z nimi.

— Adasiu! zapytała Ludwinia, czyś ty wziął woreczek z pieniędzmi?— na majówce przydać się mogą.

Adaś pobiegł do szkatułki, bo i wszyscy jego mali towarzysze mieli pieniądze z sobą.

— No, już wszyscy gotowi, powiedział ojciec, ale dokąd pójdziemy? jaką wybieracie stronę? nasza Warszawa tak wiele ma ślicznych okolic!

— Łazienki, Mokotów, Sielce, wołały połączone głosy ale większość była za Bielanami, więc Bielany wybrano za cel majówki.

— Ale na Bielany trochę zadaleko, myśliłem ja już o tém wprzódy— i kazałem przygotować powozy które nas do rogatek dowiozą.

Spiesznie mieścili się wszyscy do dwóch obszernych powozów, Adaś uradowany towarzystwem małych przyjaciół zaniechał swoich zabawek, Ludwinia lalek nie wzięła. Przejeżdzali prędko niezaludnione jeszcze ulice miasta, gdzie-niegdzie

tylko wózek mleczarki znajomy turkot rozsyłał, lub z trzaskiem otwierały się drzwi małego sklepiku. Do kościoła już otwartego na primarję wzywał dzwonek, i kilku starców wolnym krokiem ku domowi Pańskiemu zmierzało. Dzieci wszystkiemu się dziwiły, cieszyły wszystkiém. Ale otóż i rogatka— wyskakują ochoczo i biegną naprzód, i gwarzą rozgłośnie; za niemi postępuje matka wsparta na ramieniu ojca, i cieszą się dobrzy rodzice weselem dzieci. Łączka nadbrzeżna przy wspaniałém korycie Wisły, jest metą pierwszego wytchnienia. Zasiadło radosne gronko na murawie, służący zasiłek z koszyków dobywa,— ale ich więcéj zajmuje rumiane niebo i wychodzące z za krańców widnokręgu jasne promienie. To słońce wschodzi! już widać złocisty brzeżek wspaniałéj gwiazdy dziennéj, już w czystéj Wisły nurtach odbija się boskie światło. Dzieci z zachwyceniem spoglądają na nieznane zjawisko, tak obce mieszkańcom miasta, serca młodociane napełnia słodkie uczucie, a matka troskliwa myśl ich ku Bogu wznosi— a ojciec potém tłumaczy układ świata. Lecz już czas w dalszą iśdź drogę— dzieci z uniesieniem dziękują rodzicom za tak śliczne dnia rozpoczęcie.

Już większą połowę drogi przebyli— nikt nie czuje zmęczenia taka rozmaitość zabaw i miejsca. Dopiero przypatrują się okolicznym wioskom, już

szybkie rozpoczynają wyścigi. Dziewczynki wyprzedziwszy chłopczyków w biegu, znaczą metę gonitwy— ojciec klaśnięciem daje znak zaczęcia, a chłopczyki niby wspinając dzielnych rumaków, okrzyki i trzask spicrutek rozsyłają w powietrze; zwycięzca dostaje w nagrodę zieloną gałązkę, którą tryumfalnie do kapelusza przypina i znowu taż sama kolej innym o nagrodę ubiegać się pozwala. Nareszcie zmęczone wolniéj iśdź muszą— ale żywa wyobraźnia nową znajduje zabawę. Teraz to pielgrzymka do świętego miejsca; wielkie łopianu liście, jakby chorągwie unoszą się nad ich głowami, a dzwięczne głosy chóralnie nucą cudne pieśni Karpińskiego. Zawtórował im dzwonek i już przez ciemne drzew gałęzie bielą się mury kościoła— już są w Bielanach, ani spostrzegli jak droga zeszła. Wysłuchali mszy świętéj pośród małego gronka nielicznych mieszkańców osady— msza w wiejskim kościołku ma niewymowny urok dla serc tkliwych, wzniosła pobożność dzieci i rodziców rozczuliła. Po mszy odmówiły paciórek na grobie szlachetnego człowieka, który życie swoje dla cierpiącéj poświęcił ludzkości. Pod skromnym kamieniem spoczywają ostatnie jego szczątki, dusza może z górnych krain uśmiecha się ku modlącym dziatkom, bo błędy człowieka musiały nagrodzić anielskiéj duszy popędy.

Teraz wszyscy biegną do zdroju. Niedaleko od kościołka z góry wśród lasku wypływa źródło doskonałéj wody. Zachęca przejrzystością swoją, orzeźwia miłym chłodem. Źródło obmurowane pięknie, przy niém kilka ławeczek dla strudzonych podróżników, nad źródłem wokoło lasek pełen świeżości i woni— a obok źródła gościniec wije się krętą wstęgą. Napoiwszy się krzepiącą wodą biegną wszyscy na górkę i tam zakładają obóz. Matka dzieli między nich pożywienie; potém rozbiegają się znów po lasku zbierać wonne fijołki których takie mnóstwo rośnie, i skaczą wesoło, i śpiewają w zawody z ptaszkami, które się także zielonością drzewin, ciepłą wiosną cieszą.

Równianki z skromnych fijołków przyniosły dzieci rodzicom i siadły odpocząć trochę, a Adaś zapytuje:

— Mój ojcze kochany, któż-to wymyślił majówkę? ach! jak my wdzięczne mu za to, powiedz nam, powiedz ojcze!

— O! wszyscy bardzo prosimy— zawołały tłumnie inne dzieci.

— Nie potrafię w tym względzie zaspokoić ciekawości waszéj dziatki kochane, odpowiedział ojciec, zwyczaj odbywania majówek dawnych sięga czasów i zdaje się że przez nikogo nie wymyślony szczególnie, od całéj młodzieży mile przy-

jęty i przechowany.— Już-to we wszystkich zgromadzeniach uczniów — pracowite i siedzące prowadzących życie były wyznaczone pewne dni wolne od nauk; w dni te częstokroć wspólne odbywają się przechadzki. Przechadzki te nietak częste w zimie, musiały ustawać także w chwilach przejścia z zimy na wiosnę, dla wilgoci i nieustalonéj pogody — maj dopiero pierwszy z prawdziwie wiośnianych w naszym kraju miesięcy— powracał te przechadzki do dawnego trybu; łatwo więc pojąć jak uroczyście święconą być mogła pierwsza wycieczka. Odżywiona natura, świeża zieloność pokrywająca łąki i drzewa, świergot radujących się ptasząt, wszystko to powiększało urok spaceru; do powierzchownych przyjemności łączyła się miła nadzieja przyszłych plonów rolnika, i wdzięczność Bogu że tak pięknym świat utworzył zajmowała serce. Dawnémi czasy uczniowie wielu przygotowaniami poprzedzali pierwszy majowy spacer czyli tak zwaną majówkę. Każde szkoły miały do tego celu już ułożone obrządki które z przyzwoleniem professorów corok jednakowym porządkiem się odbywały. W jednych miejscach wszystkie klassy dzieliły się na dwa oddziały — jeden przybierał nazwę pułków koronnych, inny w tatarskie lub tureckie odzian szaty— staczał walkę zaciętą. Ubiory zawsze stosowały się do form przyjętych— trąby i bę-

bny przewodniczyły hufcom, chorągwie powiewały na czele oddziałów.— W innych znów szkołach robiono cóś podobnego do maskarady—różnonarodowe przybranie okrywało uczniów. W innych jedno wojsko stanowiąc wszyscy— całą przyjemność zasadzali na odbyciu pochodu. Na kilka miesięcy przed majówką już umiejący grać na jakim instrumencie sposobili się wspólnie, inni gotowali oznaki wojskowości w chwilach wolnych od nauk. Najpilniejszy z całéj klassy był razem jéj dowódcą. i miał prawo jechać konno. Prymus najwyższéj klassy naczelnym wodzem się stawał. W dzień pierwszego maja zupełnie po wojskowemu apel zwoływał do szeregów— i w całym porządku uszykowane studenckie wojsko, przy odgłosie muzyki zmierzało ku przeznaczonemu celowi majówki. Starsi przewodniczyli téj miłéj zabawie, która zwykle dopiero z końcem dnia ustawała.— Dziś jeszcze w wielu miejscach podobne majówki się odbywają, lubo wiele zmienionym sposobem, ale jakkolwiek majówka obchodzoną będzie przez was dziatki miłe, pomnijcie w dniu tym najprzód dziękować Bogu za dar nowéj wiosny, i dzień ten oznaczcie zawsze czynem, któryby takie sercu wspomnienie zostawił, jakie zabawy w dniu tym pamięci przyniosą.

Dzieci spojrzały po sobie, jakby potwierdzając myśl podaną.

— Mamo, powiedziała Ludwinia, ojciec nam mówił tylko o majówkach studentów, czy też dziewczynki nigdy swoich majówek nie miały?

— I owszem, odpowiedziała matka, w instytutach panienek są także dni majówek, ale że zwykle kobiety do cichego sposobią się życia, i ich majówki nie tak gwarne i świetne. W dniu majówki pensjonarskiéj nie było nigdy przeborów i muzyki, tylko przyjaciółka się cieszyła że dłużéj z ukochaną swoją się nagada, a wszystkie radowały się na myśl użycia wiejskiego powietrza i téj czystéj swobody jaką trudno wśród miasta znaleźć. W czasie majówki biegałyśmy po błoniach, wieńczyły kwiatem przewodniczki nasze i pokrzepione, spokojnie do nowych prac wracały.

— To i taka miła majówka, podobna do naszéj dzisiejszéj, mówiły dzieci, chociaż chłopczyki cóś innego szepnęli jeszcze do siebie.

Przy źródełku jakiś ruch dał się słyszeć. Ludwinia podbiegła, na paluszki się wspięła i ujrzała ciemnego osiwiałego starca; siedział na ławce w żebracze odzian szaty — a mały chłopczyk kościaną czarką podawał mu rzeźwiącą wodę. Tyle było poczciwości w twarzy starca a z taką czułą troskliwością usługiwał mu mały,

że widok ten słodkiém ją przejął wzruszeniem. Kiwnęła na Adasia i zeszli oboje do źródła.

— Niech będzie Chrystus pochwalony, rzekł starzec słysząc nadchodzących kroki.

Dzieci odpowiedziały mu chrześcijańskim zwyczajem.

— Takeście się zmęczyli, mówiła Ludwinia patrząc na znużenie starca,— czyście zdaleka?

— Z Warszawy idę— ofiarowałem się na to miejsce przyjść po chorobie, w tutejszym kościołku podziękować Bogu, ale do kościołka byłbym nie doszedł ze znużenia, aż przy tém źródełku wytchnąć musiałem. I sięgnął znowu ręką po wodę.

— Ależ saméj wody nie pijcie tyle odrazu, rzekła znowu Ludwinia, i wyjęła z fartuszka karmelek,— to weźcie w usta wprzódy.

— Bierzcie dziadulu, rzekł mały chłopczyk, panienka wam karmelek daje.

— Bóg ci zapłaci dobroć twoją miły aniołku! mówił wzruszony starzec,— on taki wielki, taki dobry— samemi mnie otacza aniołami; ten oto pierwszy tak czuwa nademną, bez niego jużbym nie żył oddawna.

— Czy to jest wnuk wasz?

— Ach! tak miła istoto, jego rodzice pomarli— jam wzrok utracił, nie miałem majątku, żebrać musiałem, on jeden mi pozostał na świecie i on

pomylona paginacja

pominięta str. 17, 18

mnie nie odstąpił, ale czułém doglądaniem osładza moją niedolę— ach! zaprawdę powiadam, to istny anioł to dziecko.

Chłopczyk spuścił oczki.— Ej, dajcie pokój dziadulu, przecie ja was tak kocham że choćbyście w najlepszym byli stanie tobym was nie opuścił, a cóż dopiero teraz...

— Ludwiniu, szeptał Adaś— ja im dam moje pieniądze; i nieśmiało wsunął dwa złote w rękę chłopczyka.

— Dziadulu, dziadulu, jak dużo dał nam panicz! i włożył w rękę starca pieniądze, który niewidząc poznawał ich wartość dotknięciem.

— A to dla ciebie na bułki, rzekła Ludwinia dając małemu złotówkę.

— Dla mnie osobno nic nie potrzeba dobra panienko, i oddał również złotówkę do schowania starcowi.

Wzruszyła dzieci ta dobroć dziecka i wyrzeczenie się siebie:

— Dobry chłopczyku, może masz jakie żądanie? mówili, powiedz nam, my poprosimy rodziców jeżeli sami zaradzić mu nie potrafimy,— powiedz nam, powiedz, cobyś mieć pragnął.

Chłopczyk się zakłopotał— chciał mówić— zatrzymał się— i po chwili wyrzekł— ale to nie może być.— Dziękuję paniątkom za ich serce.

— Czemuż nie powiesz nam coś chciał mówić z początku?

— Ej bo to nigdy być nie może.

— No przecież powiedzieć nie zaszkodzi.

— Jabym mieć nic nie chciał— tylko często myślę sobie, żebym ja umiał czytać— tobym się tak szczerze na książce modlił do Boga, że dałby mi los jaki, i dziadkowi lepiejby było wtedy.

Ludwini i Adasiowi łzy w oczach zabłysły i pobiegli rodzicom opowiedzieć spotkanie i całą rozmowę— a Adaś dodał:

— Sam kochany ojcze podałeś myśl aby dzień majówki oznaczyć czynem któryby sercu zostawił wspomnienie; pozwól więc nam mieć udział w losie tego chłopczyka i dziadka jego— sam dołóż się do naszych ofiar.

— My wszyscy zawołały zgromadzone dzieci damy miesięcznie z pensji naszych cząstkę na utrzymanie i naukę chłopczyka.

— A ja mu dam sukienki i pożywienie póki się co nie ułoży, dodała matka wzruszona.

— Dobrze— rzekł ojciec, przyjmuję i pochwalam wasze ofiary— sam dołożę starania aby zapewnić los starca i dopomódz cnotliwemu dziecku do dalszego losu.

Zeszli wszyscy oznajmić biednym co dla nich ułożyli— dziadek nie pojmował swojego szczęścia, tylko do Boga zanosił modły by ze snu tak

miłego obudzić mu się nie kazał. Dopiero długa rozmowa przekonała go o rzeczywistości. Zaprowadził go chłopczyk do kościoła, zkąd po gorących modłach wrócił posilić się z łaski dobrych państwa i pozostał już z niemi— z sobą go zabrać mieli do miasta.

Wojtuś (tak się nazywał ubogi chłopczyk), przypuszczony do zabaw dzieci, weselił się nagłą zmianą swojego stanu, ale zawsze najbardziej cieszyła go obietnica którą mu zrobił Adaś, że zaraz od jutra uczyć go czytać zacznie.

Długo jeszcze uszczęśliwione dzieci gościły w bielańskim lasku, coraz nowe do zabaw przychodziły myśli, i nieprędko wyczerpnąłby się twórczy do nich zapęd— ale już zniżone słońce o powrocie myśleć kazało. Powozy nadeszły do samych Bielan, dzieci jednak pomimo całodziennego utrudzenia postanowiły znów do rogatek iśdź pieszo, aby już w zupełności użyć majówki. Wsiadł tylko ociemniały starzec i Wojtuś obok niego. Od rogatek wszyscy się pomieścili jak mogli; dzieci usuwały się bacznie, aby dziadkowi wygodne zrobić miejsce, a on do nieba za nich wznosił modły. Śliczny był widok powracającego grona, powozy i konie zielonym umajone liściem, pośród nich grono dziatek jaśniejących młodością i weselem i starzec ubielony zimą wieku jak anioł błogosławieństwa.

Za powrotem do domu młodzi towarzysze Ludwini i Adasia pożegnali przyjaciół swoich, dziękując za udział w dniu mile spędzonym; i zapewniwszy ich o pamięci na los ociemniałego starca i czułego Wojtusia, przyrzekli sobie znów w przyszłym roku na tak miłą wybrać się majówkę.

Nie na samych przyrzeczeniach skończyły się piękne zamiary dobrych dzieci, tyle prosiły rodziców swoich, tak potrafiły zjednać ich względy dla biednego kaleki i wnuka jego — że niedługo starcowi w Towarzystwie Dobroczynności wyrobiono miejsce, a Wojtuś jako sierota i pod każdym względem zasługujący na opiekę, policzony został w grono osierociałych wychowańców tegoż Towarzystwa.

Pięknie rozwijają się zarody cnót w młodocianém i nieskażoném sercu cnotliwego chłopczyka, cieszą się nim nauczyciele, a on zawsze równie skromny i czuły, wdzięczném uczuciem odpłaca się dobroczyńcom swoim. Przywiązanie do dziadka w niczém się nie zmniejszyło — każdą odebraną łakotkę chowa starannie, a kiedy na niego wypadnie kolej iśdź do gmachu Towarzystwa Dobroczynności do pięciogroszowych usługiwać obiadów, znajdzie chwilkę uściśnienia ukochanego dziadka i podzielenia się z nim przysmaczkiem któryby nie smakował samemu.

Dzieci odwiedzają go w święto — za każdym razem przynoszą mu grosz jaki oszczędzony i składają do puszki która kiedyś jemu do zakupienia warsztatu ma posłużyć, a on samą im radość pięknem postępowaniem sprawia, i nauczywszy się już czytać, modlitwę za dobroczyńców swoich łączy z modlitwą o los pomyślny w przyszłości.

W. T.

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Puste wybrzeże.

Po chwilowym spoczynku, wygnanki ciekawe i niespokojne poczęły się rozpatrywać po téj ziemi, która ich od tak już bliskiéj uchroniła zguby; w miejscu ich wylądowania wybrzeże zwolna pochylało się ku morzu, lecz na prawo i na lewo

skały wysoko i groźnie sterczące broniły przystępu falom rozbijającym się z szumem o ich stopy, niezbyt daleko od brzegu wznosiły się kępiasto rozmaite krzewy, daléj, coraz gęstsze zarośla, a nakoniec wysokie drzewa zamykały z czwartéj strony widnokrąg.

W rozpadlinach skał czepiały się dziko winne latorośle, dojrzałe ich grona zaspokoiły nieco głód i pragnienie ocalonych, wzmocniły siłę i ożywiły ich odwagę, Nemrod znać nie ciekawy smaku owoców raczył się ślimakami których mnóstwo leżało na piasku, i wkrótce wszyscy rzeźwiejsi, puścili się na dokładniejsze odkrycia,

Sara wdarła się najprzód na najwyższą nadmorską skałę, chcąc z wysokości zbadać okolice, lecz próżno wytężała ucho, próżno siliła wzrok, i przed blaskiem słońca przysłaniała oczy rękami, jak daleko dojrzéć mogła, wszędzie tylko zielone drzew szczyty chwiały się przed nią, nigdzie ani wieży, ani dachu, ani najmniejszéj wskazówki ludzkiego mieszkania dostrzedz nie było można.— Od strony morza ani śladu okrętu, tylko skołatany bacik którym tyle drogi odbyły kołysał się blisko brzegu.— Podróżne nasze zwróciły się zatém w przeciwną stronę;— postępowały zwolna uważając położenie miejsca, w coraz większém oddaleniu od morza ukazywały się krzewy, drzewa, mało lub wcale im nie-

znane; drzewa te coraz bliżej siebie, coraz gęściéj zarastały ziemię, nakoniec w rozliczne pozbierane gruppy, tworzyły las ogromny;— wszedłszy weń, dziewczęta nasze potwierdziły się w mniemaniu iż w pobliżu nie musiało być ludzi, bo kołyszące się po gałęziach małpy, papugi, wiewiórki nie uciekały za ich zbliżeniem, lecz owszem przypatrywały się im ciekawie. Po zwiedzeniu części lasu w rozmaitych kierunkach, po rozpoznaniu bliższych zarośli zmęczone wygnanki siadły pod cieniem palmy, i naradzać się poczęły co czynić daléj.

Los ich w wielkiéj jeszcze był niepewności;— do brzegu co chwila mógł przybić okręt lub inny jaki statek, za łasem mogli mieszkać ludzie, może nawet niedaleko była jaka wieś lub miasto, może téż osada dzikich krajowców.— Na tę myśl jeżyły się trwogą włosy na ich głowach, bo słyszały wielokrotnie, jak srodze obchodzili się Australczycy z białymi, ile razy ich w ręce swoje dostali.— Skaczące w gęstwinie zwierzęta, rozlicznych a ledwie dojrzanych kształtów, przestraszały je równie,— mogły to być szakale, tygrysy, lub inne drapieżne istoty, a dziwne głosy rozlegające się dokoła powiększały niespokojność biednych dziewcząt.— Trzeba było pomyśleć o zapewnieniu sobie tymczasowego przynajmniéj schronienia, i jakiejkolwiek żywności.— W lesie

mnóstwo było kokosów. palm daktylowych, owoce ich rosły wysoko, znużonym wygnankom nie podobna byłoby ich dostać, lecz zwinne małpy zrywając daktyle całemi garściami, upuszczały ich tyle, że wszyscy nasycili się dostatecznie.— Wieczór się zbliżał, gwar ptaków i zwierząt ucichał się powoli, magnolje o błyszczących liściach i białym kwiecie słodszy wydawały zapach, olbrzymie *kazuariny* lekkim poruszone wiatrem powiewały gałęźmi, z których zamiast liści zwieszały się długie zielone nitki do grzyw końskich z kształtu podobne, słońce ledwie już gdzieniegdzie migało pomiędzy liścmi a jeszcze Marja i Sara namyślały się na któreby się drzewo schronić, by w nocy ujść zwierząt drapieżnych napaści, jeszcze Emma trwożnie poglądając po lesie wołała płaczliwie.

— Moje łóżeczko! ach kiedyż ja na mojém łóżeczku spać będę!

W końcu, Sara wpatrująca się długo w jedną stronę powstała nazbierała suchych gałęzi i zbliżyła się ku miejscu, gdzie wielkolistne *zamje* gęste tworzyły zarośle.— Krzewy te których liście grube, kolczate, na półtora blisko łokcia duże tworzyły mocną, do ziemi dostającą ścianę, zdawały się jéj doskonałém schronieniem; jakoż podnosząc suchemi gałęźmi liście, udało się Sarze zajrzeć w głąb gęstwiny, i przekonać się

że pomiędzy drzewami można się było bezpiecznie umieścić.— Wtedy wszystkie trzy poczęły zrywać bananowe liście, poowijały niemi twarze, ręce i szyje by się od ostrych kolców zasłonić, i wsunęły się w zielony namiot, a wyjąwszy z ziemi gałęzie wstrzymujące podniesione liście, pokładły się na mchu i otoczone świeżą, wonną a przecież nieprzebytą ścianą pierwszy raz od trzech dni zasnęły spokojnie.

Nazajutrz, słońce wysoko się wzniosło, nim wygnanki otworzyły oczy;— wyszły z swojego schronienia, i po modlitwie, pierwszą ich myślą było zwiedzić brzeg morza, bo łudziły się zawsze nadzieją pomocy z tamtéj strony, lecz i dziś próżno patrzyły w przestrzenie, tylko modre fale i modre nieba zalegały widnokrąg, a na brzegu przypływem morza wpędzony osiadł zgruchotany bacik.— Wybrały z niego co się wziąść dało, podróżną torbę przesiąkłą wodą, kobierzec, płótno, ławkę pozostałą, gwoździe które kamieńmi wybić było można, i cały swój majątek uniosły do lasu.

Powoli, rozpatrzyły się w nowéj swojéj siedzibie, za pomocą kłębka nici znalezionego w torbie, puściły się na kilkaset sążni w głąb boru, lecz coraz gęstsze drzewa, nieprzebyte zarośla, dzikie samotnie przekonały je, że próżno szukały

ludzi, że ich ręka nie dotknęła tu jeszcze dzieł boskich.

Nie widać téż było i zwierząt drapieżnych śladu; skoczne wiewiórki, przekorne małpy, wrzaskliwe papugi tworzyły większą część mieszkańców lasu, czasem jednak przeskoczył długonogi kanguru, czasem Nemrod wyciągnął tłustego susła z jamy, czasem orzeł szerokiemi skrzydły przeszybował ponad drzewami, lecz po kilkodniowém doświadczeniu przekonały się Marja i Sara że z téj strony żadne im nie groziło niebezpieczeństwo.— Trochę ku północy kilka jeziorek mogły im dostarczać słodkiéj wody, kamienie zebrane nad brzegiem morza posłużyły do otworzenia kokosowych orzechów, których mleczny sok i owoc mięsisty razem za napój i pokarm używać było można, słońce dogrzewało mocno, tak że przed promieńmi jego w cień drzew chronić się trzeba było, wygnanki więc nasze nie doznawały fizycznych cierpień, lecz za każdém zwiedzeniem wybrzeża, za każdém w głąb lasu spojrzeniem przekonywały się mocniéj, że w téj samotni, oddzielonéj od świata, od ludzi, przyjdzie im przeżyć czas długi, a może i całe życie.

Z początku myśl ta straszną im była, Emma wyrzekała głośno, Marja pośpiechowi swemu w ucieczce przypisując wszystko co zaszło dotąd, dręczyła się myślą że z jéj winy świat znikł

z przed oczu sieroty, że dziedziczka dostatków i godności, żyć będzie musiała jak dzikie dziecię natury; Sara chociaż trochę skłopotana o przyszłość, pamiętna wszakże ścieśnienia w jakiém w ostatnich czasach zostawała, lekko stąpała po mchu zielonym i nie traciła odwagi.

— Kiedy tu już żyć mamy, rzekła pewnego rana do Marji, postarajmyż się o mieszkanie, bo nie bardzo przyjemnie i bezpiecznie wciskać się co dzień jak węże pod kolczaste zamje.

Marja niedbała o własną wygodę, pragnęła jednak zapewnić Emmie wszelkie przyjemności jakie w jéj mocy być mogły; zaczęły zatém szukać stosownego miejsca, i w krótce olbrzymi *cykas* zwrócił ich uwagę. Drzewo to ogromne stało na wzgórku, zapuszczając korzenie głęboko w ziemię z jednéj strony, lecz z drugiéj, potok z ulewnego deszczu powstały musiał ie podmyć przed laty, bo korzenie cienkie i długie ogołocone z ziemi zbiegały od pnia jak liny okrętowe, i tkwiąc mocno u stóp wzgórka tworzyły niejako zarysy namiotu, mogącego mieć u spodu blizko sześć łokci przestrzeni, i wybiegającego w górę w kształcie ostrego dachu.— Przekonawszy się że *cykas* dość mocno jeszcze stoi, i że nawet w razie wichru lub burzy otoczony wysokiemi i rozłożystemi drzewami ledwieby się mógł pochylić, wygnanki poczęły budować sobie

domek. — Oczyściły korzenie z piasku i ziemi, odwaliły kamienie co się były w wypróżnienie zatoczyły, wyrównały nieco obsypującą się ścianę pagórka, i nazbierawszy bananowych liści, układając je od pnia drzewa aż do ziemi na rozpiętych korzeniach, utworzyły kształtny i chłodny namiocik, rozciągnęły kobierzec na ziemi, a z ogromnego mchu usłane łóżka po kilku dniach pracy użyczyły robotnicom tak miłego spoczynku że nawet Emma za swojém łóżeczkiem wzdychać przestała.

Te kilka dni które na urządzeniu mieszkania swego spędziły dały im poznać, że praca i zajęcie znacznieby skrócić mogły czas samotności, ale cóż robić w lesie, bez narzędzi, bez naczyń, bez ognia?— Prawda że codzień trzeba było zmieniać pokrycie dachu, bo bananowe liście więdły w przeciągu doby; trzeba było gonić i straszyć małpy, by od nich wyłudzić część zbioru potrzebnego na pożywienie, Marja czytywała czasem wyjątki z pisma świętego, które lubo zamoczone w torbie, po starannem wysuszeniu mogło jeszcze choć w części służyć do czytania, lecz to wszystko zbyt małe było zajęcie by niém zapełnić długie jasne dni, by odegnać dręczące i smutne myśli.

Odzienie ich morską wodą i ciągłém używaniem strawione potrzebowało naprawy, obuwie zdarło się zupełnie, jakże temu zaradzić?....

Potrzeba jeśt matką przemysłu i wynalazków; po długim namyśle, Sara odłamała kilka kolców zamji, i ostremi ich końcami przebijając grubszą osadę sporządziła kilka igieł; — nie było nici — Marja poświęciła pas swój skórzany, który na pamiątkę dóbréj lady Wilton ciągle nosiła na sukni, i wyciągając gruby jedwab z tkanéj podszewki, chciała go do pozczepiania podartéj odzieży użyć. — Za oddarciem kilku nitek drukowane papiery uderzyły jéj oczy, były to pieniądze, które dawna jéj pani przezorna o potrzeby wygnanki zaszyć kazała, a o których matka stroskana utratą lubego dziecięcia zapomniała wspomnieć przy pożegnaniu.— W papierach tych było przeszło sto funtów szterlingów— Marja była zatém bogatszą niż kiedykolwiek zamarzyć sobie mogła, ale na cóż jéj się teraz pieniądze przydadzą? teraz tylko pracy i cierpliwości potrzeba.— Odrzuciła pas od siebie i zadumała się smutnie, jak zmienną jest wartość rzeczy, i jak to tylko prawdziwie cenić należy, co w każdém miejscu, w każdym czasie pożyteczném być może.— Emma poczęła się bawić kolorowemi papierkami, a Sara nadbiegłszy z lasu i dowiedziawszy się o znalezionym skarbie, rzekła z pogardą:

— W Sydnéj byłoby się to może przydało ale tu!...

I rzuciła silnie pas skórzany o ziemię;— stalowa sprzączka trafiła na kamień i tysiące iskier posypało się z tego starcia.

Marja zachwycona padła na kolana dziękując Bogu za nowe odkrycie mogące uprzyjemnić im pobyt w téj samotni, Emma porzuciła papiery, i uchwyciwszy pas cieszyła się krzesząc iskry z kamienia, a tymczasem rącza Sara zbierała pod drzewami suche mchy i purchawki, składała je w jeden stos, dorzucała suche gałęzie, i niezadługo jasny, szeroki płomień błysnął przed oczyma ucieszonych wygnanek, niezadługo w gorącym popiele piekły się jaja ptaków budujących gniazda po niskich krzewach, bo na wysokie drzewa dostać się jeszcze nie było sposobu.

Odtąd, życie samotnic poczęło się w pewien układać porządek;— pamiętając dzień w którym opuściły Sydnéj, łatwo im było dojść rachuby czasu, który sobie dla pamięci układaniem kamieni znaczyły.— Niedziele oznaczały większe kamienie, i w tym dniu, tylko modlitwa i pobożne czytanie czas im zajmowało.— W dni zwyczajne po złożeniu dzięków Stwórcy za doznane dobrodziejstwa, po przygotowaniu posiłku, rozpoczynała się nauka, Marja uczyła swoje towarzyszki czytać, objaśniała w religji, przypominała sobie i udzielała im wiadomości, których przez pobyt w zamku uczonego lorda zaczerpnąć

mogła, a Sara i Emma widząc ją tyle wyższą od siebie, otaczały ją wdzięcznością, szacunkiem, uważały ją za przewodniczkę, ledwie że nie za matkę swoją.

Sara więcéj poziomym oddana przedmiotom żwawszą i szczęśliwszą za to była w odkrywaniu coraz to nowych środków wygodniejszego życia;— ona to rozpaliwszy ogień około pnia wysokiego kokosu, tak nim zręcznie kierować umiała, że płomień strawiwszy połowę osady ułatwił wiatrom wywrócenie drzewa w ten sposób, iż opierając się szczytem o sąsiady, stało się pochyłym mostem, po którym wygnanki mogły dojść do wierzchołków palm daktylowych, zrywać ich owoc bez małpiéj pomocy, i zaopatrzyć się w liście grube, giętkie, trwałością naśladujące deszczki lipowe, połyskiem i barwą mile wpadające w oko.— Temi liśćmi pokryła dach i ściany mieszkania, pozbijała je do siebie kolcami zamji, i tym sposobem zmniejszyła codzienną pracę, bo palmowe liście przez kilka tygodni trwać mogły nieprzepuszczając słońca i wilgoci.— Wychodząc codzień nad morze zbierała muszle różnego kształtu, używając większych do gotowania jaj i grzybów, mniejszemi starannie wykładając ścianę mieszkania, by tym sposobem Marję i Emmę od osuwającego się piasku zabezpieczyć;— wybierała jaja z gniazd, znosiła suche gałęzie, szukała

ostrych kamyków, któreby w potrzebie miejsce noża zastąpić mogły.

Emma prócz modlitwy i nauki, na zabawie trawiła czas cały; już to igrała z Nemrodem, już wiła wieńce z rozlicznych kwiatów co w lesie rosły obficie, już goniła za motylami. poprawiała swoje odzienie, stroiła się w kwiaty i liście, rozczesywała jasne włosy drobnemi palcami, a ciągle się uchylając między krzewami, najczęściéj użyteczną jaką odkryła roślinę.

Nemrod także nie próżnował;— mięsożerny, starał się o pożywienie dla siebie, zbierał ślimaki nad morzem, krety i szczury w lesie, czasem paniom swoim przyniósł schwytanego bezlotka, czasem kaczkę z jeziora, a ciągłą obecnością, szczekaniem, wyszczerzaniem groźnych zębów oddalał od mieszkania zbytnią poufałość małp, która z czasem natrętną a nawet szkodliwą staćby się mogła.

Tak więc czas płynął spokojnie, powoli; wygnanki przyzwyczajały się coraz mocniéj do swego położenia, przywiązywały się do téj ogromnéj samotni co całe ich życie pochłonąć miała, do téj uroczystéj ciszy, któréj nędzne zabiegi człowieka nie przerywały jeszcze, która co chwila pobudzała w nich większą cześć, wdzięczność, i uwielbienie dla Boga.— Jednak codzień jeszcze chodziły nad brzeg morza, codzień wyglądały czy

żagiel jaki nie zabieleje im zdala na fali, codzień wstępowały na skały, na drzewa, śledząc czy czasem słup dymu nie wskaże im ludzkiego sąsiedztwa?— próżno!— między niebem i ziemią. tylko ich trzy serca biły, a to przekonanie wzrastając z każdą chwilą pomnażało wspólne przywiązanie, silniejszém ich z sobą spajało ogniwem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MIESIĄC W WARSZAWIE

ZOFIJA DO ANTONJI.

28 *Czerwca* 1844.

Późno trochę Anteczko kochana dopełniam przyrzeczenia mojego;— miesiąc już blisko upływa od czasu jak wyjechałam z domu, a dopiero pierwszy list piszę do ciebie;— ale może téż to i niezupełnie moja w tém wina, bo od samego

przyjazdu naszego do Warszawy tak ciągle jestem zajętą, tak co chwila spotykam cóś niezwyczajnego. że ledwie mam czas zastanowić się nad wszystkiém, a cóż dopiero opisywać.— Wspomnę ci jednakże, i to porządkiem co mnie tu najmocniéj zajęło:

Najprzód:— zaraz nazajutrz po naszém przybyciu, przypadała uroczystość Bożego-Ciała;—wielkie to święto dla całego chrześcijańskiego świata nieuwierzysz jak wspaniale obchodzą w Warszawie. — Z okna na krakowskiém przedmieściu patrzyłam na uroczystą processję;— ileż to tam bogactwa, przepychu! Monstrancja szczerozłota jak słońce błyszczała zdaleka, szaty czcigodnego biskupa i otaczających go kapłanów jaśniały również od srebra i złota; ciężkie chorągwie zgromadzeń rzemieślniczych, dźwigane przez silnych i poważnych mężczyzn w staroświecki po największéj części strój przybranych, powiewały w powietrzu. Obrazy bractw rozlicznych już przez mężczyzn, już przez kobiety, już nakoniec przez dziewice w bieli ubrane niesione,— czworo dziatek w białych jak śnieg sukienkach, z skrzydelkami u ramion, jak istne aniołki, usypywały kwiatami drogę, którą szedł Pan nad Pany. Te długie szeregi świec zapalonych, ten liczny poczet duchowieństwa, te śpiewy poważne i dobrane, wszystko to unosiło duszę do nieba, i napełniało ją jakiemś nieznaném,

uroczystém uczuciem.— Co mnie jednak więcéj zajęło i zbudowało, to głęboka pobożność warszawian, o których my wieśniacy tak źle a fałszywie uprzedzeni jesteśmy. — Trudno opisać z jaką gorliwością modliły się, z jaką pokorą padały na kolana te nieprzeliczone tłumy, w których bogaty obok ubogiego, pan obok wyrobnika, strojna pani obok sieroty w przetarte szaty odzianéj czciły Boga, Stwórcę, Odkupiciela swego, zstępującego w pośród grzesznych ludzi.— Nigdy niezapomnę tego widoku!

W kilka dni potém byłam z ojcem na targu wełny, ale że się nie znam na handlu, dowiedziałam się tylko że w tym roku cena wełny podniosła się znacznie.— Z targu przeszliśmy zaraz do żydowskich sklepów po sprawunki, które ci za powrotem pokażę.— Żydzi warszawscy do kieleckich podobni jak dwie krople wody: takież brody, takie suknie, tak samo jak nasi zastępują przechodzącym drogę, ciągną za rękawy do sklepu, zachwalając towar którego najczęściéj nie mają.

Widziałam téż zwierzęta gospodarskie sprowadzone z różnych stron kraju na wystawę do Warszawy;— po wydaniu wyroku przez znawców właściciele najpiękniejszych zwierząt otrzymują nagrody.— Zwierzęta te stoją pod szopą obszerną i pod strażą ludzi zajmujących się ich utrzy-

maniem;— obok wytwornych krów tyrolskich, stało tu i włościańskie bydełko, tłuste,rzeźwe, aż miło na nie spojrzeć.— Plac wystawy przedziela od targu na wełnę obszerny i piękny ogród, zwany ogrodem Krasińskich.

Na wyścigach konnych nie byłam; — mama trochę słaba nie chciała się narażać na słotę która od kilku dni walczyła z chwilowemi połyskami słońca, ale Staś ci o téj zabawie opowie dokładnie, bo go bardzo zajęła.

Za to byłam uczestniczką innéj, podług mnie milszéj daleko zabawy, i tę ci kochana Antolko jak będę mogła opiszę.

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności dzieli się na kilka oddziałów;— jeden z nich zajmuje się wyłącznie sierotami, żywi je, odziewa, wychowuje, uczy, kształci w cnocie do pewnego wieku, a gdy siły i zdolności sierot dozwolą im obrać sobie jakiekolwiek rzemiosło, oddaje owe dziatki w naukę, czuwa nad ich bytem i postępowaniem, a z czasem dopomaga do zakładania warsztatów i wypłacenia się społeczeństwu pracą i przykładem za odebrane dobrodziejstwa.— Błogosławionym tym zakładem zajmują się równie niewiasty jak mężowie, a wszyscy gorliwie, wszyscy mało lub wiele, podług możności przyczyniają się do jego wzrostu, nawet niektórzy cały swój czas, pracę i zdrowie poświęcają świętemu temu celowi.

Między rozmaitemi pomysłami, przynoszącemi ulgę cierpiącéj ludzkości, Towarzystwo Dobroczynności postanowiło urządzić zabawę na korzyść sierotek, o których ci dopiero pisałam. Zabawę tę miała tworzyć muzyka, i loterja fantowa;— cóż nad to bardziéj zajmującego wymyślećby można?— a przecięż znaleziono okoliczność podwyższającą jeszcze urok téj uroczystości.

W aleach poprzedzających rogatki, jest piękny choć nie duży ogród, dla położenia swego szwajcarską doliną zwany, w tém więc prześlicznem miejscu, urządzono dobroczynną zabawę.

Wystaw sobie Anteczko małą dolinkę, w głębi któréj urządzono trzy ozdobne sklepy kobiercami i bogatémi draperjami ubrane, a w nich na długich półkach ustawiono 606 fantów, z których każdy piękny lub pożyteczny, a niektóre kosztowne bardzo. Przy każdym sklepie dwie opiekunki sierot i kilku członków Towa. Dobro. przewodniczyło, a raczéj zajmowało się ciągnieniem loterji, i oddawaniem fantów wygrywającym.— Dokoła na wzgórzach wznoszących się piątrowo, na ławkach i krzesłach, na ścieżkach i trawnikach zasiadło półtrzecia tysiąca widzów; dodaj do tego: widok przechodzących po wyższych wzgórzach gości, znikających i ukazujących się co chwila z poza drzew, dodaj dźwięki muzyki ukrytéj w zaroślach, a będziesz miała słaby obraz

zabawy w szwajcarskiéj dolinie,— Zapomniałam jednakże o jednym jeszcze dodatku.— Wśród samego ciągnienia, grożący od południa deszcz spadł obficie,— w mgnieniu oka rozpostarły się parasole i parasolki, goście poczęli się chronić pod drzewa i w altany, inni uciekali do powozów stojących przy drzwiach, lecz ciągnienie nie zostało przerwaném.— Opiekunki jak matki dbałe o korzyść dziatek nie opuściły stanowisk swoich, wystawiły odważnie świeże stroje na przekorny deszczyk, i może téż tą oznaką męztwa pokonały psotnika, bo wkrótce zajaśniała pogoda, i zabawa trwała do ciemnego mroku, za nadejściem którego, pozapalano lampy, i oświecono ogród.

Byłam téż i nad mostem, w wigilją Ś. Jana, ale to już podobno i tak list zadługi, schowam zatém do następnego dalsze opisy warszawskich przyjemności, a tymczasem żegnam cię na dni kilka! i przypominam, że ty miła Antolko więcéj teraz odemnie masz czasu do pisania.

Zofja.

Przypisek Stanisława.

Zaczém wrócę do domu, i będę mógł pannie Antoninie dokładnie opisać wyścigi, dołączę do Zosi listu choć kilka słów o nich.

Nie mówię tu o widzach— chociaż i ci, tak siedząc na galerji, jak stojąc dokoła szranek odważnie mimo deszczu, a raczéj ulewy, zasługują na wspomnienie,— ale o szrankach, o tém polu mówię, na którém śliczne konie i zręczni jeźdzcy jednaką żądzą sławy zagrzani biegli w zawody, by przed innémi zyskać wyznaczoną nagrodę, a bardziéj jeszcze poklask i okrzyki tryumfu.

Co za konie! nigdy ich tyle i tak pięknych nie widziałem. Co za szybkość! zdaje się że z wiatrem idą na przegony;— a ile w nich— niepowiem rozumu— ale uczucia, jak dumnie kopie ziemię, jak parska nozdrzem zwycięzca, jak smutnie spuszcza głowę zwyciężony! Zdaje się że czuje niepowodzenie swoje i wstydzi się za nie.— Ach! koń to najszlachetniejsze zwierzę, wierny towarzysz trudów, czasem zbawca człowieka, a jednak tak długo niedbano u nas o chów koni!— Dzięki ustanowieniu towarzystwa wyścigów konnych, polepszy się i byt biednych włościańskich koników, bo i oni mają tu swoje gonitwy i nagrody. Po wytwornie ubranych żokiejach, po koniach przecudnych, wystąpili nasi kmiecie na swoich człapakach, w burych siermięgach, w baranich czapkach, z czupurną miną pędzili co sił starczyło.— Serce rosło patrząc na te wyścigi od pomyślności których zależało wzbogacenie zwycięzcy, bo nagroda wynosiła 500 Zł.— Co

za ogromna summa dla chłopka!— Pierwszego dnia otrzymał nagrodę chłopczyna mego wzrostu, który na koniu ojca swego imieniem Zegara wyprzedził innych; trudno opisać radość małego Zegarka, jego dumę i pomieszanie przy odebraniu nagrody. Radbym, żeby nasi włościanie mogli być tego świadkami, nie mówiliby jak dotąd: „Jescebym tez miał myśleć o tém cy mój koń prędzéj chodzi od sąsiadowego!“

Miałem tylko parę słów napisać, a tu już półarkusza, przepraszam za gadulstwo, ale to zawsze, czego serce pełne, to się koniecznie do ust ciśnie.

Stanisław.

4. Lipca.

Co powiesz kochana Antosiu odbierając ten foljał, gdzie przypisek do przypiska się czepia, a końca dojrzeć trudno?— Cóż czynić,— poczciwy nasz Maciéj który i po bitéj drodze nie prędko zwykł chodzić. tak pomaleńku kuleje po warszawskim bruku, że kiedy list mój doniósł na pocztę, już ona od dobréj godziny odeszła;— ja zaś starając się podług słów drogiéj babuni z każdéj szkody korzystać, otworzyłam kopertę, i nim nadejdzie pora puszczenia w świat tych kartek, jeszcze z tobą porozmawiam:

Z pomiędzy tysiącznych ciekawości warszawskich, które szczegółowo opisywać z tak daleka niepodobna, opowiem ci o jednéj jeszcze uroczystości, któréj wczoraj byłam świadkiem.

W Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych był wczoraj publiczny examin;— wstęp tam dozwolony każdemu, poszliśmy więc wszyscy.

Zdaleka, słysząc tylko o tym zakładzie, w którym owe nieszczęsne kaleki mowy i słuchu pozbawione, uczą się poznawać wszystko co ich otacza, wyrażac myśli swoje. rozumieć drugich, a nadewszystko kochać Boga,— już podziwiałyśmy szanownych mężów, którzy tak mozolną pracę jedynie z chrześcijańskiéj podejmowali miłości;— ale czyż w mowie ludzkiéj są wyrazy na dokładne opisanie tego nadludzkiego poświęcenia, i zdumiewających skutków, jakiemi Najwyższy uwieńczył tak wielką pracę!

Wyobraź sobie droga Antosiu kilkudziesięciu głuchoniemych, podzielonych najprzód na dwie części, chłopczyków i dziewczynki; potém na 6 klass, w których poczynając od najmłodszych już się uczą Religji, poznawania własnego języka, i Arytmetyki, w których uczniowie zdają sprawę z nauk coraz wyższych, okazują wiadomości historyczne, znają Jeografję, historję naturalną, Jeometrję. Fizykę;— tak kochana! nie przez omyłkę to piszę.— Te istoty które w naszym kraju przed

trzydziestu jeszcze laty uważane były za ciężar dla społeczeństwa, które sobie same z własnego bytu sprawy zdać nie umiały, dziś kształcą się na światłych, pożytecznych ludzi.— I nie myśl że wszystkie pytania i odpowiedzi odbywają się na piśmie;— bynajmniéj— większa część głuchoniemych uważając na poruszenia ust, zwolna mówiącego nauczyciela, odgadują pytanie, i głośno, wyraźnie opowiadają na nie;— do tego stopnia doszło udoskonalenie w ich wychowaniu.

Jedną przecięż, najwznioślejszą naukę, naukę religji, nabywają i odpowiadają o niéj pierwotną mową człowieka, znakami.— O! gdybyś ty wraz ze mną widzieć była mogła ich oczy wznoszące się do nieba, przyciskanie rąk do serca na znak miłości i wdzięczności, oznaki pokory z jaką człowiek zdać się na wolę Boga powinien, słodki uśmiech zaufania, kiedy nauczyciel pytał ich czy Najwyższy każdego do siebie przyjmuje— gdybyś widziała to wszystko, jak ja nie zdołałabyś wstrzymać łez rozczulenia.

Dziewczynki na migi opisywały niektóre wypadki z historji świętéj, i przypowieści których Chrystus Pan w mowie do ludu używał; jakaż prawda, jaka naturalność w każdém poruszeniu! tu znać że opowiadająca wyraża to, co wprzód dobrze poznała i uczuła głęboko.— A nauczyciel tego świętego przedmiotu— gdybyś widziała

z jakim zapałem tłumaczył swe myśli uczniom, jak ich porywał z sobą, unosił do góry! (1).— Szanowny Rektor Instytutu zbierał w dniu tym najwyższą ziemską nagrodę za swoje trudy i pracę (2), a czcigodny, sędziwy kapłan (3) pierwszy założyciel tego istytutu, zaledwie wstrzymywał łzy radości, patrząc jak Bóg pobłogosławił ziarnu, które on przed 27 laty z takim trudem zasiał.— O! z czcią i uwielbieniem tylko poglądać należy na takich sług Boga.

Nastąpił popis ociemniałych:

Umysł ich łatwiejszy do rozwinięcia, od sąsiadow i towarzyszy niedoli, ależ niepodobna ciągle umysłowo ich zajmować; mają więc ręczne zatrudnienia.— Zważ tylko ile to pracy i cierpliwości potrzeba— najprzód: by pozbawionych wzroku nauczyć za pomocą dotykania czytać na wypukłym druku:— potém, stosownemi do tego czcionkami wytłaczają sami podyktowane im wyrazy, plotą słomianki, trzewiki z krajek; robią sznurki, sakiewki;— kształcą zmysł dotykania do tego stopnia, że małe nawet dzieci rozeznają już w palcach jeden od drugiego gatunku ziarna, jedną kaszę od drugiéj.

---

(1) **Ks. Hollak.**
(2) **Ks. Kan. Szczygielski,**
(3) **Ks. Falkowski.**

Z wszystkich nauk najwyżéj postępują w muzyce. Skrzypce, fortepian, wiolonczela, a nadewszystko śpiew, znajdą tu może kiedyś mistrzów, bo dziś już głębokie czucie i dokładność cechuje każdy wykonany przez ociemniałych kawałek.— Zakładem tym, niezmordowanéj cierpliwości, nieustannéj baczności wymagającym, także kapłan kieruje (1).

Po skończonym popisie, po rozdaniu nagród i pochwał odznaczającym się uczniom i uczennicom, przeszliśmy do sali, gdzie wystawiono na widok ręczne roboty głuchoniemych i ociemniałych.— Z podziwieniem oglądali przytomni rysunki, malowania, hafty; stolarskie, tokarskie, introligatorskie wyroby, pończochy i szycie bielizny, najrozliczniejsze woreczki, sakiewki, a nawet czy uwierzysz? koronki— nie wyszywane po tiulu jak to my czasem robimy, ale prawdziwe na warsztatach, podług bruxelskich wzorów, a trwałością bruxelskie przewyższające koronki (2).

Zostawiam cię wśród podziwu i uwielbienia

---

(1) Ks. Firsiukowski— Obszerniejsza wiadomość o Instytucie Ociemniałych znajduje się w IV tomie Zorzy.

(2) Ochmistrzynią oddziału żeńskiego głuchoniemych jest szanowna P. Marjanna Pers— nauczycielką zaś owych zadziwiających ręcznych robót— P. Anna Komarnicka.

w jakie cię zapewne ten opis wprawił, bo mama przysyła po list by go wraz z swoim posłać na pocztę. Do rychłego zobaczenia.

Zofja.

P. K.

CMENTARZ.

Zdaleka, bo podobno już o ćwierć mili, widać kopułę krzyża stojącego na wschodzie skromnego wiejskiego cmentarza, skromnego, ubogiego prawdziwie; nie widać tam kamiennych marmurowych pokryć, na których wyryte złote litery oznajmiają wiek, płeć, stan, i cnoty;— skromny krzyż drewniany, przypominający mękę Zbawiciela, całą jest ozdobą pracowitego kmiotka mogiły, a kilka drzewek, ręką przyjaciela, krewnego lub sąsiada posadzonych, są dostatecznym dowodem przywiązania żyjących do zmarłego. Obrosłe mchem, rozchodnikiem, obrzucone kwiatami różnego kształtu grobowce w nieporządku po-

rozrzucane śród krzaków róży, świérku, i płaczącéj brzozy, gdzieniegdzie tylko błyśnie dołeczek,' gdzie niegdzie błyśnie świéżo usypany pagórek. Niektóre z nich wspanialszą mają postać. Ogrodzone płotkiem lub murowane okazują, iż tu ktoś z zamożniejszych pochowany być musi, chociaż równie dobrze w ubogiéj mogile jak i w bogatym grobie spoczywać zmarłemu; a kto wié, może ten, którego zwłoki białym tylko piaskiem przysypane prędzéj opiewać będzie chwałę bożą od bogatego, którego martwe ciało złożone w murowanym grobie: bo mur nawet przed zasłużoną karą nie zdoła zasłonić. Ale próżność ludzka podobno już do skończenia świata trwać będzie. Drugie grobowce zupełnie rozsypane zadeptane przez odwiedzających. Jednak w tém posępném ustroniu zieloność większa niż wszędzie, słońce sierpniowe nie wypala trawy jak na łąkach, nie wysusza liści jak w gajach.... dla czego?... bo łzy nieustające sieroty, łzy stroskanéj wdowy codziennie odwilżając ziemię nie dopuszczają skwarowi uszkodzenia miejsca, w którém ukochane istoty spoczywać mają na zawsze.— Cicho, ponuro, słychać tylko powiew wiatru, i brzęczenie pracowitéj pszczółki, ona i w tém smętném miejscu nie przestaje wyciągać soków z pięknych rozkwitłych kwiatów, czasem tylko usłyszeć można głos przechodnia

błagającego o spoczynek dla zmarłych;— lecz nie zawsze tak głucho na skromnym cmentarzu, są dnie w których to święte miejsce pełne ludzi, dnie w których śród grobów rozlegają się głosy żalu i rozpaczy. Ach! wtenczasto nowy gość na mieszkanie przybywa, wtenczasto nieszczęśliwi rodzice tracą na zawsze z oczów ukochane dziécię, a małe niewinne aniołki matkę.— Niedługo jedna więcéj mogiła przybywa, rozchodzą się ludzie, cichość na nowo osiada, a noc rozpościerając czarne skrzydła większéj jeszcze temu miejscu dodaje powagi.

Z. M.

MARCINEK

(*powiastka prawdziwa*).

Rozgniewał się Marcinek na sługę, Michała;
A że mama nie darmo żyżką (1) go nazwała
—- Poczekaj! (wołał) zaraz w twarz ciebie uderzę!
Michał rzecze:—Uderzyć chcesz mię widzę szczerze,

(1) Pokrzywa.

Ale cóż, nie dostaniesz!— ot ja ci poradzę:
Poproś mnie panicz pięknie, to ja cię podsadzę.
Poznał swój błąd Marcinek, szczerze zań żałował,
Przepraszając Michała, w ręce go całował,
I postanowił w duszy, że na przyszłość będzie
Wrodzoną popędliwość miarkować w zapędzie.
Długo, długo z nią walczył zanim przemódz zdołał,
Ale że walczył stale, Boga w pomoc wołał,
Bóg mu pobłogosławił.— Żebyście go znali,
Anibyście dawnego Marcinka poznali,
Ów chłopczyk niegdyś żyżka, iskra, popędliwy,
Dziś człek wyrozumiały, łagodny cierpliwy.
Takiéj to, lube dziatki cudownéj jest mocy
Silna, wytrwała wola, przy boskiéj pomocy.

Marcin Ossorja.

O PUSZCZY BIAŁOWIEZKIÉJ.

Komuż z nas nieznane nazwisko białowiezkiéj puszczy— owych ogromnych lasów wśród których przez lat tyle królowie zabawiali się polowaniem,— owych niezliczonych kniei, gdzie wśród męzkiéj rozrywki najznakomitsi ziomkowie nasi szukali wytchnienia po trudach wojny, i po umysłowych pracach? Nazwisko to uświetnia dotąd dziwny jakiś urok, przypomina ono blask licznego dworu gwarzącego wesoło wśród drzew odwiecznych, odbrzmiewa sławnémi imionami którémi się tu niegdyś wśród ochoczego zgiełku zwoływano. Nacieszywszy się do woli poezją minionych czasów, zapuśćmy dziś oko w rzeczywistość, i poznajmy puszczę białowiezką jaką jest w naszych czasach.

Przeprawiwszy się przez Bug pod miasteczkiem

Granowem, i przejechawszy prawie przez dzień cały obwodem białostockim, już to po żyznych, starannie uprawnych polach, już przez porządne wioski, ujrzy nakoniec podróżny obszerny pas ciemny który przy ciągłém przybliżaniu się, wkrótce za las ogromny uznać można.— Gdziekolwiek zwróci się oko, na wschód, północ czy południe, dokoła tylko mgliste niebo i czerniejące widzi lasy, wesołe zaś pola któremi dotąd jechał miłą zielonością zajmującą tworzą sprzeczność.— Takie jest pierwsze spojrzenie na białowiezką puszczę.

Zachodnia jéj część opasana dawnemi słupami, rowami i kopcami stanowiła tak zwany: *Las królewski*, reszta zaś na kilka a nawet kilkanaście podzielona części, była własnością prywatną, któréj jednakże największa przestrzeń do Tyszkiewiczów należała. I dziś znacznie większą część tych lasów zajmuje *Cesarska puszcza;* mniejsza na drobne prywatne cząstki podzielona; cała zaś puszcza białowiezka nie podług ogólnego rozmiaru, gdyż na takim dotąd zbywa, ale w przybliżoném obrachowaniu, zajmuje około 30 mil geograficznych,

Klimat tu ostrzejszy od klimatu innych krajów Europy pod tąż samą strefą położonych, przyczyną tego jest niedostatek gór a obfitość cienia. Od brzegów bowiem Baltyku aż do Karpat roz-

ciągająca się ogromna równina, ledwie gdzieniegdzie wzgórkami posiana, wystawiona na igraszkę wiatrów ze wszystkich punktów wiejących. W miejscach gdzie się ludzie na znacznéj przestrzeni jeden w blizkości drugiego osiedlili, gdzie obszerne uprawne pola na działanie ożywczego słońca wystawili, złagodziło się powietrze;— tu zaś w cieniu odwiecznych lasów, wśród licznych rzek, strumieni i bagien późniéj zaczyna się wiosna, lato rzadko łagodne, lecz mgliste, dżdżyste, lub dla upałów nieznośne.

Im głębiéj w puszczę, tém jest zimniéj i ostrzéj, i zawsze prawie na wiosnę, kiedy w paromilowéj odległości włościanin krząta się już około roli, mieszkaniec puszczy jeszcze saniami zwozi drzewo na opał mieszkania.

W puszczy białowiezkiéj mnóstwo nietylko strumieni, ale nawet rzek bierze swój początek, i tak: *Narew* i *Bug* w puszczy mają swe źródło, a złączywszy się pod Serockiem już pod saméj Narwi nazwiskiem wpadają do Wisły blisko Modlina; obie te rzeki są spławnémi prawie od samego źródła. *Narewka*, *Biała*, dozwalają już wśród puszczy pływać czółnami po swojéj powierzchni, *Lsna* podobnież, inne są pomniejsze.

Grunt w puszczy jest rozmaity, najczęściéj jednak piasczysty;— pomimo obfitéj wilgoci szczególniéj w miejscach niskich, gdzie nawet wielka

liczba wodnych roślin się znajduje, trzęsawisk nigdzie niema, prócz jednego miejsca, skąd Narew bierze swoje źródło.

Nazwisko całéj puszczy pochodzi od miejsca w którym dla polujących tu królów wystawiony był zamek;— wieże bielejące zdala wskazywały mieszkanie monarchy, i główną łowiecką schadzkę;— miejsce to do dziś nosi nazwę *Zamczyska* i staréj *Biało-wieży*, chociaż całym śladem istniejącéj przed wiekami budowy, są tylko gruzy, i skorupy potłuczonych naczyń w łonie ziemi zawarte.— Miejsce to istnieje w powiecie Kletniańskim.— O milę z tamtąd wznioślejszy nad inne wzgórek, pamiętny wielkiém polowaniem jakie tu król Stefan wyprawił, zwany jest *Batorową-górą*. Daléj znowu pewna część nosi nazwę *Królewskiego zwierzyńca*, co wskazuje, że takowy musiał tam istnieć rzeczywiście.— Obszerne miejsce *Nieznanowem* nazywane stanowi znaczną przestrzeń lasu, gdzie kiedyś okropny orkan całą wściekłość swoją wywarł; oczywistym tego dowodem są niezliczone łomy i wywroty, stosy drzew powyrywanych od wieków z ziemi, i głębokie jamy wyżłobione gwałtownym wód napływem.

Pod względem ułatwienia zarządu, puszcza dzieli się na dwanaście okręgów, czyli leśnych straży.— Nazwiska ich są następujące: *Augustow-*

ska tak zwana od dwóch królów którzy tu z upodobaniem przybywali na łowy, i tę część puszczy w swoją wyłączną wzięli opiekę.— *Narewska*, *Browska*, *Hajnowska*, *Stołpowiska*, *Leśnianka*, *Starzyńska*, *Krukowska*, *Okolnicka*, *Swietliczańska*, *Pobielska* i *Dziadowlańska*;— nazwiska ich pochodzą od najbliższych wsi lub osad.

Dokoła saméj cesarskiéj puszczy dwadzieścia cztery wsie należą pod władzę zwierzchności leśnéj;— mieszkańcy tych wiosek, Rusini, ludzie skromni jak ich domy, nieokrzesani jak sąsiadka ich puszcza, prostych, dzikich prawie obyczajów, silnéj budowy ciała, nieznając nietylko zbytku, ale nawet wygód, znoszą odważnie najostrzejsze powietrze, nie cisnąc się do miast, ani pragnąc poznać kraj uprawny i oświecony graniczący z nimi.— Lubią owszem przebywać w puszczy, zowiąc ją swoją matką, bo tu mają obfitość miodu, grzybów, dzikich owoców, i bujną paszę dla bydła.— Handlu, przemysłu, ani śladu między nimi dojrzeć nie można; cały ubior tego ludu składa się w każdéj porze roku zarówno z krótkiéj brunatnéj z grubego sukna zrobionéj siermięgi, ściśniętéj szerokim skórzanym pasem;— oprócz sandałów z lipowéj kory plecionych, chodakami czyli łapciami zwanych nie znają innego obuwia;— język tu używany, zbliżony do polskiego, jest tém

samém narzeczem którém do dziś mówi lud prosty na Wołyniu i Ukrainie,

W samém wnętrzu puszczy, istnieją dwie przed niedawnym czasem założone osady, *Teremiska* licząca 20 dymów, i *Pogorzelce* 22 chałup mające; prócz tego na brzegu puszczy rozszerza się wioseczka Massewa. Ale ze wszystkich miejsc zamieszkanych w puszczy tak cesarskiéj, jak prywatną własnością będącéj najznakomitszą jest wieś Białowieża.

Wieś ta leży prawie w samym środku cesarskiéj puszczy, i jest najpierwszém otwartém miejscem, które podróżny wjechawszy w puszczę na granicy Prużańskiego powiatu, po ośmiogodzinnéj drodze wśród ciemnego i gęstego lasu spostrzega. Oprócz kościoła, wieśniaczych chat, mieszkań strzelców, gajowych, i wyższych urzędników leśnictwa blisko 60 domostw wynoszących, wznosi się ponad wsią nad brzegiem Narewki ocienionéj wierzbami i olszami pagórek obszerny,- na którym Fryderyk August III. kazał wystawić dom mieszkalny;— Stanisław August przydał dwa skrzydła do niego, a dom ten lubo z drzewa, zawierał pewnie wszystko co tylko do wygód i przyjemności życia potrzebném być mogło.— Dotąd zachowały się reszty budowy, urządzonéj w ten sposob, iż w środku mieści się duża sala z dwoma kominami, służąca za miej-

sce ogólnego zebrania, a dokoła mnóstwo maleńkich pokoików, przeznaczonych zapewne na mieszkania znakomitszych gości; — z jednego z owych pokoi było wyjście na pagórek skopany równo, otoczony dębami, na środku zaś jego znać ślady wytwornego niegdyś ogrodu.

Dziedziniec, gdzie w czasie łowów zbierali się strzelcy, gdzie konie dojeżdżaczy rżały z niecierpliwości, gdzie kopijnicy stawali wyglądając znaku wyruszenia, i trzymając na sworach psy, na których utrzymanie po kilka i kilkanaście wsi corocznie przeznaczano, ów dziedziniec wychodzący ku stronie wsi, znikł zupełnie pod radłem rolnika.

W puszczy białowiezkiéj, gdzie od lat tylu swobodnie rosną i mnożą się drzewa, gdzie przemysł nie wiele ze skarbów natury korzysta, gdzie rzadko kiedy wznoszą się dymy z drzew wypalanych na smołę lub węgiel, para z popiołu, przerabianego na ług lub potaż, w puszczy téj, jak w owych pierwotnych lasach Ameryki, których jeszcze nie tknęła ręka chciwego człowieka, niezliczone mnóstwo rozmaitych zwierząt żyje swobodnie, nie przeszkadzając jedni drugim, nie wytępiając się bez miary.

Żubry gromadzą się w głębi puszczy, tworząc między resztą zwierząt oddzielne i groźne mocarstwo;— Łosie w gęstych zaroślach żują rozma-

ryny i młode jodłowe wypustki;— nad brzegami rzek i strumieni pod zasłoną starych, wywróconych i pruchniejących pni dębowych lub lipowych, bobry, mniej tu przemyślne niż te o których do nas dochodzą wieści, budują sobie z chrustu mieszkania; — pierzchliwa sarna z natężonym wzrokiem przesuwa się między krzewami, a trwożny zając podskakując po wrzosach nadstawia długie uszy, czy nań czasem ryś, wilk, lub ostrowidz nie czatuje za drzewem (1). — Jelenie z rozsochatemi rogami, rącze daniele, przeciskają się przez gęstwiny, uciekając przed zażartym wilkiem;— chytry lis czatuje na leśne kury, wydra łowi ryby w strumieniach, wesoła wiewiórka skacze po drzewach chrupiąc orzechy.

Na starych lipach, wieśniacy, (uzyskawszy za małą opłatą pozwolenie na zakładanie barci), ustawiają ule i znęcają pszczoły; — roje tych pracowitych istot brzęcząc znoszą wonne soki, przerabiając je na sławny ów lipiec, za który dla zbytku, lub na lekarstwo tak drogo płacimy, właściciel ula cieszy się nadzieją bogatego zbioru, a tymczasem bury niedźwiedź właściwie bartnikiem zwany, wdrapuje się na drzewo, roz-

(1) Ryś i ostrowidz do jednego należą gatunku, pierwszy jest pstry i mały, drugi większy, lecz na futrze jego jednostajniejsza, brunatna barwa panuje.

piera gęste gałęzie, i niebaczny na żądła rozpaczających pszczółek, ogania się im niezgrabnie łapami, a chciwym językiem słodki miód wyjada, lub w zbyt żwawéj obronie cały ul strąca na ziemię.

Co krok spotkać można jarząbka, pardwę, cietrzewia, głuszca;— nad bagnami bujają czaple, odzywają się bekasy; — na szczytach drzew niebotycznych, orły i sępy budują sobie gniazda, po starych i wydrążonych pniach osiadają sowy, a miljony drobnych ptaszków, skacząc z gałęzi na gałąź, śpiewem i szczebiotaniem swojém przerywają uroczystą ciszę puszczy.

Pod względem roślin nie mniejszą tu znajdziemy rozmaitość;— a najprzód co do drzew,— jak grunt puszczy dzieli się na piasczysty i urodzajny, tak na pierwszym zawsze prawie wzrastają drzewa kolkowe. na drugim liściaste.

Między kolkowemi drzewami, sosny, jodły, świerki główne zajmują miejsce, modrzewów bardzo mało;— z liściastych zaś drzew trudno oznaczyć jakie na bliższą zasługują uwagę,— czy dęby szerokolistne zasłaniające młode drzewka tegoż samego gatunku, które cisnąc się dokoła pnia olbrzymiego chronią go na wzajem przed wichrami podrywającemi korzenie;— czy białe brzozy chłodzący sok wydające obficie, czy olchy i wierzby ocieniające bagna, i przeglądające się

w rzeczkach.— Lipy jednakże liczbą, pożytkiem i ogromem przewyższają inne drzewa;— z lipy bowiem jak już widzieliśmy, zbierają pszczoły miód słynny białością i słodyczą,— lipa dostarcza kory, czyli łyka na obuwie dla mieszkańców puszczy,— do lipy matka spieszy po kwiat wonny w chorobie dziecięcia, wśród lipowych liści z upodobaniem przebywa mistrz leśnych śpiewaków— słowik.

Topola czarna i biała, osina z drżącym liściem, wybiegają wierzchołkami w chmury; graby, jesiony, jawory, klony szeleszczą różnokształtnym liściem;— grusze i jabłonie sypią obficie dzikie owoce, jarzębina wabi oko czerwonemi gronami swych jagód, z pod świeżego liścia leszczyny rumiane wyglądają orzechy.— Około starych połamanych drzew wiją się bluszcze, powoje zwieszają różnobarwne kwiaty, dzika róża nęci barwą i zapachem, a niżéj czerwone borówki, czarne jeżyny, i niżéj jeszcze soczyste poziomki, wonne maliny zalegają ogromne przestrzenie; u stóp zaś drzew poważne grzyby, rumiane rydze, niekształtne lecz smaczne trufle, zdają się zapraszać wędrowca by osiadł w téj stronie, mieszkańca by jéj nie opuszczał.

Dodajmy do tego spokojną powagę jaką tu wszystko wyraża;— ludzie i zwierzęta nie spieszą, nie trwożą się bez potrzeby, nic ich nie zadzi-

wia, każdy żyje jak żył jego ojciec, dziad, i pradziad, nawet drzewa nie tępione bez potrzeby więcéj tu siły i trwałości mają niż gdziekolwiek indziéj;— Z pni połamanych, po słojach czyli kręgach które corok przybywają dopóki drzewu starczy żywotnych soków, przekonano się, że dęby żyją tu 500 do 600 lat— brzoza do lat 120— grab 250— sosna lat 200— szanowna lipa żyje najdłużéj, bo na jednéj z lip przewróconych oddawna w *Nieznanowie* naliczono 815 słojów.— Niepodobna bez wzruszenia, bez podniesienia ducha patrzeć na te olbrzymy co tyle już wieków przeżyły, niepodobna zapewne oprzeć się chęci wzniesienia modlitwy do prawdziwego Boga w cieniu tych lip i dębów, pod któremi może bałwochwalcza jeszcze Litwa cześć swoim bogom składała,— niepodobna podziwiając wielkie dzieła Stwórcy nie uznać, jak w obliczu ogromnych spraw Jego, drobnémi, nędznémi są owe dzieła ludzkiéj ręki, które przecież tak często z pychą i wyniosłością sławimy.

P. K.

PIOTR BREUGHEL.

W Breughel wiosce bliskiéj miasta Bredy we Flandrji, między ubogimi włościanami błąkał się mały chłopczyna, blady, nędzny, nieśmiały;— był to Piotrek, sierota, żyjący z miłosierdzia wieśniaków.— Gorzkie to było miłosierdzie! przy każdym prawie kawałku chleba wyrzucano mu że jest próżniakiem, że się woli wałęsać niż pracować, że jest ciężarem dla ogółu.— Codzień widział jak matki całowały swe dzieci, jak je usypiały kołysząc i śpiewając, budziły pieszczotami, obsypywały darami, okrywały od zimna, zasłaniały od słońca;— on biedny nie znał tego! Dla niego szczęściem było jeśli mu pozwolono przespać się na słomie w stodole, świeże siano uważał za najwspanialsze posłanie, a za największą ucztę, jeżeli mu wiejska dziewucha pozwo-

liła dojeść resztki swojéj wieczerzy.— Nieraz mniemając że pracą i usilnością zjedna sobie życzliwość swoich dobroczyńców, zaczynał pleć w ogrodzie lub na polu, albo do innéj jakiéj brał się roboty, ale wnet osłabione jego ręce opadały bezwładnie, zimny pot oblewał blade czoło, wycieńczone ciało nie mogło znieść wysilenia;— podnosił się ze łzami, a dokoła śmiano się z niego, nazywając szyderczo— Jegomością.

Mimo to wszystko, trzeba było żyć;— Piotrek wykształcony w twardéj szkole nędzy, poznał że łatwiéj wzruszyć serce niewiasty niż mężczyzny;— całe więc zdolności swoje zwrócił do przypodobania się gospodyniom w Breughel, i zaczął od wyrzynania z kory drzewnéj obrazów Świętych.— Pierwsze próby jego wznieciły podziwienie;— kobiéty nie żałowały mu już chleba, nieraz nawet za piękniejsze dzieło dostał mu się pieniążek, nieznany biedakowi od urodzenia, i niedługo zebrał tyłe, że mu starczyło na zakupienie papieru, pędzla, i prostych farb.

Proboszcz w Breughel pozwolił mu kącika w swojéj kuchni, dał stołek i ławeczkę, a Piotrek wdzięczny za tyle dobrodziejstw, wziął się gorliwie do pracy, która nietylko że go nie męczyła, lecz owszem przydawała mu zdrowia i wesołości.— Gwasze Piotrka rozchodząc się po okolicy nabywały sławy i wziętości, chłopczyna

w krótkim czasie ledwie mógł nadążyć licznym żądaniom, denary i grosze sypały się do kaletki, i za nadejściem zimy, mały malarz kupił sobie ciepłą sukmanę i łóżko, podziękował proboszczowi za gościnność, i najął sobie na wsi izdebkę,— a jak to często bywa, sam znając nędzę, zapragnął ją wspomódz przy pierwszéj sposobności, i przyjął za towarzyszkę biedną starą żebraczkę, która już pracą zarobić sobie chleba nie mogła.

Piotrek więc był bogatym; miał swój kącik, nie prosił o nic nikogo! — był szczęśliwym, bo dzielił się swojém mieniem z biedniejszemi od siebie, o! i dzielił się serdecznie, nie tak jak się z nim niedawno dzielono.

Mieszkaniec bliskiego miasteczka przejeżdzając przez Breughel ujrzał roboty Piotrka, a znając się na malarstwie, niemógł wyjść z podziwienia że chłopczyna nie mający innego o sztuce wyobrażenia prócz tego jakie powziął z biblji proboszcza ozdobionéj obrazkami; — kupił od niego kilka obrazów świętych, i kazał je sobie przynieść do domu.

Piotrek uszczęśliwiony poszedł w niedzielę do miasta; — pierwszy raz w życiu je widział, pierwszy raz jadł obiad przy nakrytym stole u mieszczanina, i co największa, poprowadzony przez niego do kościoła, pierwszy raz ujrzał wielkie obrazy. — Przyglądał się im z uniesieniem, dotykał ciekawie, i począł pytać swego przewodni-

ka, jakim sposobem można było tak pięknie i trwale malować?

— Niewiem, odrzekł mu tenże, ale słyszałem że to się nazywa malowanie olejne, i że cały obraz nie na papierze, lecz na płótnie się robi.

Chłopiec począł się przyglądać na nowo, nazajutrz znów przyszedł do kościoła, patrzył, myślał codzień po kilka godzin, nakoniec po tygodniu kupił czego mu było potrzeba, wrócił do swojéj wioski, i za miesiąc przyniósł swemu opiekunowi obraz olejny do miasta.— Bez nauki, bez pomocy, bez najmniejszego o sztuce wyobrażenia, doszedł sposobu łączenia i rozrabiania farby— nic dziwnego— to był genjusz!

Mieszczanin, Piotrka znajomy, choć sam był tylko kupcem płótna, poznał że w dziecięciu tém było coś nadzwyczajnego, przywiązał się więc szczerze do niego, i zabrał go z sobą do Bredy, gdzie w ówczas mieszkał bardzo wzięty malarz Peters Koeck.— Koeck przyjął go dobrze, począł go zachęcać, nauczać, a poznawszy wielką zdolność Piotrka ofiarował się przyjąć go na naukę, dać mu żywność, mieszkanie, odzienie przez cztery lata, pod warunkiem, aby młody malarz dopomagał mu w pracy, i nie żądał pieniężnego wynagrodzenia.— Była to piękna przyszłość, lecz chcąc dojść do niéj, trzeba było porzucić izdebkę którą Piotrek tak już polubił, trzeba by-

ło rozstać się z staruszką którą przygarnął, która go pierwsza na świecie popieściła przywłaszczoném, ale zawsze dla sieroty słodkiém syna imieniem; — nie mógł się na taką zdobydź ofiarę!

Przez dwa miesiące przebył w Bredzie, malował w pracowni Koecka, uczył się czytać i pisać od starego bakalarza, i powrócił do Breughel, z próżnym workiem, ale z paką farb, płótna i książek z których już czytał tak jak sam jego nauczyciel, a rozumiał nierównie więcéj.

Wziął się na nowo do pracy;— co parę tygodni posyłał do Bredy obraz, który mu znany handlarz sprzedawał; zebrawszy nieco grosza począł malować znacznie większy obraz przedstawiający śmieszną rozprawę postu z zapustem.— Ukończywszy go, wziął swoje dzieło pod pachę, i poszedł do Bredy;— poszedł piechotą— miał dopiero lat siedemnaście— a w tym wieku, po całoroczném siedzeniu nad pędzlami tak miło przejść mil kilka!

W drodze, dogonił go jakiś młodzieniec jadący konno, ubrany bogato, za którym nieopodal dwóch służących jechało.

— Héj! chłopcze!— zawołał podróżny: cóż to niesiesz pod ręką?

— Niosę do miasta obraz na przedanie, odpowiedział młody wieśniak:

— Pokaż mi go, jeśli dobry, to ci drogi ukrócę.

Piotrek rozwinął obraz.— Młodzieniec przypatrywał mu się długo i z wielką uwagą, nakoniec zapytał:

— Któż ci to dał ten obraz do przedania? i jak można było powierzać ci przedmiot takiéj ceny?

— Nikt mi go nie dał, bo to mój obraz.

— Twój? a jakżeś go dostał? chłopcze!— alboś ty kłamcą— albo jeszcze gorzéj.

— Ani jednérn, ani drugiém łaskawy panie, obraz jest moim, bom go sam malował, i dla tego niosę go do handlarza Jakóba Eleasa, od którego pewnie śliczną sztukę złota dostanę.

— Nie zwiedziesz mię tak łatwo wiejski prostaczku! tybyś miał być twórcą tego arcydzieła?— a gdyby i tak było— czyliżbyś nie wiedział że za ten obraz zamiast jednéj, możesz dostać sto sztuk złota.— Ale nie— znam pędzel tego mistrza, mnóstwo dzieł jego widziałem w Hiszpanji, gdzie je na wagę złota kupują.

— O! to być nie może!

— Tak jest— chociaż na tym obrazie nie ma jak na innych podpisu malarza, niepodobna się omylić;— ta zgodność w utworze, ten rysunek tak prawdziwy i poprawny, ta świetność farb mogła tylko wyjść z pod pędzla Breughela.

— Choć to nie moje nazwisko, ale tak się

zowie wioska w której mieszkam i pracuję;— nie wiem dla czego Eleas dał ten podpis innym moim obrazom, ale przysięgam na wszystko co mi jest świętém, że ten który niosę sam malowałem.

— A *Wieżę babilońską?*

— I *Wieżę babilońską*, i *Wymordowanie młodzianków*, i *Nawrócenie Świętego Pawła*, i *Wiejską mszę*.....

W mowie Piotrka przebijała się prawda i zapał;— przekonanie wstąpiło do duszy młodzieńca— zsiadł z konia i rzekł:

— Kiedy tak, oto masz dwieście sztuk złota za obraz. Wracaj do Breughel, i ja z tobą pójdę;— będziesz mię przez dwa miesiące uczył malować, a za to zapłacę ci pięćset sztuk złota.

Piotr myślał że z niego żartują;— lecz kiedy na skinienie młodzieńca jeden z służących wyliczył mu przyrzeczoną summę, kiedy wróciwszy do wsi ujrzał jak już w jego izdebce i całym domu uprzątano, czyszczono, zawieszano obicia, sprowadzano zakupione na prędce sprzęty, rozstawiano kosztowne drobiazgi podróżnego młodzieńca— kiedy ujrzał starą swoją gospodynię przecierającą oczy z podziwieniem, uwierzył że nie sen go łudzi, i z całą gorliwością począł pełnić obowiązki nauczyciela.

Uczeń jego szybkie czynił postępy, ale i w malarzu codzień większa zachodziła zmiana;— przy-

wykły do towarzystwa prostych wieśniaków, z podziwieniem słuchał rozmów nieznanego młodzieńca, przejmował jego sposób obejścia, podziwiał naukę, podnosił się mocą genjuszu, i wkrótce, wielkością myśli, szlachetnością uczuć stanął obok niego. — Przy końcu drugiego miesiąca dwaj młodzieńcy byli przyjaciołmi;— i ująwszy się pod ręce chodzili wieczorem po polu za wioską rozmawiając poufale:

— Powiedz mi, mówił Piotr:— dla czego mając takie bogactwa, tak zupełną swobodę, pracujesz tyle by się nauczyć malarstwa?

— Dla sławy!— Piotrze, ja chcę sławy!— co mi po skarbach świata, kiedy nikt o mnie nie wie, nikt mojego imienia ze czcią nie wspomina.— Tyś szczęśliwy!— Byłeś żebrakiem, sierotą, nie miałeś imienia— a dziś kiedy masz sławę, imię się znalazło.— Imię Breughela z poszanowaniem wymawia cała Hiszpanja i Niderlandy.— I ja chcę dojść do tego.— Ty mi pomożesz— nieprawdaż Piotrze?

— O! z serca!— Ale czyliżeś i ty sierotą?

— Niewiem.— Ale cóżbym dał za to, gdyby mi kto powiedział— synu! bracie!

Młodzieńcy wrócili do domu.— przed progiem goniec w bogatéj odzieży oddał uczniowi Piotra zapieczętowane papiery.

Był to list Filipa II. władcy Hiszpanji i Niderlandów.

Młodzieniec zbladł i zachwiał się, lecz przeczytawszy pismo, rzucił się na szyję Breughela, wołając:

— Nie jestem już sierotą!

W istocie, był to Don Juan Austryacki, syn Karola V. brat Filipa II. któremu dla burzliwości jego charakteru tajono dotąd wysokie pochodzenie.

Wiadomość ta zmieniła jego zamiary, lecz nie zmieniła uczuć.— Don Juan, zamiast pędzlem, orężem dobił się sławy, ale nie przestał być przyjacielem Piotra, który pojechawszy z nim do Hiszpanji został przedstawionym królowi, i obdarzonym wspaniale.— Wdzięczny za gościnne przyjęcie wypłacił się Hiszpanji pysznemi obrazami, lecz ani zaszczyty, ani bogactwa, nie przynęciły go do obcego kraju, w kilka lat wrócił do ukochanéj Flandrji, zwiedził rodzinną wioskę, wszedł w stosunki z znakomitymi mężami, i nie wzbudzając zazdrości, do końca życia zachował przyjaźń i szacunek znajomych, podziwienie artystów.— Odnowił znajomość z nauczycielem swoim Petersem Koeck, którego téż corkę pojął w małżeństwo.— Dwaj synowie jego idąc w ślady ojca odziedziczyli część jego talentu, i zjednali sobie sławę;—jeden z nich celował w przedstawianiu okropnych przedmiotów, drugi dla szczególnéj delikatności i wykończenia dzieł swoich

otrzymał nazwisko— Breughel axamitny— lecz żaden nie dorównał ojcu, który bez nauki do tego stopnia doskonałości doszedł, że Rubens tak wykształcony i wymagający chwalił głośno jego dzieła, przedstawiał je za wzór swym uczniom, i tylko w pędzlu jednego Teniersa podobieństwo z nim upatrywał.

P. K.

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Przemysł.

Raz wszedłszy na drogę odkryć i wynalazków młode pustelnice postępowały po niéj olbrzymim krokiem,— pamiętając piękny len szkocki szukały długo podobnéj rośliny, i lubo nie zupełnie taką, znalazły przecięż.— *Phormium tenax*

(w botanice zwana) roślina o długich liściach podobnych do liści irisu, dostarczyła im nici;— liście te giętkie, włókniste, dały się łatwo drzeć w wąziutkie paseczki,' a te, wyschłe i wytarte mocno, nabierały białego koloru i zupełnie były podobne do nicianych sznureczków— témi nićmi troskliwa Marja zszywała suknie dopóki było można; lecz zszarzane długiém używaniem mimo wszelkich starań opuszczały je widocznie, a tymczasem zbliżający się czerwiec i z nim coraz częstsze zimna i deszcze, wskazywały konieczną potrzebę obmyślenia trwalszego odzienia nad liście bananowe, których w ostateczności użyć zamyślała.

Chociaż zbieranie owoców było wyłącznie Sary zatrudnieniem, Marja ciekawa poznać własności drzew różnych i ich liści, weszła pewnego ranka po nachylonym kokosie między palmy, i pnąc się po gałęziach zbierała nieśmiałą ręką daktyle, zaglądała ciekawie w gniazdka wiszące między liśćmi;— nagle nieznany przedmiot uderzył jéj oczy, u wierzchołka palmy któréj liście różniły się cokolwiek od zwyczajnego gatunku, zamiast owoców, zwieszały się torby ciemnéj barwy, miękkie, włókniste, na półtora blisko łokcia długie; — miła myśl zabłysła Marji:— gdyby z tego można zrobić odzienie? i wnet odrywa jednę, przynosi do chatki,

ogląda, dotyka, i poznaje że wewnątrz mieszczą się owoce;— aby je wydostać Marja przedziera worek ostrym kamieniem, przekonywa się że wytarty mocno staje się miękkim, gładkim, do wełnianéj materji podobnym, że go równo rozciągnąć i na dwie części rozkroić można.— Szczęśliwa swojém odkryciem w tajemnicy je zachowuje; a ile razy Sara i Emma oddalą się od palmowego lasku, ona śpieszy po kokosowym moście, zrywa torby *(spathy)* ile zabrać może i ukrywa starannie;— zebrawszy ich dostatek, namawia Emmę, aby niby na zapas przygotowała znaczną ilość nici formjumowych a sama wydobywszy owoce ze *spathów* wyciera je mocno płaskim kamieniem, ze zbioru Sary wybiera ostrą muszlę, i porozrzynawszy nowo odkrytą tkaninę, zajmuje się przyrządzaniem ubiorów.

Przez cały dzień następny Marja szyła, przypomniawszy sobie upodobanie z jakiém w Wilton-hallu rozliczne wymyślała i naśladowała stroje, chciała nietylko wygodne lecz i kształtne utworzyć suknie; Emma i Sara nie przeszkadzały jéj bynajmniej, każda bowiem w innéj stronie zajętą była, tylko od czasu do czasu odzywając się kolejno, dawały sobie znać że są siebie blisko.

Zbliżył się wieczór, Sara w cieniu ogromnéj akacji zastawiła stół upleciony z bambusowéj trzciny, nakryła go palmowemi liśćmi, przysunę-

ła trzy kamienie w miejsce krzeseł, i podała pieczonego bezłotka na wielkiéj płaskiéj muszli. W trzcinowym koszyku daktyle i winne grona mile wzrok nęciły, świeża woda u bliskiego źródła czerpana stała w kokosowych łupinach, muszle okrągłe służyły za talerze, podłużne przytwierdzone do drewnianych trzonków zastępowały łyżki, ostre wzajem o siebie wygładzone kamyki w doskonałe zamieniły się noże, a widelców dostarczyły kolce *zamji*.

Przyrządziwszy to wszystko, Sara czekała przez chwilę, a widząc że nikt nie spieszy do stołu, poczęła wołać Marji i Emmy.

— Idę, idę— zawołała Emma wybiegając z za drzewa, i ukrywając cóś w podartym rękawie od sukni.— Ale— gdzież Marja?— cożeście wy dziś obie robiły że was prawie przez cały dzień nie widziałam.

— O! to tajemnica, przygotowałam niespodziankę dla Marji.

— Doprawdy?— patrz! to jedną myśl miałyśmy obiedwie.

— Ale cóżeś ty Saro wynalazła?

— Pójdź zobacz!

Poprowadziła dziewczynkę w zarośle, i pokazała parę ślicznych sandałków stojących przy pniu wywróconego drzewa, ziemia zasłana była bananowemi liśćmi, i tuż obok w ogromnéj muszli

czysta woda oczekiwała gościa, względem którego w tém miłém ustroniu Sara chciała starożytny zwyczaj gościnności wykonać.

— Śliczne! śliczne! wołała Emma oglądając obuwie składające sie z zgrabnéj podeszewki wykrojonéj kamiennym nożem z wewnętrznéj części kokosowéj skorupy, do któréj przytwierdzone białe pletnie z *tenaxu* tworzyły sławne w starożytności koturny.

— Doskonała myśl! powtarzała Emma;— widzę że i mój dar tu umieścić można.

J na pniu złożyła grzebień, własną ręką wyrobiony, z wspomnionéj dopiero kokosowéj skorupy, w któréj wąziutki pasek, starannie i równo powbijała kolce *zamji* wygładzone i zaokrąglone kamykiem.

Głos Marji wywołał je ku stołowi,— ale z jakiemże zadziwieniem ujrzały ją przybraną w nową ciemną suknię, któréj fałdy ściśnięte białym sznurem spływały do stóp, a szerokie rękawy podpięte takimże sznurem i kutasami nadawały jéj jakiś niezwykły powab i zręczność.— Długo trwały badania i podziwienie, dłużéj jeszcze radość, bo oprócz sukięn w które Sara i Emma tegoż jeszcze wieczora się ubrały, odkryta materja mogła im do rozmaitego służyć użytku;— nakoniec zasiadły do wieczerzy, i ani wątpić można że po dniu tak spędzonym, miły nastąpił spoczynek.

Tak więc wszystkie trzy ubiegały się o pomnożenie przyjemności i wygody pożycia, a przy chęci i dowcipie codzień prawie nowy jakiś wynalazek przybywał w pomoc wygnankom.

Z palmowych liści plotły maty, a wypełniwszy je mchem i suchémi liśćmi wyściełały wybornémi poduszkami łóżka i krzesła, rozciągały zamiast kobierców na ziemi; zawieszały je dokoła swéj chatki, i tym sposobem utworzyły sobie na dżdżystą porę ciche i wygodne schronienie.

W szczęśliwym klimacie pod który je morze wyrzuciło nie było zimy; czerwiec tylko i lipiec wilgotny, czasem nawet wielkiemi ulewami straszące, lecz często pogodnémi przeplatane dniami, najprzykrzejszą porę roku stanowiły.— Uzbroiwszy się przeciw niéj o ile było można, wygnanki przebyły te parę miesięcy mało wychodząc z chatki, lecz za to pracowały nad przyrządzaniem odzieży przydatnéj na odmianę, kręciły nici, obrabiały muszle stosownie do różnych celów; już to dobierając je równo i wiercąc małe otworki, spajały dwie części nićmi z *tenaxu* i tworzyły pudełka, już ostrząc o kamienie sporządzały ostre delikatne nożyki, do krajania palmowych spathów.— Przemyślna i pracowita Sara, doskonaliła gospodarskie narzędzia;—z bambusowéj trzciny płotła rószty, strugała rożny, wyrabiała koszyki i przetaki, dobierała różne gatunki gliny i

probowała lepić z niéj naczynia, bo domową ręczną pracę od samego początku przyjęła na siebie, i oddawała się jéj z upodobaniem, z zapałem.— Czynna, silna, szydząc z zimna i niepogody, nieraz mimo próśb i przełożeń Marji wybiegała w głąb lasu, wybierała jaja z gniazd papugom, dzikim kaczkom i łabędziom przebywającym nad brzegami jezior, chwytała zmokłe kuropatwy, łowiła w sidła niciane drobniejsze ptastwo.— Nemrod wierny towarzysz jéj trudów znosił żółwie, gonił wodne kury, walczył z bezlotkami i zwyciężał je, a ile razy przyniósł dziwnego tego ptaka, Sara obsypywała go pochwałami, nie żałując w nagrodę części zdobyczy;— bo téż bezlotek pomimo niezgrabnéj postaci, króciuchnych skrzydeł, i śmiesznie podskakującego chodu, rozliczne przynosił korzyści;— mięso delikatne upieczone nad żarem, przyprawione pistacjami i cytrynowym sokiem doskonałym było pokarmem, tłustość nalana w kokosową łupinę wieczorami oświecała maleńką chatkę, pierze poskubane starannie dodawały miękkości posłaniu, a skóra gruba, miękka, wysuszona i wygładzona kamieniem rozmaicie używaną być mogła.

Wesoła, pieszczotna i trochę próżna Emma szczęśliwa z tysiącznych odkryć, przestała żałować wygód domowych, polubiła czynne i urozmaicone życie na puszczy, przywiązała się do

tkliwéj Marji, do żwawéj, dogadzającéj jéj we wszystkiém Sary. Z całéj przeszłości tylko obraz wuja pozostał jéj żywo w pamięci, a przy każdém odkryciu, żałowała że on tak pięknych i dziwnych rzeczy widzieć nie może.— Pragnęła by kiedy przybył do ich kraju (tak nazywała miejsce swego pobytu), lecz o dostaniu się do Anglji nie myślała wcale, bała się morza, ostatnia żegluga zraziła ją od podroży.— Bujając swobodnie jak ptaszek, rozwijała się pod wpływem pogodnego nieba; dziecinna, nie lubiła zajęcia wymagającego ciągłéj usilności, ale jak motyl z kwiatka na kwiatek, tak ona od jednego do drugiego przeskakując przedmiotu, starała się wszystko ozdobić, upięknić, słowem była to angielska wykwintnisia, szukająca wszędzie nietylko pożytku, lecz i wytworności.

Kolorowe muszle dostarczały jéj materjału na bransolety i naszyjniki, z nasion rozmaitych roślin nawleczonych w kształcie perełek robiła śliczne siatki na głowę,— w maty palmowe wplatała drobne kwiateczki by im ładniejszy nadać pozór, najpiękniejsze rośliny zbierała na wieniec dla siebie i swych towarzyszek, z pior różnobarwnych które obficie znajdowała po lesie składała kształtne wachlarze, słowem bawiła się przez dzień cały, zdobjąc wszystko co jéj pod oko pod-

padło, stosując wszystko nie do potrzeby, bo te Sara i Marja zaspakajały, lecz do chwilowéj przyjemności.

Myśląca Marja z niespokojnością patrzyła w przyszłość.— Umiała ona być niebu wdzięczną za doznane dobrodziejstwa, umiała przestawać na swojém położeniu, i zwyciężać tęschnotę za rodzinną ziemią, lecz drżała o swoje towarzyszki; lękała się aby czynna Sara znudzona jednostajnością życia, samotnością, ciszą panującą dokoła nie zapragnęła wrocić do świata, do ludzi— żeby Emmy umysł rozwijając się coraz mocniéj, nie wydarł się za ciasne krańce wybrzeża, nie zatęschnił za rodziną, nie oburzył się na zbyt szczupły zakres wrażeń i czynów.— Dla tego wynajdywała coraz nowe potrzeby, starała się utrzymać je w ciągłym ruchu, a nadewszystko wykształcić ich dusze, natchnąć ufnością w dobroć Boga, zdaniem się na Jego wolę, i uwielbieniem dla niezmierzonéj mądrości Stwórcy.— W czytaniu Pisma starego zakonu czerpała wiadomości zajmujące żywo wyobraźnię, obrazy wielkości i mocy Najwyższego;— w Ewanielji poiła się natchnieniem, przejmowała się niezmierzoną miłością Zbawiciela, posłuszeństwem dla Jego nauki;— w dziejach apostolskich uwielbiając odwagę pierwszych uczniów Chrystusa, rosła w siłę i męztwo, nabierała wymowy i daru przekonania.

a kiedy towarzyszkom swoim poczęła mówić o Bogu, pobożność jéj i zapał przechodziły w ich dusze, podnosiły je ku niebu, i szczerą wdzięczność, serdeczną ufność budziły.

— O! mawiała Marja: — niedocieczone są sprawy Boga!— Wiemyż dla czego tu, a nie gdzieindziej przybił skołatany nasz statek?

— Abyśmy za doznane cierpienia spoczęły swobodnie;— odpowiadała Sara.

— Może téż dla tego; — mówiła Emma, żeby te śliczne kwiaty nie więdły bez pożytku, żeby ptaszki i motyle nie ginęły niewidziane od ludzi.

— Albo — kończyła Marja:— żeby w téj samotni wzniosła się z serc naszych chwała Najwyższego!

I tak ważnym celem przejęte, klękały do modlitwy, a zachodzące słońce złotém światłem oblewając ich twarze, zdawało się poświadczać wyrazy młodéj mistrzyni.

W kilka lat po wylądowaniu wygnanek, maleńka ich osada milszą przybrała postać; nic im prawie nie brakowało do wygodnego życia, a nawet zbytek wciskać się w nie począł.

Wiedząc z doświadczenia że w czasie dżdżystéj pory woda potokami spływając z góry, mogła zamoczyć a nawet zniszczyć ich mieszkanie, zabezpieczyły się od niéj wzniesieniem w pobliżu tamy, ułożonéj z kamieni i chrustu, i obsypanéj piaskiem i ziemią,— ciężka to była praca, lecz powoli, uskuteczniły ją drobne ręce kobiece, i odtąd choć ulewa szumiała po drzewach, w maleńkiéj chatce cicho i spokojnie było.— Grobla ta zstępując z pagórka w lekkiém zagięciu, tworzyła przed mieszkaniem dziedzińczyk suchy, czysty wśród którego wykonywały się wszystkie gospodarskie prace.— Tu ulepiony z gliny i kamieni stał kominek, na którym Sara nietylko zdrowe lecz wytworne przyrządzała potrawy;— daléj pleciona z gałęzi, osłonięta palmową matą budka, zawierała rozmaite zapasy domowe, naczynia i drobniejsze sprzęty,— daléj jeszcze, kawałek gruntu otoczony sztachetą z trzciny, pokryty chrustem zajmował miejsce kurnika, gdzie na czas niepogody, przezorna gospodyni hodowała bezlotki i kuropatwy;— przy wnijściu chatki stał domek wiernego stróża, Nemroda, wysłany mchem zielonym, którym łagodne zwierzę dzieliło się chętnie z młodym kangurem, schwytanym w pierwszych dniach życia przez Sarę, a pieszczonym młodéj Emmy wychowańcem.

Nad brzegiem morza wygnanki miały także

osadę;— tam odbywało się warzenie soli, o tyle tylko zadające im pracy, ile potrzeba by pewną ilość płytkich muszli morską wodą napełnić, która potém wystawiona na mocne działanie słońca, parowała, ulatniała się, zostawiając tylko zeszklone cząstki solne;— tam przyparty do skał rósł olbrzymi warek *(varec)* którego liście osadzone na kiju, przez cały dzień za parasole służyć mogły, tam nakoniec poławiano czernice (sepje) w których wnętrzu zawarty sok czarny zastępował miejsce atramentu, i ważniejsze jeszcze pożytki przynoszące, szynki morskie (pinna marina).— Wygnanki winne były Nemrodowi to odkrycie;— on bowiem zbierając sobie ślimaki w obecności Sary, wzbudził jéj ciekawość uporczywém obgryzaniem i lizaniem nadmorskiéj skały, zbliżyła się by poznać co go tam nęciło, i spostrzegła muszlę wielkości dziecięcéj ręki, przyczepioną do skalistéj ściany miękkim, zielonym jedwabiem, wychodzącym z jéj pyszczka.— Pochwyciła ją skrzętnie, a po niewielu doświadczeniach okazało się że jedwab ten dał się z łatwością wyrabiać, i do rozlicznych zastosować użytków.

Nazbierawszy pewną ilość muszli, Sara kładła je na mocno rozgrzanym kominie, po zupełném ich uśnięciu odejmowała jedwab, który wysuszywszy należycie, czesała z pomocą Emmy grzebieniami z zamji: a potém na przemiany wszystkie

trzy przędły go w nitki, robiły siatki do chwytania ptastwa i łowienia ryb w jeziorku, a nawet, urządziwszy sobie po wielu próbach z prostéj i cienkiéj trzciny krosienka, tkały nakształt płótna w niewielkie kawałki, które potém pozszywane starannie, zastępowały bieliznę, i służyły do ozdabiania mieszkania;— barwa jedwabiu złocista lub blado-zielona wdzięcznie odbijała od ciemnych sukien z palmowéj tkanki, a Emma korzystając ze sposobności, zdobiła je wyszywając w rozliczne wzory (1).

Codzień prawie przybywało wygnankom doświadczenia i wiadomości;— botanika szczególniéj szerokie im do badań otwierała pole;— palmy wszelkiego gatunku stanowiły główne źródło ich dobrego bytu, — owoce palmy chlebowéj, sok winodajnéj, mleko kokosowéj, liście daktylowéj, tkanka torebkowéj, wszystko to składało się na uprzyjemnienie im życia; — gumm wypływających z drzew używały na potrzebne i zbytkowe przedmioty, wonne krzewy i zioła przesadzały w sąsiedztwo swego mieszkania, siały dokoła rozmaite kwiaty, i każdy nowo odkryty skarb przyswajały sobie, jako prawą własność.

---

(1) Rękawiczki wyrobione z jedwabiu szynki morskiéj, widzieć można w warszawskim gabinecie zoologicznym.

Po kilkoletnim pobycie na pustém wybrzeżu nic prawie samotnicom naszym nie pozostawało do życzenia.— Dni upływały im w pracy, wieczory na rozmowie, czytaniu lub śpiewie, krótkie noce w spokojnym pokrzepiającym śnie, który zwykle udziałem sprawiedliwych i ufających w Bogu bywa.

Wejdźmy na chwilę do szczupłego domku, który nieznacznie zmienił się w wytworny salonik, i spojrzyjmy jak hojnie natura zaspokaja wymysły człowieka, byle tylko po jéj dary nie lenił się wyciągnąć ręki.

Deszcz leje na dworze, szumi po gałęziach, potokiem spływa około tamy, ale w folwarczku (tak Sara mieszkanie nazywała), nikt się o to nie troszczy.— Ptastwo śpi pod chruścianą zasłoną, Nemród zakopał się w mchu i suchych liściach, a panie jego w miłém swojém schronieniu zapomniały że niepogody bywają na świecie.

Chatka wygnanek przez podebranie ziemi z pagórka, powiększyła się znacznie; posadzka w niéj sucha, ozdobna, na piasku bowiem ułożono kamyki, poobtykano je szczelnie mchem, a potém nazbierawszy gumm i żywic rozmaitych, roztopiono je w muszlach przy ogniu, i polano niemi ów bruk kamienny, w stygnącą polewę poukładano drobne muszle

w rozliczne wzory, wygładzono taczając ostrożnie okrągłym kamieniem, a po zupełném zastygnieniu pustelnice ujrzały pod nogami swémi prześliczną mozaikę, która czysto utrzymymana pyłu ani wilgoci nie dopuszczała.— Dokoła, od ziemi ścianka wzniesiona również z kamyków gummą oblanych strzegła raz obranego obwodu chatki, i wspierała osadę korzeni tworzących główne jéj zarysy.— Od samego wierzchu aż do ziemi palmowe liście ułożone starannie dozwalały ściekać deszczowéj wodzie, a znany już wygnankom kauczuk, czyli gumma sprężysta, wypływająca w postaci mlecznego soku z rośliny zwanéj *ficus elastica*, roztopiona przy ogniu, zmieszana z piaskiem i drobnémi patyczkami, a potém wylewana na dach cały, tworzyła pokrycie nieprzebyte tak dla wilgoci, jak i dla skwarnych promieni letniego słońca.

Wewnątrz, ściany wybite matami z palmowych liści nie dopuszczały chłodu, spathy połączone w duże sztuki i poszyte w białe kraty pokrywały pletnie nakształt obicia, a u góry draperje z zielonéj jedwabnéj tkanki, podpięte białemi sznurami z tenaxu, ozdobione zamiast bronzów błyszczącémi skrzydelkami motyli, mile wpadały oko.— Wielka sztuka palmowéj tkanki podlana gummą sprężystą, i skórami bezlotków podszyta zawieszona w miejscu drzwi, zasłaniała

należycie wnijście, a w tak opatrzonym domku, można było żartować ze słoty i ulewy.

Wieczorem, trzy wygnanki siedziały w swojéj salce, każda z nich na bambusowém krześle wysłaném dokoła mchowémi poduszkami, w jedwabnych długich szatach, w krótszych lecz obszernych spathowych tunikach, w czarnych puszkowych pelerynach sporządzonych ze skórek łabędzich, na nogach miały znane nam już sandałki, i jedwabne pończochy, roboty cierpliwéj Marji, a miękkie futro dziobaka rozciągnięte na posadzce, od najlżejszego broniło je chłodu. Pomiędzy niémi, stał z bambusu pleciony stolik, na którym kilka kawałków kory brzozowéj cieniutko dartéj naśladowało doskonale wytworny nasz papier, piórka i pędzelki leżały tuż obok, w kałamarzu wyżłobionym z kawała przezroczystego kopalu sepja czekała aż wprawna ręka zaczerpnie z jéj głębi, środka do wynurzenia pomysłów młodéj głowy, i uczuć tkliwego serca.— Sara przędła bisior na prostém wrzecionie, i z furkaniem jego łączyła wesoły spiéw szkocki, Marja na cienkich prątkach wykończała arcydzieło sztuki i zbytku— rękawiczki jedwabne!— a Emma zapatrując się na wytworne druki papierowych pieniędzy, gotowała się do pisania dziennika, którego cząstkę wkrótce czytać będziemy, a zwieszona od dachu jedwabna przejrzysta siatka roz-

pięta w sześciokąt patyczkami, zawierała dziesięciu *fulgorów* czyli latarników, których blask fosforyczny, łagodnie całą chatkę oświecał.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

URYWEK LISTU Z WARSZAWY.

. . . . Wśród zabaw w jakie i wśród lata obfituje Warszawa a raczéj jéj okolice, wśród owych tysiącznych dzwięków muzyki które w dni pogodne co krok witają przechodnia, zwolna, zcicha zaczął się wznosić poważny, smutny odgłos obawy i niepewności;— nieustanne prawie deszcze zagrażają zbiorom,— trwoga rolnika potrosze i miastu udzielać się zaczyna. ależ to jeszcze nieszczęście niepewne, dalekie;— słońce codzień częściéj przebija natrętne chmury— kto wie?— może wreszcie i trwała zabłyśnie

pogoda.— Nagle— brzegiem Wisły sunie się od Zawichosta groźna wieść.— Woda na Wiśle przybiera!— Władze ogłaszają wieść tę mieszkańcom nadrzecznym, ostrzegają o niebezpieczeństwe, zachęcają do ostrożności.— Nadwiślanie wynoszą i wywożą sprzęty, niektórzy osiadają przy krewnych lub znajomych w bezpieczniejszéj stronie miasta zamieszkałych, inni przenoszą się na piętra i poddasza, boć tak wysoko nigdy woda nie sięgała,— inni jeszcze, ufniejsi lub biedniejsi czekają do ostatka;— może téż to nie zbyt wielka powódź będzie, może nie dojdzie do ich chatki? a przeprowadzanie się pewny wydatek i stratę czasu pociągnie.— Czekają, a tymczasem woda się wznosi— na pięć— dziesięć— piętnaście— dwadzieścia i dwie stopy nad zwykłą wysokość!— Kto nie zdążył zabrać swojéj chudoby niech się z nią pożegna— kto nie zszedł ze schodów osiada na dachu— w miejscach gdzie przed dwoma dniami igrały dzieci, dziś pływają statki, a rozchukana Wisła porywa je w swoje wiry, wywraca, topi przeprawiających się!— Spienione fale unoszą stogi siana, szczątki budynków, stada gęsi, najrozmaitsze przedmioty przed godziną jeszcze w użyciu nadwiślan będące; wzdłuż jednego i drugiego brzegu rozlegają się jęki zniszczonych mieszkańców, a przerażona Warszawa z nadbrzeżnych wzgórków pogląda na straszliwą klęskę, za-

łamuje smutnie ręce, i — spieszy łagodzić jéj skutki.

Na pierwszą wieść o powodzi, w murach miasta powstaje myśl niesienia pomocy nieszczęśliwym; — myśl ta rośnie, rozwija się, olbrzymieje razem z klęską. — Towarzystwo Dobroczynności staje się tłumaczem powszechnego uczucia, podaje rękę dotkniętym strasznym wylewem, i wzywa Warszawian do współdziałania. — W jednéj chwili obok nieszczęścia staje pociecha; — otwierają się gmachy na przyjęcie tułających się bez schronienia, rozpalają ognie, przyrządzają posiłek dla zgłodniałych, każdy pośpiesza z ofiarą; — tysiące, sta, złotówki i grosze, chleb i sól, czas, zdrowie i pracę, czém tylko kto rozporządzić może, niesie na ółtarz miłości bliźniego. — Zdumiesz się słysząc że w krótkim czasie, kilkadziesiąt tysięcy złotych wpłynęło do kassy przeznaczonéj na wsparcie nadwiślan. — Ale pieniądze — to mała ofiara! — Na dachach nadbrzeżnych ulic, na drzewach, po wioskach i osadach, nieszczęśliwi wyciągają ręce, wzywają ratunku — im nie pieniędzy potrzeba! — Wzburzona Wisła pieni się i szumi, u brzegu ładują w statki chléb i inną żywność, przewoźnicy chwytają wiosła, — oni się wody nie boją! — Całe ich życie w zapasach z nią spłynęło, a teraz choć przeprawa niebezpieczna, chęć wspomożenia współbraci podwaja

ich odwagę.— Lecz nie dość niepewnéj pomocy, trzeba się przekonać o stanie nieszczęśliwych, poznać ich potrzeby, ich położenie, by skuteczny nieść ratunek, a razem nie trwonić dobroczynnych darów;— więc mąż sędziwy przewodniczący towarzystwu siada w czółno;— w drugie dwaj inni mężowie,— i niebaczni na grożące nurty spieszą odważnie dopełnić obowiązku, a raczéj poświęcenia dla ludzkości;— i to poświęcenie powtarza się codzień, dopóki tylko trwa niebezpieczeństwo.

W każdym domu ujrzysz jakiś ruch tajemny.— Ojciec już dar pieniężny złożył dla nadwiślan, pomagał w rozdawaniu żywności, lub zbieraniu składek na ich korzyść.— Matka wybiera bieliznę, odzież, obuwie, bo i to pożądane przyniesie wsparcie;— dziewice kończą pozaczynane robotki— miały one służyć do stroju, do zbytku, teraz spieniężone w sklepie ubogich do wyższego posłużą celu;— dzieci wytrząsają torbeczki i pudełka, te grosiki co na przysmaczki i zabawki przeznaczone były, pójdą na chleb dla zgłodniałych— służące nawet z ciężko zapracowanéj zapłaty chętnie składają część jakąś, dla biednych którym woda wszystko zabrała.

Ale— powiesz mi może:— „opowiadasz rzeczy których widzieć nie mogłaś.“— Tak, nie wszystko widziałam własnémi oczyma, lecz słyszałam wię-

céj niż wypowiedzieć zdołam, a czego naocznym byłam świadkiem, to ci tu jeszcze opiszę.

W miejscu zwaném *Ordynackiem*, na wzgórzu panującém ponad Wisłą stoi *Dom zdrowia*, przeznaczony dla osób nie zupełnie ubogich a przecięż nie będących w stanie leczenia się w własnym domu,— ten dom zupełnie próżny w tych czasach, obróconym został na miejsce schronienia dla tułaczy z nad Wisły.

Blisko tysiąca osób znalazło tu miejsce wypoczynku, tysiąc kilkaset codziennie po żywność przychodzi— Słyszałam o zbieraniu się tu nieszczęśliwych, i prosiłam ojca by ze mną poszedł do *Domu zdrowia.*— Nie ciekawość wiodła moje kroki; choć sama dotąd szczęśliwa, dość już cierpień ludzkich widziałam, już one dla mnie nie nowością;— ale wiesz jak to nie dość sercu złożyć dar jakiś zdaleka, przez trzecie ręce; osobliwie téż dla mnie która mniéj czynem niż współczuciem ulgę komu przynieść mogę;— zdawało mi się koniecznie, że będzie tam dość takich, którym prócz zaspokojenia fizycznych potrzeb, potrzeba serdecznéj pociechy.— O! i nie myliłam się Antolko!

Przyszliśmy dość wcześnie;— szanowny Członek Towarzystwa Dobroczynności Przełożony nad tym chwilowym zakładem ułatwił nam zwiedzenie wszystkich onego oddziałów;— widzieliśmy sale

służące za sypialnie uadwiślanom, kuchnie dwie, jedna dla Chrześcjan, druga dla Izraelitów, bo wiesz że im te tylko wolno pożywać pokarmy, które im współwyznawca podług przepisów wyznania sporządzi.— Chrześcijańską kuchnią kierują siostry miłosierdzia;— pod ich dozorem, kobiety obierają jarzyny, krają mięso, smażą okrasę, mężczyzni znoszą wodę i drzewo, kto może przykłada rękę do dzieła, którém wkrótce z towarzyszami niedoli posilić się zasiądzie.

W dolnéj sali kilku mężów przestrzega porządku;— ci wydają każdéj familji kartki oznaczające jakiéj ilości posiłku potrzebuje; ci badają o inne potrzeby, ci nakoniec podają środki zarobku ludziom silnym i zdrowym;— każdy z nich na te godzin parę uwolnił się od obowiązków swego stanu, a dla nagrodzenia téj przerwy, wstanie raniéj, odmówi sobie przechadzki lub zabawy.— Ale wszystkim przewodniczy przykładem Szanowny Przełożony.— On od świtu przybywa do tego schronienia nędzy, wgląda w najmniejsze szczegóły, bada pilnie czy wszyscy zaspokojeni, liczy ich, rozpoznaje stan i potrzeby każdego, nie szczędzi pracy ani chojnych darów, i dopiero kiedy te przybrane dzieci jego serca nasycone, ukojone, udają się na spoczynek, on idzie w gronie rodziny spocząć na chwilę by nazajutrz do nowych pospieszyć trudów.

Nadeszła godzina obiadu.— Tysiąc dziewięćdziesiąt kilka osób zasiadło na tarasie przed domem, czekając kolei.— W sali przed ogromnemi kotłami stanęły dwie siostry miłosierdzia, młode, piękne obiedwie, ale one o tém nie wiedzą;— od rana pracowały nad przyrządzeniem obiadu, a teraz widzą tylko zgłodniałych nadstawiających garnki i miski,— i spiesznie, sumiennie, napełniają podług wskazanéj miary naczynia, a kiedy ostatni odejdzie nasycony, zadziwią się że już się tak słodka dla ich serca praca skończyła.— O! cóż to za święta rzecz miłosierdzie, kiedy dla niego młoda, słaba dziewica wyrzeka się świata, zapomina swéj młodości, wdzięków, sen, zdrowie, własny sąd i wolę poświęca bez żalu!

Ale wróćmy do nadwiślan.— Siedzą na trawie przed domem, a myśli ich w téj chwili spokojnego zebrania, smutniejszą przybierają barwę;— każdy przypomina sobie jak to przed tygodniem do innego zasiadał stołu, jak z własnego obiadu pozostałe szczątki udzielał pukającemu do drzwi żebrakowi, nie przewidując że wkrótce sam litości zażąda.— Tu młode dziewczę pogląda na osiwiałego ojca, któremu nie może zapewnić wygody do jakiéj przywykł.— Matka otula dzieci, które w chwili powodzi ze snu w lekkiéj tylko odzieży wyrwała;— Tu smutna para pogląda na nią ze łzami boleści,— biedni— oni

więcej niż wszyscy— oni jedynego syna stracili w zamieszaniu!

— Gdzie też to teraz nasz Józio! mówi ojciec z westchnieniem— może gdzie na dnie Wisły! A przedwczoraj, dodaje zapłakana matka: o téj porze karmiłam go trzymając na ręku.

Wszystkie te cierpienia zrozumiał cnotliwy Sługa Boży;— znany On całemu miastu, ale szczególniéj znany i drogi nieszczęśliwym.— Nie było za Jego pamięci cierpienia, nie było smutku, nie było klęski by się z narażeniem życia nie rzucał do ratunku;— i teraz, stanął na schodkach przed domem a odkrywszy szanowną głowę przemówił do zgromadzonych wymownie, bo serdecznie, o ufności i wdzięczności ku Bogu, oderwał na chwilę ich myśli od ciężkiéj troski;— i dla większéj ulgi zanucił pieśń o Opatrzności boskiéj.— Liczne głosy ozwały się za pobożnym kapłanem, i wnet zamiast westchnień i jęków, odgłos świętych pieni rozległ się po nadwiślańskich wzgórzach.

Biedni rodzice Józia śpiewali z innymi— śpiewali i ufali— a ufność ich zawiedzioną nie została.— Jeszcze połowa zgromadzonych nie spożyła obiadu, jeszcze inni nucili hymny i psalmy, kiedy dziecię znalezione od dwóch dni, podług prośby w publicznych pismach ogłoszonéj, odprowadzono uszczęśliwionym rodzicom.— Byłam przy

tém.— O! gdyby za chęć pocieszenia bliźniego mógł człowiek żądać zapłaty, jakżeby chojnie wszyscy świadkowie tego zdarzenia nagrodzeni byli!

W chwili kiedy to piszę, już Wisła straszna niedawno, spokojnie płynie, i wdzięczy się brzegom które dopiero szarpała; już nadwiślanie wracają do pracy, do mieszkań,— jużby się wiele nowych rzeczy dało powiedzieć, ale po obrazie tak ogromnéj klęski, tak powszechnego współczucia, nie mam serca mówić o drobniéjszych wypadkach.

Bądź zdrowa tymczasem— i donieś mi przecię co téż tam u was się dzieje.

Warszawa 4. sierpnia. *Zofja.*

P. K.

DRABINKA DO NIEBA

POWIASTECZKA.

Przystawić raz dzieci chciały
Do nieba drabinę.....
Nad tą myślą pracowały
Więcéj jak godzinę.

Że taką myśl chłopcy mieli
Bardzo temu wierzę,
Wszak i starsi stawiać chcieli
Babilońską wieżę.

Tak dla starszych jak dla dziatek
Niebo ma ponęty—
Gwiazdka tak jak złoty kwiatek
Jestto magnes święty.

Dziwić tedy się nie trzeba
Naiwnéj dziecinie,
Iż chciałaby się do nieba
Dostać po drabinie...

Lecz któś odgadł myśl dziecinną
I co dzieci życzą;
Szanując więc myśl niewinną
Rzekł do nich z słodyczą:

„Jedna tylko jest drabinka
Do gwiazdeczki złotéj;
Po niéj każdy się dostanie
Kto szedł tam przez cnoty“....

Teofil Nowosielski.

MODLITWA.

Wszechwładco świata! dokąd Twe skinienia,
Iść mi rozkażą, pójdę bez szemrania;
Zniosę z roskoszą najsroższe cierpienia
I w mękach uśmiech zajmie miejsce łkania.

Tylko Ty Panie! Twe mi rozjaśń drogi;
A kiedy dla mych błędów ukarania
Dopuścisz, żeby los mnie nękał srogi,
Z cierpieniem pomnóż i siłę wytrwania.

Tchnieniem rozpłomień w duszy iskrę cnoty
Co ją rodziców zatliło staranie,
A póki serce me nie zna zgryzoty,
Za dar Cię życia wielbić nie przestanie.

Dopóty żadna na téj ziemi siła
Zniweczyć szczęścia mojego nie zdoła,
Dopóty z duszy mojéj cisza miła,
Ani pogoda nie uleci z czoła.

Marcin Ossorja.



RZADKI PRZYKŁAD

MIŁOŚCI BLIŹNIEGO.

I.

Palladjusz pustelnik egipski w swéj historji pustelników którą napisał około roku 421. przywodzi następny przykład miłości bliźniego.

Wielkiéj świątobliwości starzec, (mówi on) nazwiskiem Bizarion był ubogi ale nader litościwy. Całym jego majątkiem była suknia, płaszcz i Ewangelia, którą nosił zawsze pod pachą, bądź dla poznania czy dokładnie zachowywał przykazania Boże, bądź téż że chciał mieć zawsze prawidło postępowania którego się trzymać pragnął gorąco. Całe jego życie było tak święte i godne podziwienia, iż gdyby nawet anioł z nieba zstąpił, nie żyłby doskonaléj na ziemi. Razu jednego przybywszy do wsi, postrzegł na miejscu publiczném umarłego żebraka który był całkiem nagi. Coprędzéj zdjął z siebie płaszcz i nim go

okrył. Gdy szedł daléj, zbliżył się do niego ubogi także nieodziany: wejrzawszy nań zatrzymuje się, i poczyna w sobie tak rozumować: Jam się wyrzekł świata, jestże to więc słuszna abym był teraz ciepło odziany a mego brata żeby wskróś przechodziło zimno? Jeśli go tak pozostawię i on zmarźnie, nie będęż ja przyczyną jego śmierci? Cóż więc zrobię? Rozetnęż moją suknię na dwie części i jemu dam jednę: albo mamże oddać całą temu którego Bóg na swój obraz stworzył? Lecz jeśli ją na dwie części rozdzielę, to jakiż obadwaj wziąwszy po części będziem z niéj mieli użytek? I cóż złego się stanie jeśli ćwiczenie miłości po za obręb przykazania Boskiego posunę?

Po takowém rozumowaniu Bizarion zawezwał coprędzéj biedaka na miejsce pokryte, i zdjąwszy z siebie ostatnią suknię nią go przyodział. Po wykonaniu tak wielkiego czynu miłości, usiadł przy drodze nic już więcéj nie mając okrom jednéj ewangielji pod pachą. Najwyższa Opatrzność zrządziła iż urzędnik miejscowéj sprawiedliwości przejeżdżając tamtędy spostrzegł tego świętego starca, i rzekł do osób sobie towarzyszących: Czy to nie ojciec Bizarion? a gdy ci odpowiedzieli że w rzeczy saméj on, zsiadł coprędzéj z konia i rzekł do świętego: „któż to cię

tak ogołocił mój ojcze?— Toć to,— odrzekł Bizarion, pokazując mu księgę Ewangelji świętéj. Urzędnik zdjął coprędzéj z siebie płaszcz i zarzucił go na ramiona tak doskonałego żołnierza Jezusa Chrystusa. Bizarion by uniknąć pochwał do których dawał mu prawo czyn tak heroicznéj miłosci, usunął się coprędzéj z tego miejsca, i niedługo napotkał znów ubogiego któremu nie miał już co dać. Lecz jeszcze mu pozostała była księga Ewangielji; cóż więc czynić? bieży coprędzéj na miejsce publiczne, sprzedaje ją i oddaje mu wzięte za nią pieniądze. Po niejakim czasie napotkawszy go jego uczeń nazwiskiem Dulas, zapytuje się: Cóż się stało z twoją książką mój ojcze? Bizarion dał mu w tym razie bardzo stosowną i piękną odpowiedź: Nie gniewaj się mój bracie z ufności jaką mam w obietnicach Jezusa Chrystusa i z posłuszeństwa do którego się czuję mocno obowiązanym: sprzedałem tę księgę w któréj się znajdowały napisane boskie słowa bez przestanku na mnie wołające: „Sprzedaj co masz i daj ubogim“ Mat: XIX 21.

II.

NIEWOLNIK DOBROWOLNY.

Serapion przezwany Syndonitą, wzruszony nieszczęśliwym stanem aktora poganina, aby go nawrócić, użył środka będącego dowodem wielkiéj jego gorliwości i miłości: zaprzedał się mu jako niewolnik za dwadzieścia franków i używał starannie wszelkiéj sposobności ku nauczeniu go i zbudowaniu. Jego mowy i przykłady sprawiły nareszcie pożądany przezeń skutek. Aktor się nawrócił z całém rodzeństwem i zaraz po swém nawróceniu opuścił scenę teatralną. Nie mógł on tego znieść aby Serapion był dłużéj jego niewolnikiem: przejęty wielką wdzięcznością puścił go na wolność, lecz nie mógł go w żaden sposób nakłonić do zatrzymania przy sobie dwudziestu franków które wziął zaprzedając się: nie chciał ich zatrzymać ani dla swego użytku ani téż dla ubogich. Po niejakim czasie święty, znów się zaprzedał dla dania pomocy biednéj wdowie. Nowy jego pan tyle był zadowolony jego usługami iż nietylko go wyzwolił, ale nadto dał mu

w podarunku dwie suknie to jest: zwierzchnią i spodnią; i księgę świętych Ewangielji. Zaledwo co Serapion oddalił się od niego, napotkał zaraz ubogiego i temu oddał swę zwierznią suknię. Posunąwszy się potém cokolwiek daléj napotkał drugiego który się trząsł od zimna, i temu oddał znów suknię spodnią i nic więcéj już mu nie pozostało okrom jednéj koszuli. Gdy go pewien zapytał gdzieby podział swe suknie, podobnie jak Bizarjon pokazując książkę Ewangielji rzekł: oto złodziéj ktory mnie obdarł. Książka Ewangielji niedługo także była jego własnością: sprzedał ją dla wsparcia pewnéj osoby w ostatniéj nędzy będącéj i gdy nic już nie miał okrom swéj jednéj osoby zastawił ją jeszcze po kilka razy dla dania bliźniemu pomocy duchownéj i doczesnéj. W dziejach filozofji nadaremnieby szukano ludzi tak litościwych i bezinteresownych. Sama tylko religja Jezusa Chrystusa może ich wydać bo ona tylko jedna nakazując w osobie ubogich uważać samego Boga, może nas skutecznie skłonić do niesienia im pomocy, do ich miłowania a nawet do zrobienia dla nich ofiary z swéj własnéj osoby.

Ks. P. Rzewuski

SAMOLUB I DOBROCZYNNY.

(*Rozmowa*).

Samolub. Cóż to znaczy sąsiedzie, żeś tak wylany dla drugich? O coś proszony, nie odmawiasz, nawet uprzedzasz żądania, i ni worka ni trudów nie szczędzisz, skoro idzie o pomoc czyją. Jakie masz w téj mierze powody?

Dobroczynny. Osobliwsze zapytanie! przebacz sąsiedzie! zadziwieniu memu. Wszakże głównym powodem czynności ludzkich nauka Boska: ta mówi, kochaj bliźniego twego, jak siebie samego.

Samolub. Czyż to podobna, żeby kochać bliźniego, jak siebie samego? ja tego przykazania zrozumieć nie mogę.

Dobroczynny. A ja go tak rozumiem, że jego spełnienie na tém zależy, żeby źle nie czynić bliźniemu, i żeby mu czynić dobrze,

Samolub. Na piérwsze zgadzam się, na dru-

gie nie przystaję: bo czynić drugim dobrze bez własnego uszczerbku nie można. Mamże oddać biednym co mam, i sam zostać biednym?

Dobroczynny. Byłby to czyn najświętszéj osoby, ale biorąc rzeczy po ludzku, tyle wspierać drugich winniśmy ile tylko możemy.

Samolub. Kiedy tak, tom ja wolny od wspierania drugich: mnie ledwie wystarcza na moje potrzeby, na moje wygody.

Dobroczynny. Ach! potrzeby, wygody! Te często nie z siebie, ale w mniemaniu naszém nieodbite. Gdyby się w nich ograniczyć, ileżby to dla biednych odkryło się źródeł ratunku!

Samolub. Nie rozumiem waćpana kochany sąsiedzie! chcesz żeby się wyrzec środków zaspokojenia potrzeb naszych, i dogodzenia wygodom życia. Chcesz żeby nie używać, ale cierpieć.

Dobroczynny. A waćpan, z jednéj ostateczności przechodzisz w drugą. Mniemasz jak widzę, że albo zbytkować, albo cierpieć wypada. Unikniesz obojga, średniéj trzymając się drogi. I tak, jeżeli sobie mniej sukien sprawiać będziesz, nie zostaniesz bez odzieży, ale nagiego okryjesz. Nie tyle łożąc kosztu na sute obiady, niemniéj będziesz sytym, a nakarmisz głodnego. Tu mi na myśl przychodzi Fryderyk wielki:— prosiła go o wsparcie żona majora, poległe-

go na wojnie: skarb Fryderyka był natenczas wycieńczony, kazał przeto jedną potrawę na stole swoim umniejszyć, a tak biedną wdowę od głodu zachował. Te i podobne oszczędności wprowadziwszy u siebie, nieznacznie wiele dobrego drugim czynić można.

Samolub. Kochany panie! wyśmienity z ciebie patron biednych. Jednak wybacz mi, podjąłeś się sprawy niezupełnie dobréj. Nie byłoby biednych, gdyby nie było leniwych; pieczone gołąbki nie wlecą do gąbki, a pracując można się wyżywić.

Dobroczynny. Tak też jest, że kto nie ma majątku, żyje z własnéj a nawet ciężkiéj pracy. Jednak, pomimo to, odmiany krajowe, kalectwo, wiek podeszły, wielość dziatwy, okropne i niespodziane przygody, stawiają niejednego w opłakanym stanie ubóstwa, i gdyby mu litość nie podała ręki, padłby ofiarą głodu.

Samolub. Tak tedy żyją ubodzy kosztem majętniejszych, dochody jednych należą do drugich, co ci uzbierają, to tamci odbiorą: zatém nie ten mieć będzie, co ma; ale ten co nic nie ma.

Dobroczynny. Kiedy tu nie idzie o cały dochód majętnego, idzie o jego cząstkę setną lub tysiączną, w miarę możności i chęci. Często bywa, że mały udział pieniężny, jednego ochrania od występku, drugiego od wielkiéj straty, trzeciego stawia na nogach i los mu dalszy ustala.

Wszakże z drobnych składek powstały znaczne dobroczynności zakłady. Ale wiedzieć należy, że pieniądz nie jest jedyną sprężyną, ku ulżeniu cierpiącéj ludzkości służącą.

Samolub. Bardzom ciekawy wiedzieć, co być może bez środków pieniężnych.

Dobroczynny. Prócz takowych są jeszcze inne bardzo skuteczne, a te zależą na poświęceniu trudu i czasu dobru ubóstwa. O nich dowiedzieć się można z czynów towarzystwa dobroczynności: o nich namienię, jako o wzorach, godnych naśladowania naszego. I tak: samo zbieranie składek dobroczynnych, jest usługą cierpiącéj ludzkości oddaną. Osoby znakomite i zacne podejmują się dozoru biédnych w domu miłosierdzia umieszczonych. Na dochód tychże czyni wielu pisarzy z dzieł swoich ofiarę. Płeć piękna składa w sklepie, zwanym: „dobroczynny“ rąk swoich roboty, które sprzedane zasilają skarb towarzystwa. Doktorzy doglądają bezpłatnie chore ubóstwo. Z rozmaitych widowisk i wesołych zabaw odnosi korzyść zakład miłosierdzia. Niém tchnące towarzystwo dobroczynności, wzywa do siebie uciśnionych nędzą, i wspiera ich swoją gorliwością, dając rady zbawienne, wdając się za pokrzywdzonym, polecając łasce możnego, stręcząc mogącym pracować, jużto służbę, jużto inny sposób życia, i przemawiając do czułéj duszy za osieroconą

dziatwą. Słowem serce i myśli dobroczynnego towarzystwa ratunkiem biédnych zajęte, nastręczają mu tysiące sposobów, dopięcia zbawiennego celu.

Samolub. Ach! kochany panie, gdyby tak troskliwie zajmować się biédnemi, toby wypadało poświęcić dla nich prócz dochodów własnych, wszelkie życia chwile, a te sobie samym winniśmy, bo i sobą się zatrudniać należy.

Dobroczynny. Jak dochodów własnych tak czasu cząstkę poświęcić możemy ratunkowi nieszczęśliwych: mamy go podostatkiem dla siebie, zwłaszcza majętniejsi. Ileż go marnie trwoniemy!

Samolub. Ale wielka troskliwość o ubogich, raz uznana, mogłaby popsuć wielu: boby przywiodła niejednego do lenistwa i próżniactwa: niejeden puściłby się na żebraka, chociażby sam na siebie mógł zarabiać, i mniéj potrzebujący żyłby kosztem istotnie biédnego.

Dobroczynny. Troskliwość waćpana, aby hojność dobroczyńców nie mnożyła żebraków, jest zbyteczną, i nie brakuje środków zapobiegających nadużyciu, jakieby ztąd wyniknąć mogło.

Najprzód: rzemiosło żebractwa nie jest tak powabne, by się jemu chętnie oddawać miano. Owszem, są nieszczęśliwi i godni wsparcia w któ-

rych bojaźń pogardy przemaga nędzę i którym wstyd zamyka usta.

Powtóre, wolno każdemu nim coś uczyni dla proszącego, dowiedzieć się o istotnym jego stanie, i tego się pilnuje towarzystwo dobroczynności.

Nakoniec, gdyby zbytnia ostrożność i bojaźń, żeby nie pomnażać próżniaków, nie wspierać udanego żebraka, by nie odbierał chleba rzetelnie głodnym, gdyby, mówię, takowe powody zamykały serca nasze litości; ileżby od niéj usuniętych było istotnie biednych! Raczéj niech winny ujdzie kary, jak gdyby niewinny ulegał karze, tak chce mieć rozsądne prawodawstwo: i my w udzielaniu wsparcia trzymać się téj drogi mamy.

Samolub. Acz dzielna wymowa twoja, kochany panie sąsiedzie! jednak trwam niezachwiany w zdaniu mojém, że jak jest powinnością naszą, nie czynić źle nikomu, takteż nie jest żadną, czynić drugim dobrze.

Dobroczynny. Słusznie mówisz sąsiedzie, kiedy twierdzisz, że jest głównym obowiązkiem naszym, nikomu źle nie czynić. Piérwsza bowiem sprawiedliwość jak litość: wprzódy oddać, co komu należy, nim świadczyć łaskę,— téj czynić nie wolno z czyjąkolwiek krzywdą; nie godzi się uszczęśliwiać jednych, kosztem cierpienia drugich. Ale nie liczyć dobroczynności w rzędzie znakomitych cnót i obowiązków, jest to obrażać

ludzkość. A przytém, im kto skłonniejszy czynić drugim dobrze; tém się więcéj strzeże, czynić źle komukolwiek. Nic tak, (mówi Rousseau) nie ochrania serc naszych od zepsucia, jak ciągłe wykonywanie dobroczynności: bo czuły wzgląd na nieszczęścia drugich, troskliwie przyczyny onych docieka, i unika przywar, z których takowe wynikają nieszczęścia.

Samolub. Co mi tam do Russa, do tego okrzyczanego pisarza, i zagorzałego miłośnika ludzkości. Raczéj ty szanowny sąsiedzie, w tém mię chciéj objaśnić, że, kiedy dobroczynność jest jak mówisz znakomitą cnotą, kiedy wchodzi w poczet obowiązków naszych; dla czegóż tak jest nieznaną dla wielu?

Dobroczynny. Tego jest główną przyczyną nieczułość na dolegliwości ludzkie, a ta z różnych przyczyn pochodzi.

Najprzód, bywa właściwą takim osobom, które nigdy nie doznały biédy. Bo jakże być czułym na nią, kiedy się jéj nie czuło w sobie? Jakże nas może wzruszyć cierpienie, o którém nie mamy wyobrażenia? Jak uwierzyć że kto głodny, kiedy się nigdy głodnym nie było? Ztąd to mamy owe przysłowie: *syty głodnemu nie wierzy.* Przeciwnie, kto doznał lub doznaje srogości losu, cierpi z cierpiącym, i zwykle nie kto inny, jak mało mający, wspiera uboższego od siebie.

Powtóre, bywają ludzie na takie dolegliwości nieczułymi, których się obawiać nie mają powodu. I tak: nie widać tego, a przynajmniéj bardzo rzadko, żeby bogacz dla ubóstwa założył przytułek, gdyż mu nigdy przez myśl nie przeszło, żeby mógł być kiedy do ubóstwa przywiedzionym. Ale wiele widać szpitali, założonych przez bogaczy dla chorych, bo się obawiają choroby.

Potrzecie, chciwość, łakomstwo, zbytek, lenistwo, źle zrozumiana żądza sławy, chęć wyniesienia się nad innych, na środki dopięcia zamiaru bezwzględna, i tym podobne namiętności, tłumią miłość bliźniego, a zatém litość na wszelkie jego nieszczęścia.

Nakoniec, tłumi je zdrożne i naganne wychowanie. Jest ono zaś wtedy należyte i chwalebne, gdy zaszczepia w młodych sercach ludzkość dla wszystkich, kto tylko jest człowiekiem, bez różnicy stanu, wiary lub kraju, gdy każe być dobrym i dla samych zwierząt, gdy naukę ludzkości nie tak słowy, jak raczéj w przykładach wzorowych wykłada: gdy ocuca litość tkliwym obrazem niedoli, któréj każdy z nas uledz może, gdy uznaje dobroczynnych za godnych sławy i czci naszéj, gdy naśladowanie czynów miłosiernych wzbudza, gdy wykonywać zachęca, nawet takie, co wymagają trudu, odwagi i ofiar z wła-

snych przyjemności; gdy daje czuć młodzieży, że czynić innym dobrze, jest to sobie czynić dobrze.

Samolub. Cóż to za twierdzenie! Czynić innym dobrze, jestto sobie czynić dobrze! racz się kochany panie! jaśniéj wytłómaczyć.

Dobroczynny. Moje powyższe twierdzenie można uważać w dwojakim względzie: jużto moralnym, jużto religijnym.

Popiérwsze. Człowiek co nieprzestannie goni za szczęściem, kiedyż trwalsze i doskonalsze spotyka, jeżeli nie wtedy; gdy łzy cierpiącego ociera, gdy ginącemu podaje rękę, gdy bliźniego z rozpaczy wybawia, gdy w jego radości własną znachodzi? Obok tego szczęścia, cóż znaczą wszelakie uciechy? Spodziewane, znaczniejsze; obecne, i minione, użycie tępi słodycz onych, a nieraz goryczą zatruwa. Przeciwnie, rozkosz duszy, z dobrze czynienia innym wynikająca, ile razy użyta, tyle razy miła, zawsze taż sama; jéj wdzięki nie więdną, nic ich uszczerbić nie zdoła. Przydać do tego, że nic tak dalece nie uzacnia człowieka, nie wywyższa nad innych, nic tak wielkiéj nie daje wartości czynom jego; jak kiedy z nich społeczność pożytek, szczęście i radość odnosi. Dobroczynności towarzyszą wziętość, powaga, szacunek, na miłości ludzkiéj oparte. Dobroczynnego wieńczy sława, ręką wdzię-

czności, bez któréj jednak obejść się może, bo sam sobie wystarcza.

Podrugie: wierząc, że Wszechmocny jest Twórcą rodu ludzkiego, nie można nie wierzyć, iż wymaga od nas ażebyśmy, nietylko Jego samego jako Ojca naszego, ale i bliźnich naszych jako dzieci Jego, jako braci naszych kochali. Jakoż wyrzekł Chrystus: „Będziesz miłował Pana Boga Twego, ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiéj duszy twojéj, ze wszystkiéj myśli twojéj, a bliźniego twego jak siebie samego: na tym dwojgu przykazaniu, wszystek zakon zawisł (1).“ Tak jest;— są to dwa źródła, z których wszelkie cnoty biorą swój początek. Ale piérwsze z tych dwojga przykazań nie będzie zachowane, nie spełniając drugiego: „Kto mówi że kocha Pana Boga, a nienawidzi bliźniego, ten jest kłamcą,“ są to słowa pisma świętego (2). Zatém miłość bliźniego jest córką miłości, którąśmy Stwórcy naszemu winni, jest wiary chrześcijańskiéj istotną cechą. Miłość bez dowodów, wiara bez uczynków cóż znaczą?— Są to czcze słowa, żadnego niemające znaczenia. Starajmy się przekonywać bliźniego naszego, czyniąc mu dobrze, o naszéj ku

(1) Mat. r. 22.
(2) Jan r. 4

niemu przychylności. I nie co innego jest zasługą w obliczu Pana Boga, nie co innego jedna najwyższą łaskę Jego, zamysłom naszym pomyślność przychyla, jak ludzkie i litościwe uczynki. Tych nam Jezus Chrystus ciągły daje przykład; niemi oddycha każda Jego nauka, „Błogosławieni miłosierni, rzekł Chrystus, albowiem miłosierdzie otrzymają (1).“ I nietylko w ciągu teraźniejszego, ale i przyszłego życia zapewnia Jezus szczęście wieczne dobroczynnym, temi słowy: „Dawaj ubogim a osięgniesz skarb w niebie (2).“ W drugiém miejscu tak mówi: „Pójdźcie błogosławieni do ojca mego, otrzymacie królestwo, wam zgotowane od założenia świata: albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść: pragnąłem, a napoiliście mię: byłem gościem, a przyjęliście mię: nagim, a przyodzialiście mię: byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie (3).“

Samolub. Wybornyś kaznodzieja, szanowny panie! bo czego dowodzisz słowy; o tém przekonywasz czynami.

Konstanty Lipiński.

(1) Mat. r. 5.
(2) Mat. r. 19.
(3) Mat. r. 25.

IMIENINY ZOSI.

— O! nie biegnij tak żwawo, wołał złotowłosy chłopczyna, do ślicznéj jak aniołek siostrzyczki, nadążyć ci nie mogę, a radbym z tobą pomówić.

Na tak grzeczną mowę Stasia, zatrzymała się figlarna Paulinka, a wziąwszy ukochanego braciszka za rączkę łagodnie zapytała— czego więc żądasz jeszcze?

— Wszak po części wiesz już czego, odpowiedział chłopczyna, a uśmiechając się mile dodał pieszczotliwym głosem:— my najmłodsi Paulinko— najlepiéj kochać się powinniśmy, i wzajem wyświadczać sobie przysługi.

— O! już teraz zgaduję, zawołała śmiejąc się Paulinka— na tak szumną przemowę pana brata; dorozumiewam się czegoś ważnego— a że zawsze z tobą się zgadzam, mów teraz śmiało czego żądasz odemnie?

— Jedynie tylko porady.

— Tylko tego?— ale w czém?

— Oto— bo widzisz, że jutro 15 maja, imieniny Zosi— ona taka dobra! zawsze o moich pamięta, i ja chciałbym jéj także jaką sprawić niespodziankę— ale pragnę aby to było cóś takiego coby o tém nikomu myśl jeszcze nie przyszła.

— Aha! pan Stanisław chciałby niespodzianie ucieszyć i zadziwić swoją rówienniczkę— bardzo dobrze! wiem że mamę to ucieszy, i tatko ten zamiar pochwali— ale coby to zrobić?— oto— kup jéj tę ładną lalkę, co w oknie w sklepie stoi— pamiętasz jak ją Zosia chwaliła?

Co? ja-bym jéj dawał lalkę? cha! cha! cha! dziewczynka, to zaraz lalkę radzi— a to jużbym wolał konika— bo byśmy się nim oboje w ogródku bawili— ale z lalką cóż ja bym zrobił?

— Przecięż nie sobie, tylko Zosi chciałbyś zrobić przyjemność?

— Tak— to prawda— ale lalka— to niedobre— wszak ona ma ich tyle— chciałbym cóś osobliwszego.

— To kup ten prześliczny teatrzyk z dekoracyami?

— Wszyscy go już znają— a Zosi nie ucieszy.

— To książkę z obrazkami?

— Albóż ma ich mało?

— To woreczek do chusteczki?

— A— to mi rzecz osobliwa? Zosia już sobie sama woreczek wyszyć potrafi— cóżby jéj z mego przyszło?

— To i ja już nie wiem co ci radzić;— odpowiedziała Paulinka— idź więc do mamy— ona najlepiej ułoży— ja tymczasem przywiążę pochylony wiatrem dygitalis, któren Władzio tak pielęgnuje, a potém przyjdę znowu do ciebie. O! ciekawam téż, ciekawa!— co ty tam tak szczególnego wymyślisz— wołała jeszcze odbiegając dziewczynka.

Staś teraz trochę zasmucony szedł prosto ulicą— gdzie na ławce spostrzegł siedzącą matkę. Po główce różne snuły mu się projekta ale wszystko było za małe— wszystko niegodne ukochanéj Zosi. Staś i Zosia nie byli wcale rodzeństwem, ale przyjaźń rodziców, równy wiek— wspólne prawie wychowanie ich zjednoczyło— a rodzeństwo Stasia kochało tyle Zosię— o ile ona ich jakby własne kochała.— Codzień w lecie Zosia w ogródku Stasia i Paulinki przesiedziała— pomagała im kopać, sadzić, pielęgnować kwiatki, w chłodniejsze dni znowu dzieci obsiadały stoliczek Zosi, a ona z rozłożoną książką pokazywała obrazki Stasiowi— niektóre tłomaczyła sama, o innych Paulinkę lub Władzia mówiących słuchała, i tak im było dobrze— tak

zawsze wesoło— że za nic w świecie sposobu życia odmienićby nie chcieli.

Teraz maj dochodził połowy, a że Zosia imieniny u swoich towarzyszy przepędzić miała— Staś témbardziéj chciał jéj czémś okazać dowód swojego przywiązania.

Myślał już długo— a dotąd nic stanowczego nie ułożył— smutnie szedł do swego ogródka.— Ogródek Stasia był mały— najmniejszy ze wszystkich— ale był zajmujący— wokoło otaczał go płotek agrestowy— dwa klomby stokrotką obsadzone, kilka róż, jaśminów, georgin, i mała grządka fijołków stanowiły cały zbiór roślin— była jeszcze darniowa ławeczka, i stoliczek drewniany— wszystko to przez Stasia codzień doglądane, z daleka świeżością wabiło.— Chłopczyna pomimo zbytniéj swojéj młodości wielką chęć do ogródka okazywał, co tém większe jednało mu przywiązanie ojca, tém bardziéj był za to od matki kochanym.

Uśmiech zabłysnął na rumianych usteczkach Stasia, na widok zielonego ogródka— zajrzał do każdego kwiatka, ale maj niezbyt ciepły— dopiero same pączki— przeszedł parę razy ogródek i cóś nagle mu zabłysło— nachyla się— i widzi—prześliczny biały rozkwitły fijołek. W pierwszém uniesieniu już sięgnął rączką po niego— ale nagle cóś go wstrzymało— nowa myśl w ser-

duszku powstała— wybiegł z ogródka a spostrzegłszy nadchodzącą siostrzyczkę— wesoło ku niéj poskoczył.

— O! już wiem— już wiem Paulinko, co za wiązanie— to pewnie Zosię ucieszy!

Ciekawa dziewczynka różne rzeczy odgadywała, ale Staś pokręcił główką, śmiejąc się wziął za rękę siostrzyczkę— pójdźmy do mamy, zawołał: a rozwiąże się zagadka.

Nadszedł nareszcie dzień tyle oczekiwany— i u naszych dzieciaczków niezwykły ruch panuje— równo ze świtem Staś w ogródku pracować zaczął— teraz do pomocy przyszła mu Paulinka, ona nieodstępną towarzyszką brata. Już z gałęzi zrobili altankę— już upiększyli jak można najlepiéj to miejsce gdzie solenizantka dzień cały przepędzić miała— w tém zabłysło słoneczko.

Zosia zwykle ranny ptaszek, tą razą jeszcze wcześniéj opuściła łóżeczko— a po modlitwie spiesznie ubrana wbiegła do pokoju rodziców.— Dziś chciała ponowić zapewnienie o swojém przywiązaniu— sądziła zejść śpiących niespodzianie— jakże więc mile zdziwioną została— spostrzegłszy

oboje ubranych. Podskoczyła żwawo— i już była w obięciach ukochanéj matki— już ją tatko całował. Na stoliczku było wiązanie— biała sukienka z niebieską przepaską— ślicznie ubrana lalka wzrostem równa Zosi, od matki— złoty krzyżyk i ładnie do nabożeństwa oprawna książeczka od taty, i pełno biletów od rówienniczek. Wszystko to mile ucieszyło Zosię— serdecznie dziękowała rodzicom, i pobiegła włożyć darowaną sukienkę— bo już mama gotową była towarzyszyć jéj do Stasia i Paulinki.

Niedługo stanęli przed domem— Zosia wbiegła do ogródka— wtenczas właśnie, gdy dzieci ukończywszy już wszystko wyszli z niego na chwilę. Zdaleka ujrzała wznoszącą się altankę, serduszko jéj mocniéj bić zaczęło— przeczuwała że to dla niéj, a kroku postąpić nie śmiała. Ale w téj chwili nadbiegły dzieci— a ucałowawszy Zosię serdecznie obsypując życzeniami, w tryumfie zaprowadzili do przeznaczonego miejsca.— Stanęli— Zosia spojrzała— i przeczytała napis złotémi literami nad altanką zrobiony,— *Kochanéj Zosi.*

Wśrodku na podniesieniu— było nakształt tronu z darni zrobione siedzenie— na stoliczku leżały różne dary.

Dzieci posadziły tam Zosię— zrobiły miejsce dla starszego rodzeństwa, a Staś teraz pokazał

się dopiero,— Przyklęknął na stopniu wspaniałego siedzenia, podał Zosi wieniec z samych listków zielonych — na środku którego jeden tylko błyszczał biały fijołek,— i wzruszonym głosem do bardziéj jeszcze wzruszonéj dziewczynki zawołał.

Przyjmij Zosiu chętnie dary
Które tu składamy
Wdzięczne serc naszych ofiary,
Bo ciebie kochamy.

A ten biały fijołeczek
Pierwszy w roślin rzędzie,
Cnoty, skromności kwiateczek
Niech twém godłem będzie.

Obyś szczęścia doznawała
W jak najdłuższe lata,
Zawsze jednako kochała
Siostrzyczkę i brata!

Tu powstał Stasio— a Zosia w wieniec przybrana rzuciła się w jego objęcia i łezka wdzięczności zwilżyła dziewczęcia powieki. Następnie ucałowali go wszyscy.— Teraz dzieci wesoło biegły do pokoju gdzie zastawione już było śniadanie—

rodzice postępując za niémi zwolna, z tkliwością ścisnęli się za ręce, rozrzewnieni na ochoczo biegnące spoglądali dziatki— a odtąd stalszy jeszcze węzeł połączył ich przyjaźń.

Wincentyna T.

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(Ciąg dalszy).

XIX.

Dzienniczek Emmy.

—Poważniéj niż zwykle zacznę zapewne dzisiejszy mój dziennik— pierwszy to dzień po świętach Bożego Narodzenia, a dusza moja pełna jeszcze pobożnych myśli.— Całe dwa dni przepędziłyśmy na modlitwie, rozmyślaniu i rozmowie.— Pamiętam, że Marja zawsze ściśle przestrzegała należy-

łego przepędzania świąt, wzrosłam więc z przekonaniem że dzień Bogu poświęcony nie w zwykły ziemski sposób przejść powinien.— Dziwnie to, że ja swobodnie używając życia, rozrządzając czasem podług własnéj woli pragnę niedzieli, ale tak jest rzeczywiście;— w ciągu tygodnia, kiedy choć sama nic nie robię, patrzę na zatrudnienia Marji i Sary, kiedy sobie pozwalam nucić rozliczne śpiewki, kiedy się przekomarzam z znajomémi papugami, lub się pluszczę w jeziorze, tak jestem roztargnioną tak pustą i wesołą, że myślą wyżéj wznieść się nie mogę nad podziękowanie Stwórcy za tyle darów.— W niedzielę zupełnie co innego— we śnie jeszcze zdaje mi się, że słyszę odgłos dzwonów wzywający na modlitwę, odgłos który w uchu i pamięci mojéj utkwił od pierwszego dzieciństwa, który mi przypomnienia towarzyszek moich, bardziéj jeszcze uprzytomniły— i zaraz w marzeniu słyszę z tym dźwiękiem łączące się modły ludów których tyle ma być na świecie, pienia dziewic, srebrne głoski dzieci, westchnienia starców;— a nad to wszystko wznoszą się śpiewy aniołów i duchów niebieskich, to zstępując na ziemię, to wraz z ludzkiemi modlitwy wzbijając się aż do tronu Boga.— Budzę się więc już z świątobliwą myślą, przejęta nią spieszę w najsamotniejsze miejsce lasu, i tam wolna od roztargnień, uważnie, szczerze zaczy-

nam z duszą moją rozmawiać;— badam ją— odkrywam błędy— oskarżam się głośno z przewinień moich, żałuję za nie, i wnet ufna w litości niebieskiego Ojca, podnoszę się duchem z prochu pokuty, miejsce żalu czysta radość zajmuje, i modlę się, modlę gorąco!— Ale jak?— ale o co ja proszę? tego nie wiem;— nigdy po modlitwie przypomnieć sobie jéj wyrazów nie mogę— i nie załuję tego, wszak myśl moja do Boga dąży a On ją rozumie i pamięta.— Pragnęłabym jednakże widzieć kiedy kościół ręką ludzką wzniesiony— słyszéć zgodne prośby tysiąca ludzi, i moją z niemi połączyć;— pragnęłabym widzieć kapłanów, tych namiestników Boga, tych pośredników między Jego potęgą a naszą słabością i— o mój Boże!— być choć raz uczestniczką téj cudownéj uczty, w któréj Pan Nieba, stworzeniom swoim za posiłek się oddaje!

Odkąd Marja objaśniając mię w religji dała mi poznać tę łaskę, myślę o niéj bardzo często, wzdycham do niéj, pragnę jéj całą mocą serca.— Nieraz w samotności, zamknąwszy oczy żeby mię zewnętrzne przedmioty nie rozrywały, wystawiam sobie że jestem w wspaniałéj świątyni, słyszę jakieś harmonijne głosy, odrywam się od ziemi, i widzę w świetnych szatach, z białym włosem kapłana, podającego mi święty chleb życia— O! wtedy, taka woń rozlewa się dokoła, tak mi

jasno w zamkniętych oczach, w uszach brzmią jakieś słowa pełne pociechy i radości, a ja wzruszona, padam twarzą na ziemię, i nie powstaję dopóki ten cudowny obraz nie przeminie.— A to tylko obraz!— Czemże dopiero rzeczywistość być musi!

Cały tydzień bez święta upłynął, a chociaż przeczytałam poprzednią stronnicę, tak mocno dziś wrosłam w ziemię, że tylko o niéj myśleć i mówić jestem zdolna.— Szczęśliwa jestem na téj ziemi naszéj;— nie ma potrzeby, nie ma wymysłu któregobym zaspokoić nie mogła, nie ma uczucia któremuby Sara, a osobliwie téż Marja nie odpowiedziała;— często ona mi mawia że nie powinnam żądać nic więcéj nad to co mam, bo oprócz tego że wymaganie takie byłoby oznaką niewdzięczności z méj strony, mogłabym jeszcze zostać nieszczęśliwą, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, sposób naszego życia nie zmieni się nigdy.

Marja ma słuszność— czuję to— a przecięż nieraz zdaje mi się za ciasnym ten las, którego obszerności nie znam dotąd, chociaż w nim tyle

lat spędziłam;— nieraz kiedy czytam historję Izraelitów, lub kiedy mi Sara dziwne o królach i rycerzach, o cygankach i księżniczkach powieści opowiada, ciekawość mię bierze, by widzieć to wszystko— owe pałace, owe zbrojne hufce, te tańce, turnieje, (bo co do wojny, tej bym nigdy widzieć nie chciała) te prace i zabawy ludzkie wśród których jednakże tak cnotliwym być można.— Z największém jednak zajęciem myślę o tych bogaczach, którzy bogactwo swoje dzielą z ubogimi.— Bogactwa! śmieszne jednak rzeczy dzieją się na świecie— białe lub żółte blaszki, papierki nawet stanowią bogactwo.— Nie zawsze to jasno rozumiem.— Ale pojmuję roskosz rozdawania— jam sama tak szczęśliwa kiedy mi się uda odkryć nowy przedmiot jaki i podzielić się nim z kim drugim.

Zasmuci się Marja jeśli przeczyta tę stronicę— jéj się zdaje że dopóty tylko jesteśmy szczęśliwe dopóki nie pomyślimy o opuszczeniu schronienia które nam Opatrzność wybrała, ale ja tak nie myślę;— można się cieszyć swoim bytem, chociaż się wie o innym rodzaju życia; można być ciekawą bez zazdrości.— A potém— dla czegóż nie miałybyśmy kiedyś wrócić do kraju gdzieśmy się urodziły?— wszakże teraz po wszystkich już morzach pływają okręty.— Niewiem nawet czy to nie przeczucie— ale ile razy po-

myślę o ludziach i świecie, nigdy ich sobie za lasem, lecz zawsze za morzem wyobrażam.— Kto wie?

Niewiem dla czego od pewnego czasu leniwą się jakoś staję;— chodzę po lesie, myśląc: sama nie wiem o czém,— nie szukam już nieznanych przedmiotów, bo też zdaje mi się że już tak wszystko mamy, iż nowe każde odkrycie do zbytku by tylko służyło.— Sara niedawno odkryła że warek, (1) a raczéj jeden jego gatunek bywa jakby delikatnym proszkiem posypany; proszek ten jest słodki, zbieramy go więc w muszlowe skorupy, i mamy doskonały cukier, w którym Sara zbytnica! smarzy wybornie owoce, i szczyci się że na naszym stole lepsze bywają konfitury, niż u największych panów w Europie.— Marja niezmordowana w wynalazkach, odkryła nową gałąź przemysłu:— z gliny lepi formy rozlicznych naczyń, potém roztopiwszy pachnące i przezroczyste żywice których mnóstwo po drzewach zbieramy, wlewa je w przygotowane formy, a po zupełném zastygnięciu, oczyszcza, równa, ogładza nożykiem z muszli, polernje mor-

(1) rodzaj porostu.

ską trawą, i już rozmaite przedmioty zdobią nasze mieszkanie; — najpiękniejszym jest wielki krucyfiks, jaśniejący jak promienie słońca, przejrzysty jak woda jeziora, a w żywicy z któréj go Marja ulała sztucznie utkwione drobniuchne gałązki wznoszą się od podnóża i owijają go do połowy;— Widziałam że Marja probowała tworzyć z akacjowéj gummy która najbielszą bywa, wielką szybę, utykała w nią najpiękniejsze kwiatki i motyle, a szyba ta miała do naszéj chatki służyć za okno.— Toby było prześlicznie, ale nie wiem czy się uda.

Wśród tego zajęcia, ja prawie nic nie robię— piszę, wyszywam wzory po tkankach które Marja z Sarą przysposabiają, rysuję drzewa, kwiaty, ptaki i motyle, maluję nawet, bom sobie z kwiatów i liści przyrządziła różne farby, ale to wszystko nie dokładne, nie żywe,— a podobno ludzie umieją piękniéj jeszcze malować wszystko niż jest w naturze— chciałabym się téj sztuki nauczyć— chciałabym się wiele o! bardzo wiele rzeczy dowiedzieć, których mi tu nikt wyjaśnić nie może.— Nieraz— kiedy Marja i Sara przypominają sobie lata wśród ludzi spędzone, gubię się w domysłach.— Słyszę że ludzie na wojnie zabijają jedni drugich, i za to ich chwalą, nagradzają— kiedy Bóg wyraźnie zakazał zabijać, i nawet sami ludzie często za zabójstwa karzą swo-

ich bliźnich.— To znów że pracowici i cnotliwi mniej mają znaczenia od próżnujących, którym wolno błądzić bo się w innym znajdują położeniu,— Nierozumiem tego wszystkiego— i niezrozumiem pewnie nigdy— a przecież— o! jakbym rada poznać to dziwne życie, przypatrzeć mu się choćby z daleka!

Przypisek Marji.

Biedne dziecię! ziściła się więc moja obawa, ona tęschni za światem, za ludźmi, a ja takbym była szczęśliwą, gdyby mi Bóg pozwolił w tém ustroniu resztę życia przepędzić!— Lecz teraz, nie śmiem już pragnąć tego— Emma nie będzie tu szczęśliwa, widzę to codzień mocniéj.— Umysł jéj żywy, chciwy wiadomości, a ja ich tak mało zebrałam!— dusza jéj wielka chciałaby objąć świat cały, chciałaby się poświęcić dla szczęścia bliźnich, chciałaby się stać dla nich żródłem szczęścia, a tu cóż uczynić może!— Widzę w niéj wielką zmianę— zdaje mi się nawet że jéj zdrowie cierpieć zaczyna.— O moja Emmo! moja córko! gdybym ja mogła spełnić twoje życzenia.—

Nieraz marzę o środkach zbliżenia się do ludzi, układam dziecinne plany— buduję bajeczne jakieś statki— a potém myśl o niebezpieczeństwie, o zgubie prawie pewnéj,— o niepewném szczęściu dla Emmy, a może i o własnym moim smutku, gdyby mi przyszło opuścić tę cichą samotnię wraca mię na ziemię.— Trzeba być cierpliwą i baczną— może téż to usposobienie Emmy przeminie— a może Bóg mię natchnie szczęśliwą jaką myślą.

XX.

Dawni znajomi.

W Londynie, na najludniejszéj ulicy stał dom okazały, utrzymany starannie, cichy, spokojny urządzony wytwornie;— na pierwszém jego piętrze mięszkał stary, bezżenny zasłużony pułkownik Bligh, na drugiém wdowa Gilbert z córką swoją Elżbietą.

Właśnie na drugiém piętrze, w niedużym saloniku, przy oknie na ulicę wychodzącém siedzia-

ła staruszka przędąc dla zabawy cienki biały len, i kiedy niekiedy wyglądając na przechodzących;— przy kominku zaś na którym niewielki dogorywał ogień, w ogromném krześle siedziała niedbale młoda i prawie piękna dziewica; nogi oparła na krawędzi ogniska, głowę spuściła na rękę, i zatopiona w myślach wodziła błędnym wzrokiem po drobno wykładanéj posadzce.

— Nie dobrze robisz Betty— rzekła łagodnie staruszka,— obchodząc się tak ostro z pułkownikiem.

Betty podniosła głowę, przeciągnęła rękę po czole, lecz nie zdołała zetrzeć z niego dwóch fałdów które troski i nawyknienie wyorało pomiędzy wydatnémi jéj brwiami.

— Trzy razy przysyłał— mowiła dalej matka prosząc cię żebyś zeszła:

— Nie mogę kochana matko! rzekła Elżbieta— dziś od rana w takiém jestem usposobieniu, że towarzystwem mojém nie rozerwałabym pułkownika.

— To przynajmniéj ja zejdę— biedny chory nie ma do kogo przemówić.

Betty na znak potwierdzenia schyliła głowę, lecz nim pani Gilbert podniosła się od kołowrotka, ciężkie stąpanie dało się słyszeć zdaleka, otworzono drzwi na rozcierz, i wsparty na ręku starego sługi, Bligh wtoczył się do salonu.

Zadziwiona staruszka w milczeniu przysunęła do kominka wygodne krzesło, na które stary żołnierz rzucił się bez ceremonji, i dawszy znak służącemu by wyszedł z pokoju, odetchnął po kilka razy jak gdyby daleką drogą zmęczony.

— Ach Elżbieto! rzekł porywczo— gdybyś wiedziała jak mi trudno utrzymać się na moich starych nogach, nie kazałabyś mi się włóczyć po tych schodach nieznośnych.

— Żałuję— odrzekła zimno Betty, że się pułkownik trudził;— ale:

— Ale nie kazałaś mię prosić?— wiem o tém wiem bardzo dobrze!— Znudziłem cię za nadto.— No! cóż robić!— Patrzajże co to jest być żołnierzem— choć wiem jak ci się już sprzykrzyło moje towarzystwo, przychodzę tu z projektem.

— O to nie trudno pułkowniku— ja czasem sto kilka projektów na dzień układam.

— I do czegóż one zmierzają Betty?

— Do tego, żeby się jakim sposobem raz jeszcze wymknąć ze starėj Anglji.

Mówiąc to Betty stłumiła głos swój dzwięczny, i spojrzała z boku na matkę, która jednak dosłyszawszy ostatnich wyrazów potrząsnęła lekko głową.

— Nie tracisz więc nadziei?

— O nie! — nigdzie nie znalazłam pewności jéj zgonu — i dopóki Marji lub jéj grobu nie zobaczę, nie będę spokojną.

— Więc się może w pomysłach naszych zgodzimy?....

— Jakto? — miałżebyś pan zamiar płynąć raz jeszcze?....

— Niestety! — Kto przez pokoj o własnéj sile przejść nie może, jakże i po co puszczałby się za morza? — Mam inny zamiar. — Radźmy we troje — pani Gilbert! — sprawa ta wszystkich nas zarówno obchodzi.

Matka Elżbiety zbliżyła się do kominka, usiadła w milczeniu obok córki, i z uszanowaniem w którym się jeszcze jéj dawne przebijało ubóstwo czekała co powie pułkownik. — Betty z dzieciństwa śmiała i niezależna, wzrosłszy w ciągłych podróżach, między obcymi, którym odwagą i nieugiętością charakteru umiała nakazywać szacunek dla siebie, nie czuła się niższą od nikogo na świecie, témbardziéj téż od Bligha, który od kilku lat ją znając, dobrocią i łagodnością zepsuł może dumną dziewczynę. — Nawykła do dziwacznych pomysłów które pułkownik tworzył nieraz w celu odzyskania swojéj wychowanki, czekała spokojnie co powie.

— Najprzód więc — zaczął Bligh: — w jednym punkcie zgadzamy się wszyscy. — Ja pragnę raz

jeszcze przed śmiercią ujrzeć Emmę— wy obiedwie Marję— nieprawdaż?

Betty skłoniła głowę— pani Gilbert złożyła ręce, i wznosząc oczy z boleścią, rzekła:

— Ach mój Boże!— gdybyż to jeszcze było podobna!

— Bóg to wie!— Dwa razy opłynąłem wybrzeża Ameryki, dwa razy zwiedziłem brzegi Australji, Betty z swojéj strony szukała zginionych po wszystkich zakątkach nowego świata,— do dzisiejszego dnia ludzie opłacani przezemnie szukają ich śladu— napróżno.— Wszyscy po tysiąc razy powtórzyli mi— zginęły!— A przecięż w tém starém sercu, ciągle cóś szepcze że żyją!

— O! i w mojém także! zawołała mimowolnie Elżbieta.

— Otóż Betty— pamiętasz kiedy spotkawszy cię z hrabiną Beaumont w Batawji zabrałem z sobą— kiedyśmy opłynąwszy całe południowe wybrzeże Australji dotarli aż do *Przylądka Pożegnania*— pamiętasz— że wówczas koniecznie jeszcze chciałem płynąć ku zachodowi.

— Tak— ale statek skołatany był burzami, i uparty kapitan nie chciał się pomknąć daléj.

— Może on i nie źle zrobił, bo wiesz żeśmy zaledwie zdążyli dobrać się do pierwszego portu; byłby nas z sobą na dno morza pociągnął.—

a potém, był to statek kupiecki— kapitan powinien był szanować powierzoną mu własność.— Jednak— wracając do mojéj myśli— zawsze mi się zdawało i zdaje; że gdybyśmy jeszcze ze dwie doby pożeglowali na zachód— kto wie?— Owéj nieszczęsnéj nocy, i przez cały dzień następny wicher dął w tamtą stroną— pamiętam doskonale— patrzyłem *w Sidnéj* przez kraty na wietrzne chorągiewki z niepojętém zajęciem.

— Na lekkim statku— rzekła po chwili rozmysłu Betty— w krótkim czasie mogły przebyć przestrzeń ogromną!

Wyrzekłszy to, zdjęła ze ściany niedokładną mappę Australji, którą Bligh w podróżach swoich za sowitą zapłatą skreślić polecił, i rozkładając ją na stoliku, wpatrując się pilnie w jedno jéj miejsce, mówiła:

— Otóż ów przylądek pożegnania— słusznie nazwany— bo tam rozstaliśmy się na czas jakiś z nadzieją.— ale daléj— daléj nic!— patrz pułkowniku! ile tu nieznanego jeszcze kraju— ile wysp— przylądków być musi:— o! czyliż wiatr nie mógł ich łódki pchnąć jeszcze o milę?

— Otóż właśnie— to ja sobie powtarzam od owego czasu, w którym mię choroba do tego domu przykuła— i marę— posłuchaj Betty:

— O! mów, mów panie Bligh!— ja jestem niecierpliwa, nie mam w charakterze słodyczy,

uległości jaką kobiéta mieć powinna— ale umiem cenić dobroć i szlachetność twoją— a o mojéj drogiéj Marji, o jéj znalezieniu— nawet marzeń słucham z rozkoszą.

— Gdyby więc kupić okręt:— (wiecie że mam majątek nie mały) okręt ten opatrzyć na kilkoletnią podróż, wyrobić mu opiekę rządu, obsadzić ludźmi uczonymi i odważnymi, i — puścić go na zachodnie wybrzeża Australji?

— Nie mów mi, nie mów o tém panie! zawołała wzruszona Betty— to tylko chwilowy pomysł zapewne?

— Bynajmniéj!— jest to mocne postanowienie— Ale przedsiewzięcia takiego nie można powierzyć obcym— a ja— znacie moje zdrowie— jabym tylko opóźniał działanie.

— A ja? zapomniałżeś o mnie pułkowniku?— wykrzyknęła Elżbieta chwytając z żywością ręce starca. — Lecz w téjże chwili spójrzała na matkę, po któréj bladych licach dwie łzy płynęły, spuściła głowę na piersi, a po chwili rzucając się do nóg staruszki— zawołała błagalnie:

— Matko! czyliż już nie kochasz Marji?—

W sercu biednéj kobiety sprzeczne walczyły uczucia. Po odjeździe Marji pogrążona w głębokiém strapieniu opłakiwała ją jako straconą na wieki, a opuszczona od męża, zostawiona saméj sobie, wspierana tylko przez lady Wilton, po niejakim

czasie poddała się wyrokowi nieba, i w tém poddaniu się znalazła pociechę— Późniéj, kiedy znalezienie klejnotu ukrytego przez pustą Elżbietkę uniewinniło Marję, kiedy za staraniem lady posłano do Australji naglący rozkaz odesłania jak najspieszniéj młodéj wygnanki, a wspaniała opiekunka przeznaczyła znaczną summę na zabezpieczenie jéj przyszłości, i dozwoliła matce używać tymczasowo jéj dochodów, Gilbertowa odetchnęła po tylu cierpieniach;— nadzieja wstąpiła do jej serca;— nadzieja— niestety! zawiedziona w krótce, przez nadeszłą wiadomość o zniknieniu Marji.

Pozbawiona obudwóch córek, sama na świecie, chociaż wolna od niedostatku, nie chciała opuścić chatki, która tyle wspomnień w sobie mieściła, zajęła się na nowo pracą, modlitwą, wspieraniem i pocieszaniem ubogich sąsiadów swoich, i znowu pogoda wróciła do jéj duszy.— Niespodziewany powrót Elżbietki, i pomysł odszukania Marji wyrwał biedną matkę z cichego uspokojenia— pobłogosławiwszy cnotliwy zamiar jedynego dziecięcia, znów poczęła się lękać, spodziewać, czekać i płakać,— a pierwsze trzy lata nieobecności Betty, wyczerpały całą moc duszy biednéj,. znękanéj matki.— Wróciwszy do domu Elżbieta znalazła ją znów spokojną, prawie nawykłą do oczekiwania, prawie obojętną.

Lady Wilton, oddawna słabego zdrowia, umarła

zapisując znaczny majątek Marji, cierpiącéj niewinnie z jéj przyczynienia się, a w razie zupełnego jéj zaginienia, rodzinie nieszczęśliwéj. — Spadek ten powiększył jeszcze dawny obrońca Marji, który na tenże cel, cały swój majątek przy zgonie przeznaczył.— Tak więc Gilbertowa była bogatą, nie ciesząc się z tego— Betty nie chciała używać dostatków które jéj się zdawały ceną życia siostry zginionéj, lub cierpiącéj przez jéj winę. Żądza odzyskania jéj coraz mocniéj dręczyła odważną dziewicę. W pierwszéj podróży uznała prawdopodobieństwo swojego zamiaru, dla tego téż z rozkoszą przyjęła propozycję pułkownika Bligh którego poznała była w Ameryce, puszczenia się po drugi raz na odkrycia.— Staruszka znowu została sama, znów trzy lata spędziła w modlitwie i pracy od któréj odwyknąć nie mogła, i znowu, poddając się zupełnie woli Boga— przestała się nawet spodziewać.

Dopiero kiedy po tysiącznych niebezpieczeństwach, Bligh i Elżbieta uznali niepodobieństwo znalezienia Marji, i wrócili na nowo do kraju— kiedy Betty chcąc wynagrodzić choć w części tyle cierpień matce, poczęła ją otaczać nieustanną, tkliwą, serdeczną troskliwością, kiedy pułkownik zmusił ją prawie do zamieszkania wytwornego jego domu, i z przeznaczonych dla niéj dochodów urządził jéj życie wygodne, dostatnie,

biedna kobiéta, poczęła na nowo oddychać, poczęła lubić to życie w którém tyle nieznanych doznawała słodyczy— tyle pieszczot— tak gorącéj miłości od téj córki, na którą zawsze z jakąś obawą poglądała dawniéj.

I teraz— zamiar Bligha roztrącał jéj szczęście, niszczył jéj spokojność, groził jéj wydarciem Elżbiety— którą ona całą mocą macierzyńskiego uczucia pokochała na nowo!

— O Betty! nie jedź!— wymówiła składając ręce,— tyś moją jedyną pociechą!

— Matko! rzekła stłumionym głosem Elżbieta, i pochyliła nieśmiało głowę,— matko! ja wrócę!— O! gdybyś wiedziała jakie głosy wołają mi ciągle— Marja żyje!.... jeszcze jedna ofiara matko!... a cóś mi tu mówi że we dwie wrócimy!

Przyłożyła rękę matki do bijącego swego serca, a staruszka bledsza niż zwykle, pochyliła się nad jéj głową i obejmując za szyję w milczeniu— chciała niejako przykuć do siebie ten ostatni promień szczęścia i miłości przy schyłku swego życia.

— W téj chwili otworzono drzwi pocichu, i stary sługa pułkownika, podał panu swemu pakę listów i dzienników.— Bligh oczekując niespokojnie końca sceny między Elżbietą i matką, począł je przerzucać;— nagle— otworzywszy list jeden rzucił okiem na podpis, potém przebiegł

pismo oczyma— i powstając z żywością młodzieńca, poskoczył ku dwom kobietom, chwycił je w szerokie ramiona, i ściskając z całéj siły— z trudnością wymówił— Emma! Marja!— jest— żyją— są— tu!

A wskazawszy ręką ów list szczęśliwy padł bez przytomności na krzesło.

(*Dokończenie nastąpi*).

PRAWDZIWA PIĘKNOŚĆ

(*powiastka*).

Zaledwo słonko majowe wstało,
Brat starszy w ogród szedł z siostrą małą;
A wszystko do nich śmieje się wkoło
Wszystko ich wita mile, wesoło:

Ptaszęta z gniazdek radosnym śpiewem,
Miłutki wietrzyk świeżym powiewem,

Kwiatki tysiącznych wonią pachnideł,
Motylki barwą i blaskiem skrzydeł.

—„Ach! mój braciszku! woła Ludmilka
»Patrzaj! czy widzisz tego motylka?
„Jaki on śliczny! — ach! a te róże!
„Czyż co na świecie zrównać im może!

„A patrz, ta lilja! albo fijołek!
„Słuchaj! to pewno jaki aniołek
„Wszystko dogląda w tych stworzeń rzędzie
„Że tylko piękność wszędzie i wszędzie.“

Kiedy tak mówi — mały robaczek
Niekształtny, ciemny, środkiem dróżyny
Pełznie powoli pod blizki krzaczek,
Zapewne do swéj rodziny.

—„Ach! jakiż brzydki!“ Ludmilka woła—
I nim dopełznął do krzaczka,
Nim brat spóźniony przeszkodzić zdoła,
Depcze biednego robaczka!—

A brat rzekł smutnie:— „zła ogrodniczko!
I za cóż jesteś tak groźną?
Ty pożałujesz tego siostrzyczko!
Ale już będzie za poźno!“

Westchnął i więcéj nic nie powiedział—
I smutny wracał do dworu—
Czegóż się smucił? wszak dobrze wiedział
Że ludzie cenią z pozoru.

Gdy słońce zaszło, a księżyc złoty
Z za lasów czoło wychyli—
—„Siostro! brat rzecze„— niemasz ochoty
Pójść gdzieśmy rano chodzili?—

—„O! dobrze bracie!“— i już wybiegli—
W ogródku cisza dokoła—
Lecz długo, długo nic nie spostrzegli,
Aż nagle siostra zawoła:—

—„Ach! mój braciszku! patrz te światełka!
Czy to kawałki gwiazdeczki?
Czy taka świetna rosy perełka?
Czy takie cudne kwiateczki?“

—„A prawda siostro! że ślicznie świecą?
Ale te piękne światełka
Co takie cudne promienie niecą
O! to nie rosy perełka!

Ani to gwiazdka spadła w te krzaczki
W drobne się iskry rozbiła,

To takie same brzydkie robaczki,
Jakiegoś rano zabiła.

A gdzież są owe poranne blaski
Kwiatków kolory rozliczne,
Gdzież te motylich skrzydeł obrazki
Tak krasne, lśniące, prześliczne?

Wszystko to znikło— bo słońce zgasło,
Bo razem z słońca skonaniem,
I dla nich skonu wybiło hasło,
Wstaną aż z słońca powstaniem.

A te robaczki świecą tak jasno
Choć cienie nieba powleką,
Choć blaski słońca dawno zagasną
A zorza jeszcze daleko!

Nietrudno świecić promieniem jasnym
Cudzym, i tylko odbitym,
Lecz jak ten robak, promieniem własnym,
Promieniem w duszy ukrytym.

Nietrudno świecić przy dnia pomocy
Gdy słońce przyświeca jasno,
Ale w ciemnościach śród nieszczęść nocy
Gdy wszystkie światła pogasną.

W ogrodzie świata, droga Ludmilko!
Obaczysz dużo motyli,
Ale na piękność duszy patrz tylko,
Ta jedna tylko nie myli!

W ogrodzie świata, lica nie jedne
Ujrzysz zmienione cierpieniem,
Wtedy przypomnij robaczki biedne
I rzuć współczucia spójrzeniem;

Bo może pod tą brzydką powłoką
Dusza promieni tak jasno
Jak te robaczki z nocną pomroką
Siłą prawdziwą bo własną.

Zewnętrznych wdzięków, w muszkach, w kamieniu,
Lub w kwiatach szukaj Ludmilko!
Ale w myślącém jak ty stworzeniu,
Ceń duszę, ach! duszę tylko!

Karol B. z Jarosławca.

OBRAZ.

W kolebce umajonéj kwiatkami, leżało dziécię jak anioł piękne, i płakało długo i rzewnie aż troskliwa matka, schylając swą głowę nad kolebką jedynéj swéj pociechy, wdzięcznym tonem tkliwie zanuciła. Dzwięcznego głosu matki harmonijne brzmienie zwolna uspakajać zaczęło żale téj małéj dzieciny; żywość oczek błękitnych cień spoczynku otoczył, słodkie ujęło je uśpienie, a troskliwa matka korzystając z tego, rozsuwała nad główką dziecięcia cieniutkie okrycie; i choć ciszéj.... choć wolniéj.... jeszcze mu śpiéwała „spij moja nadziejo, moje ty życie!“ Ach! te piérwsze piosnki z ust matki wydane, których zaledwie całość ucho pojąć zdoła, już dziecka serce rozumie, już budzą w niém nieznane jakieś uczucie. A jeśli późniéj śpiewać się na-

uczy, choć zupełnie odmiennym otoczone światem, choć inaczéj mu zanuci grono przyjaciół, zcicha zabrzmi mu w uszach odgłos ulubiony, przyjdzie na myśl wiek złoty, rozkosz młodociana, i w piosnce, którą jego usta zanucą, piérwszych piosnek matki odezwą się tony.

O! jak szczęśliwe to dziecię któremu własna matka nad kolebką nuci, dla którego porzuca zabawy uciechy, o całym zapomni świecie, wié tylko że jest matką!

Zofja Karpe.

WIADOMOŚĆ

o kościele we wsi zwanéj Kępa, dawniéj w ziemi Wyszogrodzkiéj, dziś w powiecie Płockim położonéj, istniejącym,

przez

WINCENTEGO HIPOLITA GAWARECKEGO.

. . . . . . Na całym obszarze Polski starożytnéj liczne powstały świątynie ku czci Niepokalanéj Dziewicy!.... Samo JÉJ imie, MARJA, z wielkiém poszanowaniem wymawiano!

K. Wł. Wójcicki w Alleluja z r. 1843.

Marja, Zbawiciela świata Rodzica, od śmierci Jego aż do dziś dnia stała się przedmiotem szczególnéj czci całego chrześcijaństwa, w którego imieniu koncylium w Efezie wyrzekło:

„Cała nasza nauka i szczęście jest czcić Boga w trzech osobach, i Marją zawsze pannę.“

I ztąd też niemasz ludu w chrześcijańskim świecie, któryby z osobliwą ufnością nieczcił Marji, niemasz miasta, wsi i domu, gdzieby niebyło tkliwych dowodów pobożności ku Niéj. Książęta, królowie swoje berła i korony oddawali w Jéj szczególną opiekę, przekonani że w Marji niezachwianą mieć będą obronę, a wszystkie ludy i królestwa nazywały Ją swoją matką, i królową. Monarchinie żyjące za czasów Marji, zdziwiłyby się za powrotem swoim na ziemię, widząc dziś w całym świecie wzniesione ołtarze i obrazy młodéj niewieście z Nazaretu, nieznanéj nawet od nich!

I dla czegóż Jéj chwała tak jest wielką? Oto dla tego, że życie Jéj zwrócone było do wieczności, nie zaś do czasu, do Boga, a nie do ludzi!

Głosi Ś. Bernard w jednéj ze swoich mów, że żadna łaska nie spływa na ziemię, któraby nie była, za pośrednictwem Boskiéj dziewicy udzieloną (1).

---

(1) Jest to mniemanie, (mówi Alfons Marja Ligory w r. 1779 zmarły biskup, od Piusa VII. w r. 1826 w poczet błogosławionych policzony) powszechnie od teologów i doktorów kościoła ś. przyjęte.

Pomnaża się ztąd po wszystkie czasy gorliwość kościoła ku uszanowaniu i wzniesieniu w sercach wiernych czci dla królowéj niebios i ziemi; ztąd uroczyste obchodzenie Jéj świąt, poszanowanie Jéj obrazów, składanie hymnów i śpiewów na Jéj chwałę (2). Ztąd troskliwe staranie kościoła, o rozszerzenie nabożeństwa do Téj, któréj dobroć nieustępuje potędze.

Rozmaite opisy obrazów i miejsc słynnych łaskami, przynoszą jawne świadectwo, jaką cześć w krajach sławiańskich mieszkańcy mieli dla Boskiéj dziewicy!

Zgoła wyobrażenie téj Matki Zbawiciela naszego równie czczone jest w wspaniałych gmachach, jak i pod słomianą strzechą ubóstwa. Te to uwielbianie i hołdy dla przeczystéj Marji, stały się hasłem w narodzie naszym do wznoszenia świątyń pod Jéj imieniem!

Przejęty takowém szczytném uczuciem ś. p.

---

(2) Miłość i nabożeństwo ku wielbionéj Boga-Rodzicy, jest właściwém znamieniem czystéj duszy. Świetny téj prawdy dowód mamy w życiu Ś. Kazimierza królewicza, który nawet ćwiczenia swoje naukowe ku czci Marji kierował, i na Jéj uwielbienie ułożył piękny hymn łaciński: Omni die, die Marie, mea laudes anima, i ten codziennie nabożnie odmawiał.

Klemens Nakwaski, h. Pruss (3), podkomorzy ziemi wyszogrodzkiéj, kawaler orderu Ś. Stanisława, pan wielu imion, wzniósł własnym nakładem ozdobną bazylikę z muru w r. 1785 w dziedzicznéj włości nad Wisłą, zwanéj Kępa (4), na cześć Marji Panny.

---

(3) Herb Pruss, albo Jarzyna, przynieśli do Polski trzéj panowie pruscy; mając z mistrzem krzyżackim zajście, naprzód skarby swoje wysłali potajemnie z żonami i dziećmi, a sami potém na mistrza pruskiego uderzyli, którego zabiwszy przybyli do Polski, i imion wiele przynieśli. Herb ten wyraża się, półtora krzyża białego w czerwoném polu. Na chełmie z korony ręka zbrojna z mieczem wyniesionym.

Herb Pruss II, albo wilcze kosy, jest dawny w Polsce, podobny pierwszemu; jeden z domu tego, mężny hetman króla Kazimierza I. na wojnie przeciw Masławowi, przywłaszczycielowi Mazowsza poraził wojsko tegoż, na ten czas Kazimierz I. ze względu iż Masław używał kos za herb, do Pruss przydał temuż hetmanowi dwie kosy i krzyż, na wierzchu Pruss to jest półtora krzyża białego, w polu czerwoném, na chełmie wyniesiona ręka zbrojna z mieczem.

Ten to herb jest własny rodziny Nakwaskich.

(4) Wieś Kępa, położona na prawym brzegu Wisły, dawniéj w ziemi wyszogrodzkiéj, dziś w powiecie płockim, należąca do parafji Zakrzewo, o mil trzy od Płocka odległa, a o mil dwie od Wyszogroda, liczyła łącznie z przyległemi osadami: Purzyczka, Zajączek, Kępa niemiecka, i Czerwonka w roku 1844.

a)	Katolików	płci mężkiéj . .	98	199.
	ditto	płci żeńskiéj . .	101	
b)	Wyznawców Augsburskich			
		płci mężkiéj .	58	128
	ditto	płci żeńskiéj .	70	

Gdy dziś poznanie bliższe okolic ojczystych zagród stało się rzeczą niezbędną, oraz więcej rodaków obchodzącą, niżeli obce osobliwości, wyszukiwanie przeto pamiątek w ukryciu dotąd pozostałych, i ogłaszanie takowych opisów drukiem, niemoże być naganne, a dla czytelnika obojętne! Czas wystawienia pierwiastkowego we wsi Kępie kościoła, jest niewiadomy, również przez którego z posiadaczów tejże włości był fundowany, i ta okoliczność wyśledzoną być niemogła. Z wizyt tylko księży Dziekanów peryodycznie odbywanych, a w aktach kościoła katedralnego płockiego istniejących płynie przekonanie, iż od najdawniéjszych czasów była kaplica publiczna we wsi Kępie z drzewa wybudowana, pod tytułem Zwiastowania Najświętszéj Panny Marji, wsławio-

---

c) Starozakonn: płci mężkiéj	.	7	18
ditto płci żeńskiéj	.	11	
Ogółem mężczyzn	.	163	345
niewiast	.	182	

Liczy dymów:

1.	Wieś Kępa polska	23
2.	Osada Purzyczka	12
3.	Osada Zajączek	3
4.	Kępa niemiecka	8
5.	Czerwonka	3
	razem dymów	40

Kępa posiada sad dobrze urządzony, młyn przy ujściu strugi Multawy do Wisły na wykopanym stawie, karczmę z wjazdem, cegelnię, i las dostateczny, gruntu II klassy, czynszowników 48, i komorników 6.

na z obrazu téjże tajemnicy, w ołtarzu wielkim umieszczonego, łaskami w ówczas już licznémi słynnego. Jednakże niemiała żadnego uposażenia w gruntach lub kapitałach; była to fjalna kaplica, w parafji Zakrzewo, pod zarządem proboszcza tamecznego zostająca. Dla odprawiania nabożeństwa w święta i dnie powszednie, był przy téjże kaplicy przez dziedzica Kępy utrzymywany kapelan, zwykle zakonnik z zgromadzenia wyszogrodzkiego księży Franciszkanów.

Gdy kościołek pierwotny, jako z wątłego materyału wystawiony, zniszczał, a przezto niebył do odbywania służby Bożéj zdatny, natenczas w r. 1785 ówczasowy majętności Kępa dziedzic Klemens Nakwaski, podkomorzy ziemi wyszogrodzkiéj, kawaler orderu S. Stanisława, wystawił z cegły palonéj trwałą i ozdobną bazylikę w zastępstwie czasem strawionéj, i tę Biskup Sufragan płocki Wojciech Gadomski w dniu 4 grudnia tegoż roku konsekrował i obchód doroczny téj pamiątki w niedzielę ósmą po uroczystości Zesłania Ducha świętego przeznaczył. Świątynia ta stoi w miejscu otwartém, i równém, wzniesioném nad poziom Wisły, w odległości prętów 90 płynącéj (5), kształt ma prostokąta podłu-

(5) Dawniéj pod samym kościołem miała płynąć Wisła, później wylawszy swoje wody w teraźniejsze koryto zosta-

żnego, obrócona jest ołtarzem wielkim na południe, a czołem czyli facjatą ku północy.

Długość jéj miary tegoczesnéj krajowéj wynosi łokci 42 i poł, a szerokość łokci 21 i pół, wysokość od ziemi do gzymsu łokci przeszło 18, mieścić może w sobie osób przeszło tysiąc.

W presbiterium (części kapłańskiéj) jest ołtarz wielki, obustronnie tegoż wznoszą się loże nad zakrystyją i skarbcem (zachowaniem), przy jednéj z nich z strony prawéj od wchodu kazalnica; w nawie zaś kościoła są dwa pomniejsze ołtarze. Wszystkie trzy są roboty snycerskiéj. Wielki z nich ozdobny dwoma filarami złoconemi, i osobami świętych, mieści obraz średniéj wielkości Matki Zbawiciela świata, tajemnicy Zwiastowania, z dawniejszego kościoła przeniesiony, niewiadomego artysty ręką na płótnie, pięknie wykonany. Suknie i korony srebrne zdobią tak osobę Boskiéj Dziewicy, jako i anioła Gabryela, zwiastującego Jéj radośną nowinę.

Jest to wystawienie téj chwili, gdy anioł Gabryel, posłany od Boga, trzymając w ręku liliją, rzekł do Dziewicy przeczystéj.

---

wiła odnogę, tak zwaną Łachę, która okrąża kościół, i znowu poniżéj łączy się z Wisłą, miejsce gdzie tak zwana łacha płynie, jest zarośnięte krzewiną.

„Bądź pozdrowiona Marja, łaski pełna, Pan z Tobą, Błogosławionaś ty między niewiastami."

Były te słowa posłańca Boskiego niebieską dla Marji rozkoszą, widząc się wybraną na matkę Odkupiciela świata. Na zasuwie jest obraz Ś. Klemensa, papieża i męczennika, patrona fundatora kościoła, pod którego imieniem tenże jest założony (6).

---

(6) Jak to okazuje napis na tablicy czarno lakierowanej w ramach pozłacanych, nad drzwiami zakrystji zawieszony w słowach:

D. O. M.

Illmns M. D. Clemens Nakwaski, Succamerarius Vissogrodiennsis, Equas Ord: S. Stanislai, in villa hac sua Kempa aedificavit istam ecclesiam ad laudem Omnipotentis Dei, et gloriam gratiosissimae Virginis Mariae, atque honorem S. Clementis Papae et martyris sub cujus titulo nomendaturam ejusce ecclesiae manere voluit. Hanc anno 1785 die 4. Xbris Illmus Excellentissimus et Reverendissimus Dominus Adalbertus Josephus in Gadomiec Gadomski D. et A. S gratia Episcopus Benden. Suffraganeus, Primicerius cathedralis, Decanus Collegiatae, Vicarius in spiritualibns, et Officialis Jeneralis Plocensis consecravit, et altare in ea ad honorem S. Clementis Reliquiasque SS. Martyrum Faustini, Crescentiae, et Deodatae ibidem inclusit. Diem autem consecrationis Ejus aviversarium Dominicam octavam post Pentocostes assignavit et singulis Christi Fidelibus in ipsa die consecrationis annum unum, in quo aniversario die consecrationis ejusdem ipsam quotanis in prosterum devote visitantibus 40 dies de vera indulgentia in forma ecclesiae consveta concessit, et clemente indulsit. In cujus rei perpetuam memoriam hoc monumentum consignavit.

Ołtarze boczne są poświęcone, z strony prawéj od wchodu S. Annie, a z lewéj S. Antoniemu z Padwy.

Okien oświeca kościół 10, z każdéj strony po cztery, jedno na chórze, a drugie formy owalnéj nad wielkim ołtarzem, prócz tych są dwa okna pomniejsze po jedném w zakrystji i w skarbcu.

Posadzka jest z cegły palonéj, formy tafli kwadratowych, Na chórze nad drzwiami głównémi wchodowémi, (prócz których są drzwi mniejsze z lewéj strony) wspartémi na filarach i arkadach, znajdują się organy o ośmiu głosach w roku 1838 wybudowane (7).

Nad głównym wchodem wyryty na marmurze czarnym napis, jest pamiątką czasu budowy, i fundatora kościoła, a to w słowach:

D. O. M.

Haec ecclesia cura et sumptu Illmi Clementis Nakwaski, Subcamerarii Visogrodiensis, Equitis Poloni, in laudem attissimi Dei honoremque Gloriosissimae Virginis Mariae anno 1785 extructa.

Nagrobki w nawie kościoła fundowane, służą wspomnieniu członków z rodziny Nakwaskich.

---

(7) Budował organ ten Antoni Zakrzewski, orgarmistrz z Warszawy.

I. z nich wystawia kolos z marmuru czarnego na piedestale z białego tegoż głazu oparty, zakończony wazonem czarnym, również z marmuru, poniżéj napis w słowach:

D. O. M.

Tu spoczywają zwłoki fundatorów téj Bazyliki Klemensa Nakwaskiego, Podkomorzego Wyszogrodzkiego, K. O. Ś. Stanisława roku 81 życia, dnia 14 stycznia 1801, i Zuzanny z Gębartów małżonki w r. 73; dnia 6 maja 1802 zmarłych, którzy przeżywszy lat 50 w stanie małżeńskim na d. 19 lipca 1797 roku w tym tu kościele powtórne szlubu małżeństwa błogosławieństwo otrzymali. Pomnik ten rodzicom syn Franciszek Nakwaski Prefekt Departamentu Warszawskiego, K. O. Ś. S. w dniu 2 czerwca 1816 wystawił.

II. podobnego kształtu, także z marmuru obejmuje napis:

D. O. M.

Barbara z Nakwaskich, Hipolita Mikorskiego Łowczego wyszogrodzkiego małżonka, przeżywszy lat 52, zaś w stanie małżeńskim 25, na d. 19 marca 1802 roku, z tym się światem rozstała, któréj zwłokom w grobie tego kościoła spoczy-

wającym, mąż ten pomnik na d. 2 czerwca 1816 października położył (8).

III. nagrobek z ciosowego kamienia koloru białego, wyobrażający niewiastę wspartą na urnie pogrzebowéj, w podstawie któréj jest napis:

Łukaszowi Nakwaskiemu, zmarłemu w r. 1828 wystawił ten pomnik brat jego Franciszek, Senator Królestwa Polskiego, w r. 1831. Oby modły spółrodaków, pokój cieniom jego zjednały.

IV. także z ciosowego kamienia, koloru białego, przedstawiający niewiastę smętną trzymającą urnę w ręku; na kolumnie przy niéj umieszczonéj, i zakończonéj także urną jest napis:

Janowi Nakwaskiemu, Stolnikowi Wyszogrodzkiemu K. O. Ś S. zmarłemu w r. 1828, wzniósł ten pomnik w r. 1831 Henryk Nakwaski, w dowód wdzięczności (9).

W grobie będącym pod ołtarzem wielkim, do którego jest wejście z cmentarza, spoczywają śmiertelne reszty członków rodziny Nakwaskich, którym pomniki są wzniesione, i innych należących do téjże.

---

(8) Wysokość pomników I. i II. wynosi łokci 3 cali 12.
(9) Wysokość III i IV. łokci 3 cali 7.

W górze przy wielkim ołtarzu w loży są zawieszone portrety olejno malowane:

1. Klemensa Nakwaskiego Podkomorzego, fundatora kościoła.

2. Barbary Mikorskiéj, Łowczyny, córki.

3. Ignacego, Szambelana J. K. Mości.

4. Jana, Stolnika.

5. Łukasza, Nakwaskich, synów Podkomorzego.

Prócz tych zwraca uwagę obraz wystawiający głowę Pana Jezusa Nazarańskiego, robioną na kanwie włóczką w kolorach, w ramach złoconych za szkłem, wielkości więcéj nad łokieć, zawieszony na ścianie, po prawéj stronie wielkiego ołtarza. Dzieło to jest pracy Febronii, z Nakwaskich Smolińskiéj, i przez nią do tutejszéj świątyni ofiarowane.

Otacza kościół cmentarz murawą zieloną pokryty, kwadratowy, akacyami obsadzony, i murem otoczony, a przy nim od strony Wisły w tyle ołtarza wielkiego stoi kapliczka z drzewa, zbudowana w kwadrat, z ołtarzem Zwiastowania Najświętszéj Panny, w którym jest obraz na płótnie podobny temu, jaki jest w głównym ołtarzu kościoła, w téj w czasie odpustów odprawiają się msze święte,

W tymże cmentarzu jest oddzielna dzwonnica z trzema średniéj wielkości dzwonami.

Za murem cmentarzowym daje się widzieć topoli ogromnych sześć, dawnością nacechowanych, stąd znakomitych, i te są ozdobą miejsca tego.

Licznie gromadzą się wierni z okolic na odpusty w tutejszym kościele w Zielone świątki, w uroczystości Wniebowzięcia, i Narodzenia Marji Panny, przypadające. Czasem do kilku tysięcy zbiera się ludu pobożnego. Przybywają i kompanije z bliskich kościołów parafjalnych w processji z obrazami, chorągwiami, mające na czele przewodniczących pasterzy swoich.

Te ich śpiewy uroczyste, te witania nadchodzących przez kapłana miejscowego w assystencji ludu już poprzednio zebranego w domu Bożym, przy odgłosie dzwonów (10), kotłów, wszystko to tworzy zachwycający widok na jaki pewnie każdy czuciem obdarzony człowiek, bez wzruszenia patrzeć nie może!

Mimo kapłana stałego przy kościele mieszkającego, proboszczowie parafji sąsiednich, i zakonni kapłani dopomagają w udzielaniu duchownej pomocy ludowi zgromadzonemu.

JW. Franciszek Salezy Nakwaski, b. Senator

(10) Na człowieka myślącego odgłos dzwonów ma wpływ największy. Ten bowiem głos uroczysty oznacza wszystkie wypadki główniejsze naszego istnienia.

królestwa, kawaler ord. Ś. Stanisława, dziedzic miejsca tego z uprzejmością wrodzoną przyjmuje w każdy odpust w dom swój tak kapłanów, jako i przybyłych obywateli do Kępy, a przez to odnawia, zwyczaje starodawnéj gościnności, z jakiej kraj nasz słynął. Prócz odpustów w dopiero wymienione uroczystości przypadających odbywają się:

1. Aniwersarz poświęcenia kościoła w ósmą niedzielę po Zielonych świątkach.

2. Na Ś. Klemens, w d. 23 listopada. Wszystkie te odpusty bullą stolicy apostolskiéj w Rzymie roku 1843 wydaną są przeznaczone, i do ich ogłoszenia ludowi kościół kępski upoważniony został, jak to przekonywa oświadczenie JW. Biskupa płockiego teraźniejszego, umieszczone z lewéj strony ołtarza wielkiego.

Uposażenie tego kościoła jest dziełem członków rodziny Nakwaskich; tak jak fundator, zabytek cnót wszelkiego rodzaju, miły i kochany w obywatelstwie, którego Bóg darząc zamożném mieniem dał mu się doczekać sędziwego wieku, w pożądaném zdrowiu, nieżałował nakładu na dom, w którym Bóg jest wielbiony, aby był wspaniały, tak i nieodrodni potomkowie jego na przybytek ów zasobów swoich nieszczędzili.

Jan, Łukasz Nakwascy, bracia, a synowie podkomorzego, znając iż wszystko na świecie prze-

mija, a owoce dobrych uczynków trwać będą wiecznie, ostatnią wolą swoją poczynili zapisy, już to na utrzymanie ciągłego kapelana i organisty przy kościele kępskim, jak również na wystawienie nowego organu, i restauracyją kościoła. Funduszem dzisiejszym na zabezpieczenie służby Bożéj jest procent od summy złp: 35000, na dobrach Kępie i Perkach hipotecznie zabezpieczonéj (11).

JW. Franciszek Nakwaski, b. Senator, dziedzic Małéjwsi, Nakwasina, Kępy, i innych dóbr ziemskich, doprowadzając do skutku wolę braci swoich szanownych, kościół w roku 1838 zupełnie odnowił, i organ nowo dał zbudować. Z tego względu zaproszony przez tegoż JW. właściciela w r. 1839 JW. Franciszek a Paulo Pawłowski, biskup płocki, kawaler orderów Ś. Anny i Ś. Stanisława przybył w uroczystość Ze-

---

(11) Wypis z testamentu ś. p. Łukasza Nakwaskiego, w Warszawie d. 22 października 1827 roku udziałanego:

»W celu pomnożenia chwały Boga, i cudownéj Matki Boskiéj, złotych 10,000 chcę mieć na hipotece wsi Kępa ulokowanych, na procent dla kapelana, aby tenże co miesiąc za dusze rodziców moich, i siostry Barbary Mikorskiéj, oraz Ignacego Nakwaskich, których ciała w tymże kościele spoczywają, tudzież za duszę testatora, i dalszych z rodzeństwa, których zwłoki w grobie kępskim pochowane będą, msze święte odprawiał, a w każdą niedzielę i święto przypominki za te dusze czynił.«

słania Ducha Świętego do Kępy w assystencji prałatów, kanoników katedralnych płockich, i licznego kleru kościelnego, i przez dni dwa w formie najuroczystszéj nabożeństwo odbywało się z udzieleniem licznie zebranemu ludowi Sakramentu bierzmowania.

Także odbyły się w tutejszej bazylice dwa obchody jubileuszowe, rzadkie w hierarchii osób kościoła katoliekiego, mianowicie:

W dniu 15 sierpnia 1842 r. Wgo Księdza Jana Zielińskiego, proboszcza parafji Zakrzewa, kapłana zakonu kaznodziejskiego, niegdy zgromadzenia płockiego.

W dniu 8 września 1843 r. Franciszka Ksawerego Dąbkowskiego, kapelana kościoła kępskiego od lat dwódziestu, obecnością wielu znakomitych osób zaszczycone. Kapłani i obywatele przyjęci zostali przez JW. Kollatora, który obudwom jubilatom wyprawił primicyje wtóre.

Nadto tenże dziedzic nakładem własnym urządził przy kościele w Kępie szkółkę dla dzieci wiejskich, dozorowaną przez organistę miejscowego, na teraz Jakóba Stankiewicza, w téj nauki początkowe czytania, pisania, i rachunków pobiera blisko dwódziestu uczniów.

Z obrazu niniejszego widzimy, że kościół w Kępie winien istnienie swoje rodzinie Nakwaskich, członkowie téjże, jak za życia swego zwy-

kli w nim modły błagalne czynić, tak po zgonie w grobie jego znajdują wieczny spoczynek.

Na równéj powierzchni ziemi wzniesiony, miły, widny i czysty ten kościołek, osłonięty drzewami, i schludnym cmentarzem otoczony, skłania każdego z przybyłych do dziękczynnéj modlitwy.

Spokojność, ustronie, oddalenie od świata, tłumaczą bardzo jasno wzniosłość religijną.

Nabożeństwo zaiste nasze, więcéj ciszy i spokoju, niż wystawy wymaga, a modły nasze w pokorze, ufności, z przejęciem serca zanoszone, dochodzą tronu Boga przedwiecznego!

Ozdobę najcelniejszą świątyni w Kępie stanowi obraz łaskami słynący Bogarodzicy, do którego udają się licznie pobożni z okolic, a modląc się z zupełną wiarą, doznają pociechy i ratunku w smutnych kolejach życia, jakich każdy z śmiertelnych doświadcza w wędrówce doczesnéj.

Oby pokolenie obecne wstępując w ślady przodków swoich, tak niegdy nabożeństwem do przeczystéj Marji słynących, wznowiło dawne pobożności czasy, a poświęcając Jéj modły szczere i z serca pochodzące, godném się stało, mianować Ją chlubnym dla siebie tytułem, *matki, królowéj* swojéj, i Jéj nad sobą doznawać opieki!

WSPOMNIENIA WYGNANKI

(*Dokończenie*).

Plymouth

Do szanownego Sir Ryszarda Bligh półkownika,

Mamy zaszczyt uwiadomić niniejszym, iż osoby których śladu szukać poleconém nam było, według wszelkiego prawdopodobieństwa— znalazły się.

W dniu 18 lipca, dwumasztowy okręt Błyskawica, z kapitanem Wiliam, przed dwudziestu miesiącami wysłany w celu naukowym, zawinął do naszego portu.— Na pokładzie jego znajdowały się między innymi podróżnymi trzy młode kobiety, które sam kapitan, po spuszczeniu w morze kotwicy odprowadził do miasta. i najął im mieszkanie w najlepszym hotelu, gdzie do księgi przyjeżdżających zapisanémi zostały pod imiona-

mi: Miss Mary Gilbert.— Sara Birth.— Lady Emma.... W pół godziny po obięciu mieszkania, damy te przyjęły odwiedziny Szeryfa, potém komendanta portu, następnie starszego aldermana i małżonki szanownego barona Burke; poczém wymawiając się znużeniem, z nikim więcéj widzieć się nie chciały, lubo najznakomitsi mieszkańcy cisną się do drzwi ich hotelu, i zapisują swe nazwiska.

Co wyraziwszy— mamy zaszczyt zostawać z najpowinniejszym szacunkiem.

Uniżonemi sługami

Freehead et Storkhouse.

P. S. Przed samém odejściem poczty wyszedł dzisiejszy numer dziennika, który dotąd na największą wiarę i poważanie zasługuje, dołączamy część jego, domyślając się że opis który zawiera obojętnym szanownemu panu nie będzie.

Wyjątek z dziennika morskiéj podróży. odbytéj przez kapitana Wiliam, PP. Smith, Coldbeam, Buttler etc. na okręcie Błyskawica, do brzegów południowo-zachodnich Australji.

Po dwutygodniowym pobycie w porcie Lincoln, zkąd geografowie i naturaliści nasi czynili wycieczki w głąb kraju, opatrzywszy się należycie w żywność i wodę, podnieśliśmy 20 sierpnia ko-

twicę, i poczęliśmy się posuwać szybko w kierunku północno zachodnim— dotarłszy do przylądka pożegnania (Cap Adieu) przy którym zaczyna się wznosić pasmo skał przybrzeżnych, i tak gęstych, tak coraz groźniejszych, że tu prawdziwie trzeba pożegnać się z chęcią poznania ziemi, oddaliliśmy się ku otwartému morzu o tyle, ile nam konieczna ostrożność nakazywała, nie tracąc ziemi z oczu, zbliżaliśmy się do niéj często, już okrętem, już szalupą, już nakoniec w małych łódkach, lecz zawsze pęd tak był mocny, skały tak blisko siebie że przybić nigdzie nie było podobna.

26 sierpnia około południa powstał wiatr od wschodu, wzmagał się do samego wieczora, a pod noc okropna, niepamiętna w téj stronie i porze wybuchła burza.— Gwałtownie wzdęte fale miotały statkiem straszliwie, i trzeba było użyć wszystkich rąk znajdujących się na okręcie, by jakkolwiek wykonywać obroty, które nas ocalić miały— chłopcy okrętowi, służący, nawet dozorcy składów pracowali przez noc całą na pokładzie.— z rankiem téż uspokoiła się burza, niebezpieczeństwo minęło, ale razem okazało się że smutny wypadek dotknął *Błyskawicę* i jéj osadę.

W czasie silnych wstrząśnień okrętu popękały łańcuchy wstrzymujące oksefty z wodą, i cały

zapas napoju wypłynąwszy z potrzaskanych beczek, i pomieszawszy się z innemi przedmiotami napełniał głąb statku.

Smutek ogarnął wszystkich; po tylogodzinném natężeniu każdy czuł mocne pragnienie, słońce powstając czerwono zapowiadało niezwykły upał, a tymczasem ledwie kilka baryłek wody pozostawało na zaspokojenie stu przeszło osób.— Kieliszkami wydzielałem wodę— 28 sierpnia nie było już co dzielić.— Zwątpienie osiadło nasz pokład, odwaga i wytrwałość w pracy zwalniać się zaczęły;— chcieliśmy zawrócić nazad, lecz z jednéj strony łudziła nas jeszcze nadzieja że może gdzie blisko będzie można przybić do lądu i opatrzyć się w wodę, z drugiéj— niepodobna było wracać ku wschodowi, pod wiatr który dął silnie, i z uszkodzonym przez burzę sterem.

Kazałem zwinąć żagle, by się jak najwolniéj posuwać, a tymczasem bezustanku wysyłałem drobne statki na zwiady;— tak minął dzień 29— a oprócz silniejszego pragnienia podwojonego jeszcze niezwykłą na łódkach czynnością, żadnéj nie odnieśliśmy korzyści.— Noc się zbliżała, rozpacz ponura osiadła surowe twarze żeglarzy;— szemrali głośno przeciw losowi, a ja choć obecny temu nie śmiałem nakazywać milczenia ludziom, którym bliska, nieuchronna a straszliwa przyszłość groziła.

Mało kto spał na okręcie, jęki i wyrzekania rozlegały się wśród mroku, statek zwolna się ślizgał po wałach, wszystkie szalupy i czółna skakały przytwierdzone do jego boków, bo już brakło silnych dłoni mogących wiosłem kierować. Posępny to był widok — każdy z nas czekał śmierci, gotował się na nią, usiłując wszelako obojętnym twarzy wyrazem ukryć przed towarzyszami okropnosć wewnętrzego cierpienia.

Nagle ze szczytu masztu ozwał się głos tak słaby, że trudno było rozpoznać jakie wymawiał wyrazy, lecz w dźwięku jego taka brzmiała radość, że wszyscy zdziwieni zbiegli się na środek pokładu by prędzéj usłyszéć co ją spowodowało.— Biedny chłopiec okrętowy umierając prawie z pragnienia, ostatniemi siłami wdrapał się po linach do połowy masztu, i tam rozciągnięty na żaglowéj ławce zdala od natrętnych a może i szyderczych spójrzeń silniejszych od siebie ludzi, czekał zgonu polecając się Bogu tkliwémi wyrazy, których go jeszcze tak niedawno pobożna matka nauczyła.— Już (jak późniéj powiadał) odmówił modlitwy do Matki Bożéj, do Anioła Stróża, za konających, a śmierć nie przychodziła— nawet chłód jakiś niezwyczajny, coraz więcéj ożywiał, i pokrzepiał zwątlone jego siły.— Wtedy chłopczyna zdziwiony niespodziewaném przedłużeniem żywota, począł poglądać dokoła, i w szarym

zmroku dostrzegł— przedmiot od tygodnia niewidziany— ogień!— Ten znak życia, mieszkania ludzkiego w miejscu które dotąd wszyscy za niedostępną uważali pustynię, wyrwał z osłabionéj piersi dziecięcia owe radosne brzmienie, które nas wszystkich tak silnie ku jednemu pociągnęło miejscu.

Wkrótce przekonaliśmy się z pomocą dalekowidza, że ogień ten pochodził z ziemi niezbyt w tém miejscu oddalonéj, że nie był wielkim, i według wszelkiego podobieństwa umyślnie zapalonym przez ludzi.

Przekonanie to, ożywiło nas zupełnie; w bliskości, mieszkają nasi współbracia! u nich znajdziemy pomoc w smutném położeniu naszém — mniejsza, jakiego koloru skóra powleka ich ciało!— Szło tylko o to by się dostać do lądu.— Niepodobna ażeby ludzie na mieszkanie swoje obierali niedostępne wybrzeże, musi tam być choć maleńka przystań, musi być otwarta droga choćby dla jednego czółenka!

Cudowny zapał rozgrzewa te przed chwilą podrętwiałe serca, nowa siła wstępuje w dłonie, cała osada wydziera się do łodzi, zaledwie całą władzą moją mogę utrzymać porządek.— Wszyscy gardzą niebezpieczeństwem, bo z niém połączona jest nadzieja ocalenia, bo w szlachetném

usiłowaniu lepiéj roztrącić się o skały, niźli bezczynnie czekać nieuchronnéj zguby.

Na koniecznych przygotowaniach zeszła nam reszta nocy;— z pierwszym dnia brzaskiem trzy łodzie wypłynęły od okrętu na odkrycie bezpiecznéj do ziemi przeprawy, słaby blask ognia widoczny jeszcze, służył im za przewodnika, a tymczasem pozostali żeglarze, jednomyślnie zanosili do nieba prośby o szczęśliwe powiedzenie się wyprawy.

Po czterech godzinach oczekiwania, ujrzeliśmy wracające jedno czółno;— białe płótno powiewające na kiju oznajmiło nam zdaleka pomyślny skutek żeglugi.— Wprzód nim wysłańcy nasi przybili do statku, już dwie szalupy spuszczono, i w uniesieniu radości, cała prawie okrętowa osada rzuciła się do nich.— Surowo nakazałem pozostać na statku kilkunastu ludziom, i P. Coldbeam oddawszy zupełną nad wszystkiém władzę, czekałem na wieści od ziemi.— Przybyli majtkowie przywieźli mnóstwo kokosowych orzechów, których mlekiem zaspokoiliśmy dostatecznie pragnienie, poczém wsiadłem w szalupę i z trzydziestu ludźmi popłynąłem w celu powzięcia wiadomości o nowo odkrytéj ziemi, gdyż od tych co ją zwiedzili dowiedziałem się tylko, że na niéj mnóstwo kokosów rośnie, więcéj nic nie uważali:

Wybrzeże najeżone było skałami, lecz tu i ówdzie widać było przerwy w szeregach tych kamiennych strażnic; nakoniec, po godzinie drogi, ujrzeliśmy śliczną, gładką jak zwierciadło zatokę wciskającą się między wysokie granitowe ściany, które naturalny port tworzyły.— Szerokość jéj dostateczną była do obrotów okrętu jakim była *Błyskawica*, rzuciłem ołowiankę, głębokość okazała się odpowiednią.

Spokojnie zatém wpłynęliśmy do portu, i zostawiwszy straż przy łodziach, puściliśmy się na odkrycia.

Na skale najbliższéj morza tlały jeszcze iskierki owego ognia, co nam tak dobroczynną był wskazówką, lecz przy nim żadnego śladu bytności ludzkiéj.

Daléj — piasek;— daléj jeszcze, cieniste banany, zielone palmy, słodkie kokosy tak wzrok i myśl naszą znęciły, że idąc za przykładem dawniéj przybyłych towarzyszy naszych, siedliśmy pod szerokim, zielonym cieniem, i ciesząc się tak lubym wśród upału chłodem, zapomnieliśmy na chwilę o wszystkiém innem.

Pan Buttler jednakże z ciekawém zajęciem poglądał na drzewa, brał w rękę piasek, zrywał mchy i zioła służące nam za kobierzec w téj chwili, a ja patrząc na głębokie jego zamyślenie, dostrzegłem wśród bujnéj zieloności wązką, znać

od częstego chodzenia wydeptaną ścieżkę, a na niéj, pewno w czasie wilgoci wyciśnięty ślad wązkiéj podeszewki.— Poszliśmy za tym śladem— i niezadługo wybitne znaki zamieszkania ucywilizowanych ludzi przedstawiły się naszym oczom;— Ujrzeliśmy najprzód dzbanek kształtnie wyrobiony z palonéj gliny, podstawiony pod nacięty pień palmy z któréj słodki sok spływając, przepełniał już naczynie— niedość silni przeciw takiéj pokusie, wychyliliśmy orzeźwiający napój;— daléj w miejscu nieco otwartém na szerokich muszlach topił się w słoneczném cieple żółty wosk, a przygotowane białe, miękkie nici świadczyły iż z tych materjałów świece wyrabiać miano— nowy dowód że wybrzeże nie dzikich australczyków za panów lub gości miało.— Daléj jeszcze, dość nizko od ziemi uwiązane na sześciu białych sznurach, bujało się między dwoma różanemi dębami niby czółenko, niby łóżeczko z giętkiéj, nieznanéj nam materji wyrobione, wysłane mchem i matami, zapewne huśtawka dla dziecka.— Daléj— ogromny pies nowoziemski, czarny jak heban, śliniący jak stał zaszedł nam poważnie drogę, obejrzał z podziwieniem: i roztwarłszy szeroką paszczę, groźném szczekaniem napełnił powietrze.

W chwilę potém usłyszeliśmy miły głos wołający — Nemród!— nowoziemiec umilkł, a z poza drzew wybiegła młoda panienka ubrana

wytwornie choć nie po européjsku.— Na widok nieznajomych zatrzymała się zdziwiona, ale niezadługo, uśmiech ożywił jéj twarz, klasnęła w ręce, i zawróciła się szybko, wołając z radością:

— Marjo! ludzie! ludzie przybyli!

Mniemaliśmy, że w bliskości znajdziemy znaczną osadę— tymczasem— okazało się, że jedynémi tego szczęśliwego kraju mieszkankami były trzy dziewice, które burza na lekkiém czółnie z pobliskości Sydnéj uniosła.— Przez ośm lat żyły tu same— przemysłem i pracą doszły do odkryć ważnych w skutkach swoich dla całéj ludzkości, zapewniły sobie nietylko wygodny, lecz wytworny pobyt. — Patrząc na dziwy otaczające ich mieszkanie, na olbrzymie prace, wątpiliśmy mimowolnie, aby to wszystko drobne białe rączki wykonać były w stanie.— a przecięż tak jest rzeczywiście — Zwiedzaliśmy wybrzeże wzdłuż i w poprzecz na kilka dni drogi, nigdzie ani śladu innych niema mieszkańców.

Wprowadziłem okręt do zatoki— naprawiony należycie wyruszy za dwa dni w drogę do Port Jackson.— Ludzie nasi odżyli po dziesięciu dniach pobytu na tém wybrzeżu obfitości.— PP. Smith— Buttler. Coldbeam i inni uczeni, pod przewodnictwem młodych pustelnic które się na znakomite naturalistki wykształciły, zebrali wiele wiadomości, i arcy-ciekawych przedmiotów, które zabie-

ramy, niemniéj jak gospodynie i przewodniczki nasze, i tysiące pamiątek ośmioletniego ich wygnania.

Dnia 14 września.— Odpływamy jutro— wybrzeże które nas tak gościnnie przyjęło, jako nienależące do nikogo, zająłem uroczyście w imieniu rządu W. Brytanji, i nazwałem za zgodą towarzyszy moich— *Ziemią trzech sierot.*

* * *
* *
*

— Koni!— John! leć po konie pocztowe! cztery— i co najlepsze!

Tak wołał stary Bligh po przeczytaniu listu szanownego swego korrespondenta— młodszy i zdrowszy od pana swego John pobiegł pędem strzały, i jeszcze dwie niewiasty nie ochłonęły z niespodziewanego wstrząśnienia, jeszcze nie zrozumiały dobrze opisu kapitana Wiljam, kiedy cztery irlandzkie koniki wpadły na dziedziniec, a pocztyljon z pomocą domyślnego Johna zaczął je zakładać do podróżnego powozu.

W kilka chwil, Bligh który w uniesieniu radości zapomniał o chorobie, lub się może z niéj otrząsnął, Mistress Gilbert modląca się po cichu,

i Betty, śmiechem, płaczem, najrozliczniejszemi wreszcie sposobami objawiająca szczęście przepełniające jéj serce, jechali w kierunku Plymouthu, a dom i wszystko co się w nim znajdowało został na łasce, a może właściwiéj w opiece poczciwego starego sługi, cieszącego się serdecznie, że pan jego dożył przecię upragnionéj od tak dawna chwili, i niezadługo, przyciśnie do serca lady Emmę— dziedziczkę swego majątku i imienia.

Półkownik płacił rozrutnie, podróż zatém szła szybko, a przecięż, choć koła ledwie dotykały ziemi, choć przechodzący z podziwem i przestrachem pogądali na ten wichrowy przelot, z okien karety co chwila okazywała się, to łysa głowa półkownika, to ciemnémi włosy ocienione czoło Elżbiety, a oboje na przemiany wołali— prędzéj!

Z pierwszym ranka promieniem, wpadli podróżni nasi do portowego miasta, stanęli w tym samym hotelu, gdzie ich tak lube oczekiwało spotkanie— i dowiedziawszy się że cudzoziemki (bo tak nazwano nasze pustelnice) już nie śpią— lękając się dla nich zbytniego wzruszenia, kazali zapytać;— czy zechcą przyjąć dawnych znajomych— krewnych?

Wygnanki od dwóch dni przybyłe do Europy, nie domyślały się nawet by wieść o ich przygodach tak się prędko rozeszła, i radziły właśnie o sposobach uwiadomienia o swoim losie rodzinę i przyjaciół, gdy im oznajmiono przybycie znajomych.— Marja pewną była że ujrzy lady Wilton, która jako bogata i znakomita osoba, najłatwiéj o jéj powrocie mogła powziąść wiadomość. — Emma spodziewała się stryja,— Sara tylko, nie mając bliskiéj rodziny, pewna że dawni jéj znajomi nie spieszyliby się z tak jawnémi odwiedzinami, spokojną była zupełnie.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem, i półkownik Bligh, rumiany z podróży i radości, wbiegł żwawo do pokoju, spojrzał na trzy kobiéty stojące blisko okna, a chwytając Emmę w objęcia:

— Córko mojéj Anny! zawołał— moja Emmo!— moje dziecko! — i grube łzy toczyły się po szerokiéj twarzy żołnierza, a Emma przypominając sobie nagle dawne ze stryjem pieszczoty, ocierała je białą ręką, całowała łysą głowę starca.

— Ah! psotnico! mówił Bligh już z uśmiechem,— wodzić mnie tak długo po morzach i lądach!— poczekaj! poczekaj!

I pieścił ją znowu, nosił na ręku jak dziecię, pytał o tysiąc okoliczności nie czekając ani na

jedną odpowiedź, słowem, gorączkował ze zbytku szczęścia.

Marja oczekująca lady Wilton, spostrzegłszy zbliżającą się niewiastę otuloną jedwabnym płaszczykiem, pewna już swego mniemania, spieszy naprzeciw niéj mówiąc.

— Ach pani!

Lecz niewiasta odrzuciła kapturek ocieniający twarz jéj bladą, wyciągnęła drżące ręce, łzawém okiem zatonęła w obliczu Marji, a wygnanka po głębokiém, niewytłumaczoném rozpłynieniu serca, poznała zbliżenie matki, i najprzód w ramiona, potém dawnym zwyczajem do kolan się jéj rzuciła, a również jak dawniéj, staruszka złożyła na czole ukochanéj córki błogosławiące dłonie, i wśród łez potoku obie zapomniały na chwilę o tyloletniém rozłączeniu, o smutkach, cierpieniach, o wszystkiém, co dziecięcą ani macierzyńską nie było miłością.

Szczęście ich było głębokie, milczące; bo nie ma w ludzkiéj mowie wyrazów na takie uczucia.

Emma szczebiotała jak ptaszek, przedstawiała stryjowi Sarę — żywą, serdeczną towarzyszkę swoją, opowiadając bez ładu ile wygód, ile przyjemności winną jéj była; — stary półkownik ściskał przemytniczkę za ręce jakby dawnego kolegę, śmiał się do Emmy i głaskał razem Nemroda, który choć o dziewięć lat starszy, poznał od razu

dawnego pana, i skowycząc radośnie, łasił się u nóg jego.

U drzwi tymczasem, jak posąg boleści stała Elżbieta— I ona śpiesznym krokiem wbiegła do pokoju, i ona chciała rzucić się na szyję siostry, boć dla niéj jak ów wieczny tułacz o którym mówi legenda, błąkała się po tak rozległéj przestrzeni ziemi. — Ale kiedy spojrzała na Marję tak dawniéj czerstwą i hożą, kiedy blada twarz wygnanki, wiotka i słaba jéj postać, a nadewszystko przedwcześnie siwiejące włosy uderzyły jéj oko— serce Elżbiety mężne lecz tkliwe ścisnęło się boleśnie. Te piętna cierpienia, te wczesne zmarszczki, to zwątlenie całéj istoty, komuż przypisać należało?— i taż sama ręka co tyle jéj ciosów zadała śmiałażby sięgnąć po uścisk braterski?— nie! nigdy!

Po długiém, milczącém z matką powitaniu Marja poczęła pytać o ojca— o Betty.

Na to imię słodkim wymówione głosem, wykrzyk żalu i zgryzoty wydarł się z piersi Elżbiety, owa kobiéta silna, nieustraszona dotąd, nagłą przygięta boleścią rzuciła się do nóg Marji, a całując jéj stopy z pokorą, przerywanym mówiła głosem:

— Ach Marjo! męczennico mojéj swawoli— przebacz!— Nie! nie podnoś mię!— nie zmuszaj mię do patrzenia na siebie.— Tu, w prochu—

u nóg twoich zostanę— dopóty— póki miłością i poświęceniem nie złagodzę w własnéj pamięci wspomnienia ciężkiéj winy,

Po długich ledwie usiłowaniach udało się wygnance przycisnąć siostrę do serca; ale Elżbieta dotrzymała słowa; moralnie pozostała u nóg siostry do końca jéj życia;— wyrzekła się siebie, każde uderzenie serca, wszystkie zdolności umysłu, na jéj poświęciła usługi, a Marja widząc ile siostra pociechy w tém znajduje, mimowolnie poczęła przyjmować jéj ofiarę.

Niedługo potém, dom półkownika Bligh w Londynie nowym zajaśniał blaskiem. — Wiadomość o dziwném znalezieniu się siostrzenicy jego, rozeszła się wkrótce po całéj Anglji, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety dobijały się o sposobność poznania lady Emmy.... wracającéj z pustyni, z nieznanéj części świata, a wracającéj jak mówiono, nie zdziczałém dziecięciem natury, lecz najtroskliwiéj ukształconą dziewicą.

Bligh, w pierwszém uniesieniu radości nie zastanawiał się nawet nad wychowaniem swojéj dziedziczki.— znalazła się!— powtarzał uszczęśliwiony— mam komu zostawić ogromny majątek,

bez zgryzoty i zawstydzenia będę mógł siostry pamięć wspominać!— dość tego dla mnie!

Ale skoro poznał jak się jéj umysł od dzieciństwa do rozwagi nawykły świetnie rozwinął, jaki dowcip i przenikliwość okazywała w naukach, które sama poznać pragnęła by się niewiadomością nie odznaczać od osób z którémi żyć miała, jak dla jéj myśli od tak dawna w nieznanym bujającéj świecie nic nadzwyczajném nie było:— wtedy do serdecznéj życzliwości jaką był powziął dla jéj opiekunki i nauczycielki Marji, przyłączyło się uwielbienie.

Niezdolny do ukrywania szczeréj wdzięczności i czci dla téj kobiety, która tylko w własnéj duszy czerpała tak niepojęte poświęcenie, tyle czystych cnót, tyle prawdziwego światła, niemogąc się za tyle prac i ofiar wypłacić, i po męzku sądząo jéj kobiece serce, mniemał że głośne hołdy dorzucą cóśkolwiek do szali jéj szczęścia— począł sławić jéj czyny, jéj rozum— w całém wyższém towarzystwie wzniecił dla niéj poszanowanie, wzbudził chęć poznania téj nadzwyczajnéj kobiety.— Panowie i panie niezwykli podziwiać dzieci gminu, ciekawi jednak byli poznać wygnankę — Marja skromna, nieśmiała, tęschniąca za pustynią, musiała przyjmować świetne odwiedziny— sam nawet książę rejent znany z uprzejmości, zaszczycił Marję osobistém powinszowa-

niem z powodu że tyle szczególnych przygód przetrwała szczęśliwie— i przyjął od niéj niektóre przedmioty, jako pamiątkę długiego pobytu sieroty na ziemi, która teraz jego kraju własnością została.

Zaszczyty te trudziły i zasmucały Marję, cicha i pokorna z dzieciństwa, przyzwyczajona w ogromnych samotniach nowego świata uważać się za pyłek ledwie dojrzany w stworzeniu, z zawstydzeniem przyjmowała hołdy, z niechęcią patrzyła na nieustanny ruch i tak często błahe ludzi zatrudnienia; z przerażeniem uciekała od głuszącego gwaru, który oni zabawą nazywali.— Całém jéj szczęściem było towarzystwo tak tkliwie kochanéj, tak dawno niewidzianéj matki, rozmowa i pocieszanie Elżbiety— całą rozrywką— długie godziny w samotności spędzone.

Sara— czynna niezmordowana góralka, nagle w inny świat przeniesiona, obejrzała się w krótce dokoła, i wnet objęła zarząd obudwu domów (bo dwie rodziny pod jednym mieszkały dachem), zajęła się serdecznie wszelkiemi szczegółami gospodarstwa, i z prawdziwą rozkoszą poczęła znów dogadzać Emmie, pieścić Marję— stanowiąc mocno, nigdy się z nią nie rozłączać.— Wszelako, kiedy kapitan Wiljam, dowódzca *Błyskawicy* wróciwszy z nowéj podróży oświadczył się z myślą pojęcia w małżeństwo sieroty, kiedy Bligh, Emma i Marja poczęli jéj przedstawiać że

nie należy odrzucać nowego zawodu, który jéj niebo przeznacza, Sara ze łzami opuściła towarzyszki swoje. Wkrótce jednak przekonanie że je często widywać będzie, urządzenie własnego domku, a może i luby morski wiatr chłodzący codzień jéj czoło, łzy te osuszył, i spokojność, wesołość do jéj duszy przywołał.

Emma od tak dawna tęschniąca do świata, do ludzi, z rozkoszą ujrzała się pomiędzy nimi — ciekawie poglądając na wszystko, mieszając się czynnie do zabaw i pracy, używała w zupełności szczęścia, które wszędzie i zawsze bywa udziałem czystéj, młodocianéj duszy. — Nauka religji, dopełnianie jéj przepisów, szczytne tajemnice i służące ku ich wystawieniu obrzędy, zachwycały, unosiły jéj duszę — wspierała nieszczęśliwych, sama spieszyła im z pomocą, własną ręką łzy lubiła ocierać. Marja, ukochana, uwielbiona Marja zawsze pierwsze w jéj sercu zajmowała miejsce, ale i dla starego stryja umiała być tkliwą młoda lady Emma; — a oprócz tego, nauki, malarstwo do którego wielką chęć i zdolność miała, taniec w którym łatwo było celować téj co z wiewiórkami na wyścigi skakała po lesie — stroje — przepych — pochwały — wszystko to tak wiele czasu i myśli jéj zabierało, że dziwić się nie należy, jeżeli nie prędko uczuła tęschnotę za pięknèm, lecz dzikièm, pustèm, mimowolnèm wygnaniem.

Elżbieta— niedawno jeszcze tak przedsiębiercza i śmiała, tak głośna i nieugięta, z powrotem siostry stała się cichą, pokorną, uległą do niepoznania— serce jéj szlachetne z przyrodzenia, lecz drażnione tak długo wyrzutami, i żądzą nagrodzenia mimowolnéj winy— roztkliwiło się w chwili, kiedy zamiast hożéj, kwitnącéj, z całą siłą życia wracającéj do świata siostry, ujrzała anioła dążącego myślą w niebo, opuszczającego widocznie tę ziemię.

Pojęła ona świętą czystość tej duszy, ale niezdolna jeszcze wznieść się do ochoczego poświęcenia, z boleścią patrzyła, jak Marja codzień wyżéj; codzień silniéj unosiła się w duchowe życie— wzdychała do samotności, do odpoczynku w Bogu. — Elżbieta chciała siostrze przynajmniéj ziemskie życie umilić, osłodzić, i dla tego kiedy tamta zatapiała się w rozmyślaniu, ona żyła za nią na ziemi, ochraniała, wzmacniała zwątlone jéj zdrowie, zmuszała ją do przechadzek, rozrywek, chciała ją wydrzeć niebu.

* * *
* *
*

Minęły trzy lata od chwili w któréj okręt *Błyskawica* zawinął do Plymouthu;— w Warszawie,

w bogato przybranem mieszkaniu, na katafalku aksamitnym całunem pokrytym, wśród mnóstwa swiec jarzących w białéj trumnie, w takiejże szacie, z wieńcem białych róż na skroni i sama jak róże biała, spoczywała cichym, długim dla ciała snem młoda cudzoziemka. — Sługa boży półgłosem odprawiał modły za pokój jéj duszy— ciekawi i pobożni widzowie zmieniali się co chwila u drzwi otwartych, ale dwie kobiety, jedna u wezgłowia, druga u stóp trumny klęczały bez przerwy— obie w żałobie, obie we łzach, tylko nie obie jednakowo pochylone ku ziemi.

To jéj siostra i przyjaciółka— to Elżbieta i Emma!

W rok po powrocie Marji umarła jéj matka— wkrótce potém Emma poszła za mąż — i jako lady Ellis - Wilborough— zadziwiła świat wielki skromnością i dobroczynnością swoją— półkownik Bligh, niedługo cieszył się szczęściem i cnotami lubéj siostrzenicy, zadawniona słabość wzmagała się coraz bardziéj, i przecięła w końcu dni tak pełne zasług i poczciwéj sławy.— Po jego stracie nagle zesmutniała Emma;— wszystko w Anglji ciemną się dla niéj powlokło barwą, nie mogla znieść mglistego powietrza, lecz chociaż lekarze radzili jéj zmianę miejsca, nie chciała się wybrać w podróż, nie chciała opuszczać wido-

cznie gasnącéj Marji.— Ale sercu nawykłemu do poświęceń łatwo je w drugich odgadnąć.

Marja zapragnęła opuścić Anglję — za zimno jéj było w tym kraju, chciała odetchnąć pod błękitném niebem, napoić się balsamiczną wonią południowych kwiatów, przypomnieć sobie choć trochę dawne zamorskie mieszkanie— Lady Ellis, któréj także do Włoch jechać radzono wybrała się zatém z Marją, lord Wilborough towarzyszył żonie— Elżbieta nie odstępowała siostry.

Przez Paryż i Wiedeń przebrali się podróżni do cudnéj Italji— Emmy melancholja ustąpiła wpływowi uroczéj natury i sztuki która pod tysiącznemi postaciami kraj ten od tylu wieków osiadła— Marja silniéj oddychać zaczęła, nadzieja wstąpiła do serca Elżbiety— lecz na krótko.— Najbieglejsi Eskulapa zastępcy osądzili że tylko ciągła zmiana klimatu zdoła utrzymać jeszcze przez czas jakiś wyniszczone siły dziewicy, i cała rodzina w nową puściła się podróż.— Przez Niemcy, Szwajcarję, Saksonję, umyślili jechać do Krymu, do owéj sławnéj w dziejach Taurydy, nad Czarne morze, pod błekitne niebo, a z tamtąd może do stóp odwiecznego Kaukazu, w jaką miłą samotnię, by w maleńkiém kółku, z daleka od obcych ludzi, przeżyć czas jakiś.

Śliczne to były marzenia— ale w Warszawie przez którą wypadała droga zabrakło sił Marji,

i po kilkodniowém cierpieniu, w inną, ważniéjszą, pożądańszą dla siebie wybrała się podróż.

W tydzień po jéj pogrzebie lord Ellis uwiózł z Polski zapłakaną Emmę, a Elżbieta, osiadła w Warszawie, gdzie ludzie, mowa, zwyczaje, wszystko obcém jéj było, ale gdzie siostra tak serdecznie kochana ostatnie wydała tchnienie, gdzie jéj martwe złożono zwłoki.

Elżbieta znacznym majątkiem którego już sama była dziedziczką, rozrządziła na korzyść nieszczęśliwych; zastawiła sobie tyle tylko ile jéj do skromnego utrzymania życia potrzeba było, a i tém jeszcze umiała się dzielić z drugimi— Wielkim kosztem sprowadziła z Anglji wszystkie przedmioty, które na wygnaniu Marja własną wyrobiła ręką, lub które jéj do jakiegokolwiek użytku służyły, i dzieląc czas swój na wspomnienie siostry, i modlitwę za nią, resztę życia spędziła siedząc przed szklanną szafą zawierającą te skarby przeszłości, lub klęcząc na powązkowskim cmentarzu przy białym kamieniu, którego cudzoziemski napis nieraz przechodniów zwracał uwagę.

Opis życia i przygód Marji zebrała sama, i wraz z jéj listami, dziennikiem, i wszystkiemi pamiątkami, przekazała ostatnią swoją wolą, któremuś z angielskich muzeów, z warunkiem, by Wspomnienia Wygnanki do powszechnéj wiadomości podanémi zostały.

Czy to życzenie spełniono w Anglji— niewiem;— sądzę jednak że wiedząc o niém, lubo niewezwana wyraźnie, powinnam była ziścić je tém bardziéj, że mi do ręki wpadło pióro co tak chętnie dla młodego wieku pracuje, takby rade było stawiać mu przykłady niewinności, cnoty, ochoczego poświęcenia.— Jeżeli do serc waszych przemówił choć jeden obraz z życia poczciwéj Marji— darujecie mi pewnie kiedyś, kochani czytelnicy żem was długiémi, drobiazgowémi może opisami przytrzymała za długo— żem nie weselszy przedmiot do powieści obrała.

Paulina Kraków.

WEZBRANIE WISŁY

powiastka

(z prawdziwego zdarzenia).

Gwałtownie wznosiła się woda na wzburzonéj Wiśle; każda chwila coraz daléj posuwa spienioen wały. Rzeka jak koń dziki niepochamowana w swoich zapędach, nie przepuszcza niczemu, cokolwiek napotka na drodze, zalewa żyzne niwy okryte złotém zbożem, unosi całe snopy i w jednéj chwili niszczy owoc tak długich starań i trudów.

O! okropny to obraz, widzieć te pola niegdyś zielone, teraz skryte pod mętną wodą; te domy do połowy zanurzone, chwiejące się w swoich osadach: bo gwałtowna fala ze wszystkich stron je naciska, silnie uderza o pobielane ściany, a jakby gniewna że one śmieją opierać się jéj władzy, odrywa przymknięte okiennice, wytłacza szyby i z szumem wdzierać się do ich wnętrza.

Słyszysz to przytłumione beczenie, które mimo szumu bałwanów dolatuje ucha— to ostatni jęk stada owiec ginących w zamkniętéj owczarni, do któréj fale wdarły się przez okna. Tam wół wystawił po nad wodę swoją rogatą głowę, ryczy— bo mało już sił w sobie czuje— bo choć płynie, czyni to raczéj z rozpaczném wysileniem. Tu znowu daleko straszliwszy uderza obraz: gnana gwałtownym pędem płynie kołyska, z niéj rozlega się krzyk niemowlęcia, napróżno wyciągającego rączki i przyzywającego matki. Ale ta nie słyszy jęków jego, nie widzi niebezpieczeństwa jakie mu grozi; o! dobrze że nie widzi, umarłaby może, patrząc na śmierć swojego dziecięcia!

Ponad brzegiem rzeki zebrał się liczny tłum ludu, spojrzeniem goniącego każdy przedmiot przez wodę niesiony. Byli to różni ludzie: nie jeden z nich utracił wszystko, całe swoje mienie wśród fali pogrzebał: w rozpaczy więc załamuje dłonie,

łzawém okiem u dumnéj wody upomina się o swoją własność. Ten znowu troskliwie zagląda na drugą stronę rzeki, bo tam zostawił żonę i dzieci swoje. Inny szczegółowo wypytuje się o skutki powodzi, bo mu żal tych nieszczęśliwych, bo jego litościwe serce nie może bez wzruszenia patrzeć na niedolę bliźniego.

W niewielkiéj odległości, pośród wody wyżéj szyb sięgającéj, wznosi się mały domek, albo raczéj lepianka z gliny i ziemi sklejona. Było to mieszkanie ubogiéj kobiety, wdowy po biednym— bardzo biednym wyrobniku, któren umarł przed kilku dniami, zostawując wdowę i dwoje maleńkich sierot. Nikt nie wiedział co się stało z tą nieszczęśliwą rodziną; wszyscy sądzili, że uprzedzając czas powodzi, wyniosła się wraz z całą chudobą. Wtém przez otwór w dachu wyrobiony, wychylita się głowa kobiety, okryta starym, podartym czepkiem.

— Ratujcie!... ratujcie... moje biedne dzieci!... zawołała niewiasta rozpacznie wyciągając ręce; ach! już nas woda zalewa prawie... ach! litości... litości nad niemi.... niech nie giną tak małe!... Ratunku.... ratunku!...

Cały tłum obrócił oczy na nieszczęśliwą matkę: każden radby był nieść jéj pomoc, ale każdego odstręczała bojaźń rozbicia się o jaki niewidzialny przedmiot, tém bardziéj, że nieustannie

prawie płynęły całe kloce drzewa, nasiąknięte wodą i zupełnie pod nią ukryte, a których jedno uderzenie, zdolne było wywrócić i zatopić czółno, ze wszystkiém coby się na niém znajdowało.

— Z całéj duszy radbym dopomódz téj nieborodze, odezwał się stary rybak, smutnie poglądając na rozpaczną twarz matki, która z osłabienia nie mogąc już wołać pomocy, wyciąga ręce i czyni poruszenia, boleśniejsze od samego krzyku rozpaczy.— Gdyby nie żona i dzieci, mówił daléj; doprawdy nie żałowałbym życia, a może Bóg by dopomógł i dozwolił szczęśliwie dopłynąć!— Ale gdybym utonął; któżby żywił mą dziatwę, któż byłby opiekunem biédnych sierot?.... możeby musiały nikczemnie wyciągać ręce by wzbudzić litość i dostać grosz jeden dla zaspokojenia głodu.

Nowy krzyk rozległ się pośród tłumu: wszyscy z drżeniem poglądają na tratwę drzewa, z całym pędem zmierzającą w stronę, gdzie stoi schronienie ubogiej rodziny. Chwila przewidziana nadeszła: drzewo z impetem gnane przez prąd wody, gwałtownie uderza w drewniane ściany. Dom zatrząsł się w swojéj posadzie; przez chwilę zdał się chwiać na wszystkie strony, nakoniec dwa jego boki odpadły, został się tylko dach, jedną stroną oparty na pozostałych ścianach, drugą zanurzony w wodzie.

Z dwojgiem maleńkich dzieci uwieszonych u jéj ramion, biedna kobiéta do połowy wychyliła się; zwieszona ponad wodą co chwila oczekiwała rychłéj śmierci.

Kiedy nagle na lądzie powstał ruch niezwykły; gromady rozstępują się, robiąc miejsce młodemu człowiekowi mogącemu mieć najwięcéj lat dwadzieścia. Gruby płócienny kaftan okrywa jego ciało, mała czerwona czapeczka z niechcenia leży na głowie, ocienionéj gęstym, czarnym włosem. Śmiałym krokiem przystąpił nad rzekę:

— Dajcie mi wiosło! zawołał; ja oswobodzę tę nieszczęśliwą matkę; ona niepowinna umierać; jéj dzieci jeszcze tak małe... im żyć dopiero...— Daléj! dodał wskakując do łódki; daléj do dzieła!... jeśli mi się uda, niech będą Bogu dzięki! utonę— to i nikogo po sobie nie zostawię, nikogo ktoby mię mógł płakać... O! mnie lepiéj jeszcze będzie, kiedy znów się połączę z moim kochanym ojcem... z moją drogą matką!...

Czółno odbija; wiosło utrzymywane zręczną ręką, szybko pędzi pośród nieustannych zawad. Po chwili oczekiwania i niepewności, statek zatrzymuje się przed domkiem.

— Wychodź matko! woła młodzieniec; wychodź, bo z każdą chwilą dom przewrócić się może...

Ale biedna kobieta, osłabiona, niezdoła się nawet poruszyć; do połowy zanurzona w wodzie,

stoi jak martwy posąg, silnie przyciska dzieci do łona, które drżą od zimna i smutnie się kwilą.

Młody żeglarz przywiązał łódkę; brodząc po wodzie, przystąpił do rozpaczającéj matki, pochwycił ją w silne objęcia i choć z ciężkością zdołał dojść do czółna. W moment matka i dzieci, płynęły pod opieką swojego wybawcy.— Ale nie taką była wola niebios: w chwili kiedy już zbliżali się do lądu, zkąd witano ich radosnemi krzyki, nagle statek uderza o pal ukryty w wodzie. Pękają spajające go wiązania, i słaba łódka, matka, dzieci i ich wybawca razem w pośród fal giną.

*
* *

W kilka dni po tém zdarzeniu, gdy opadły wody, znaleziono na piaskach zwłoki kobiety, skrzepłemi dłoniami przyciskającéj jeszcze ciała dwojga maleńkich dzieci: była to uboga wdowa.— Cokolwiek daléj leżał i utoniony młodzieniec.

— Szkoda go! szkoda, mówili między sobą wieśniacy; taki młody i już musiał umierać. O, żebyć przynajmniéj dusza jego szczęśliwą była!

— Już nią jest! odezwał się obecny tam kapłan, jakby natchniony proroczym duchem;— bo temu co nie żałował życia, by uratować życie bliźniemu, Bóg nie odmówi swego miłosierdzia!...

Edward Bogusławski.

ANIOŁ STRÓŻ.

Wracano z pogrzebu, czteroletnia Stefcia zanosiła się od płaczu i zaledwie pieszczoty rodziców zdołały ją uspokoić:

— Moja droga mamo, rzekła gdy przybyli do domu— to Michasia już ani mówić, ani chodzić nie będzie? pocóż włożyli ją w taki dół głęboki, i piaskiem zasypali? biedna Michalinka choćby chciała wstać, to się nie wygrzebie z dołu! —

—Bo téż ona już nigdy nie wstanie kiedy umarła, przerwał starszy od niéj braciszek Bogusław wzdychając żałośnie, szkoda Michasi, taka była ładna, miała takie śliczne ciemne długie włoski a oczki czarne błyszczące!— A jaka była grzeczna! zawołała ze łzami najstarsza siostra dwunastoletnia Walercia, jak mamę i tatę kochała, całowała; dopiero miała trzynaście miesięcy, a była już tak posłuszna, tak dobra, tak roztropna; aż się wszyscy dziwili; och! moja droga mamo myślę że mi serce pęknie z żalu patrząc jak jéj rodzice płaczą i rozpaczają, bo téż to bardzo boleśnie pomyśléć że biedna Michasia zimna, blada i w głębi ziemi—że nigdy—już nigdy nie wstanie!... tu wszystko troje zaczęli głośniej płakać.

— Uspokójcie się moje dzieci, odrzekła matka

wzruszonym głosem, mylicie się płacząc nad losem siostrzeniczki waszéj, bo choć Michasia umarła na ziemi, choć jéj rodzice płaczą, to nie dla tego aby ona była godną pożałowania; oni płaczą tego że zostali sami, bez miłości, bez pieszczot tak miłéj dzieciny, że ich nadzieje o przyszłość doczesną córki spełzły na niczém; ale mimo boleści, pocieszają się tą myślą że Michalinka szczęśliwsza od nas, bo żyje w Niebie. Słyszeliście Walerciu i Bogusiu, z Pisma Śt: jak Jezus Chrystus będąc na ziemi kochał małe, dobre dziatki, pieścił je i błogosławił: Michasia też była grzeczna i posłuszna, składała rączki jakby do modlitwy rano i wieczór przed obrazem Pana Jezusa; gdy umarło jéj ciałko, duszę małego aniołka Jezus Chrystus przyjął na swoje łono: bo dusza nasza jest nieśmiertelną i nigdy nie umiera. A kiedy moje lube dziatki, żyjąc na ziemi, choć w cierpieniach i troskach, nie zapomniemy przykazań Boskich i postępujemy szlachetnie, Bóg po śmierci przyjmie dusze nasze czyste i nieskalane w grono wybranych, i błogą wieczność otrzymamy w nagrodę. Uspokójcie się więc, bo Michasia jest teraz w niebie uprosi ona u Jezusa Chrystusa pociechę i szczęście dla rodziców, i stanie się dla nich Aniołem Stróżem.

A..... z O. T.

ŻYJĄCA LALKA.

Dwunastoletnia Ludwisia była bardzo dobrą i grzeczną panienką. Uczyła się dobrze, i we wszystkiém słuchała matki, co dowodzi że ją prawdziwie kochała. Pewnego dnia, pani A. tak z niéj kontentą była, iż w nagrodę przykładnego postępowania, obiecała córce spełnić życzenie od dawna już przez nią powzięte: to jest, kupić jéj śliczny wzór do krzyżowéj roboty, stosowny na ekran, włóczki, kanwy do tego potrzebne, i dać potém skończoną pracę ładnie oprawić w Warszawie.

Ludwisia nie posiadała się ze zbytku radości: całowała matkę, biegała po pokoju, zatrzymywała się przed piecem gdzie już wyobrażała sobie stojącym swój piękny .ekran Nieprędko podobno byłaby skończyła gdyby zachodzące konie

od stajni przed ganek, nie przypomniały, iż pani A. z córką wybierają się na parę godzin w odwiedziny sąsiedzkie do państwa Z. Ludwisia zawsze z wielką jechała tam ochotą, bo państwo Z. mieli dwie córki z których starsza Anusia kończyła rok czternasty, młodsza zaś Zosia, była rówiennicą Ludwisi. Tą razą jednakże, zajęta zupełnie obietnicą matki, Ludwisia z roztargnieniem zarzuciła na siebie salopkę, ani wspominając nawet o przyjemności jakiej dozna z widzenia miłych sąsiadek, tylko ciągle opowiadała przed panią A, jak jéj ekran wyglądać będzie, i umyślnie wstążek u kapelusza nie związała, żeby swobodniéj mówić w drodze.

— „Mamuniu, mamuniu!“— wołała— „zobaczysz jak ja pięknie, jak czysto, i jak prędko tę robotę zrobię. Niewiem tylko sama jaki wzór kupić z tych, któreśmy ostatnią razą przeglądały w sklepie. Czy ten obfity kosz z owocami, gdzie to pamięta mama? winogrona zdają się być przejrzyste od dojrzałości, a brzoskwinie ze skórką jakby aksamitną, aż mi pachniały gdym na nie patrzyła— Albo może ów co przedstawia dziedziniec wiejski, a zgrabna dziewczynka w żółtym gorseciku i zielonéj spódniczce, sypie ziarno kurczątkom skwapliwie się zlatującym. Lub jeszcze... ale mamuniu! ty mię widzę nie słuchasz,— czy

cię ta rozmowa nudzi? czy nie rada jesteś słyszeć co za przecudny ekran mieć będziesz?“

— „Obiecałam ci moja Ludwisiu, będziesz zatém mogła wybrać do wyszywania wzór jaki ci się podoba, skoro pojedziemy do miasta. Ale ponieważ mię zapytujesz, wyznam ci iż tak wielkiego ukontentowania nie budzi we mnie nadzieja posiadania ekranu. Z tak wielu względów zasłużyłaś na moje zadowolenie, i robotka podobna była od tak dawna celem twoich życzeń, iż zgadzam się, na uczynienie ci téj przyjemności. Jednakże, ty wiesz Ludwisiu jak ja lubię widzieć w twoich rękach chusteczkę którą obrębujesz, ładną stębnówkę, zręczne układanie zakładek, falbanek, albo haft biały.“

— „Brrr!... jak to wszystko nudne kochana mamuniu!“— odpowiedziała wzdrygając się Ludwisia— „W krzyżowéj robocie każdy ścieg wynagradza moją pracę. Zaledwie kilka ich zrobię, już postrzegam nowy kwiatek, domek, kasztanowatą łapkę pieska, główkę najeżonego kotka, albo śliczną ludzką twarzyczkę, wychodzącą z pod rąk moich na kanwie. Tam, przeciwnie, muszę szyć gęsto, równo, robić tysiąc, i tysiąc ściegów, prawie zawsze na miejscu, i nakoniec mieć tylko ciągle w ręku ten sam nudny kawałek płótna, czy perkalu, który trzymam. Cóż mi ztąd za korzyść? proszę mamy.“

— „Korzyść podwójna;— najprzód wprawa do cierpliwości, tak niezbędnie kobietom potrzebnéj, powtóre: obraz żywy dobrego skutku, jaki taż cierpliwość w każdym względzie nam przynosi. Idziemy prawda ścieg za ściegiem, ale w końcu, zamiast nieużytecznéj, próżniaczej błyskotki otrzymujemy rzecz prawdziwie potrzebną, i zdatną w domu. Co zaś do nudy o któréj wspominasz, ta dopóty trwa tylko, dopóki nie nabędziemy dostatecznéj wprawy w robocie, bo dowiedzioném jest, że skoro tylko cóś dobrze umiemy, skoro jakiekolwiek zajęcie, nauka czy robotka, z łatwością idzie, wnet zaczynamy lubić toż zatrudnienie. Taką już jest nadgroda, dana od Boga za pracowitość, że to tylko bawi nas, co dobrze wypełniamy, przeciwnie to nudzi, co niedbale, lub źle robimy. Pamiętasz Ludwisiu, jakeś ty dawniéj nie lubiła uczyć się jeografji?— „Ach! mamuniu„— mówiłaś mi— „podobno pierwéj język na dziesięć części złamię, nim zpamiętam te nazwiska afrykańskie, amerykanskie, azjatyckie! I co mi tam do tego w jakiém mieście chiński cesarz mieszka, lub pod jakiémi górami pasą w Szwajcarji krowy... Wolę każdą naukę od téj.“

Ja ci przepowiadałam iż przyjdzie czas, gdy inaczéj mówić będziesz— i zgadłam. Dziś, gdy chociaż w skróceniu, całą już przebiegłaś jeogra-

ſię, widzę nieraz jak z własnéj ochoty szukasz na mappie jakiego szczegółu, opisania podróży bawią cię niewymownie: jeźli spotykasz nieznane ci nazwiska miejsc, zapytujesz o nie chciwie, a gdy czytamy gazety, zaledwie po wzmiance jakiego miasta spojrzę na ciebie, juźci mi szybko, i wesoło odpowiadasz gdzie sie ono znajduje, czém słynie. Wtedy, zadowolniona sama z siebie, mówisz— „Niema łatwiejszéj, ani zabawniéjszéj nauki nad jeografją„— Dla czego? bo ją umiesz.“

— „Prawda mamo. Ale już co z grammatyką to wątpię czy się kiedy tak pokochamy, jak z jeografją.

— „Zobaczysz, zobaczysz! Jest to także jedna z tych nauk co wiele zyskują na bliższém poznaniu. Lubią one wszystkie wywdzięczać się sowicie, ale wprzódy trzeba im okazywać wiele uwagi, szacunku, pamięci; zajmować się niémi szczerze: wtedy-to dopiero poczynają zlewać tysiączne przyjemności na wytrwałą przyjaciołkę, co się im tak szlachetnie poświęciła. Ugręczam cię że tak byłoby i z szyciem, gdybyś chciała przemódz pierwsze trudności niewprawy— Ale otóż i wjeżdzamy na dziedziniec.“

Państwo Z. powitali z ukontentowaniem przybyłych gości, córki zaś ich uściskały Ludwisię,

i zaprowadziły do swego pokoju, by zdjęła salopkę, i kapelusz.

— „Jak się macie? jak się macie kochane!“ wołała Ludwisia całując sąsiadeczki, i rzucając swój kapelusz tak nieuważnie iż z krzesła spadł na ziemię. Anusia, starsza córka państwa Z. podniosła skwapliwie kapelusz, poczęła go otrząsać, zdmuchywać, i po kilku minutach złożyła na stoliku świeższym jeszcze niźli go Ludwisia przywiozła na głowie.

— „Ludwiniu! żebyś wiedziała co ja za śliczną robotę skończyłam właśnie„— rzekła Zosia ściskając ją uprzejmie— „Sama oprawa w Warszawie kosztuje czterdzieści złotych.“

— O! pokażże mi ją czemprędzéj. Gdzie jest?“

— „W salonie. Zdejm tylko twoją salopkę, to pójdziemy„

Ludwisia któréj właśnie tego dnia same krzyżyki włóczkowe migały po głowie, radaby jednym krokiem stanąć już w salonie. Zrywa raczéj niźli zdejmuje salopkę; haftka zaczepia o batystowy haftowany kołnierzyk otaczający jéj szyję, i rozdziera nielitościwie.

— „Ach! mój Boże, co za szkoda!“— zawołała Anusia przytrzymując gwałtem prawie Ludwisię, która zaledwie spojrzawszy na skutki swojéj nieuwagi, chciała wybiedz do salonu— „Zaczekaj,

niech ci go choć przypnę. Taki trudny haft! co za szkoda!"

—„ Szkoda?"— powtórzyła śmiejąc się z niedbałością Ludwisia.

— „Zabawna jesteś! to kołnierzyk stary, znoszony."

— „Tém bardziéj szanować go należy„— rzekła z dobrocią łagodna Anusia, kryjąc jak mogła rozdartą część haftu, w suknią.

— „Za cóż"— dodała z uśmiechem— „odbierać mu resztę zdrowia, i tak już jak mówisz starością nadwątlonego.„

— „Ja go nie cierpię; powiadam ci. Cieszę się nawet przypadkiem co go niszczy, bo już parę razy miałam pokusę wrzucić go na ogień."

— „Patrz, patrz Ludwisiu z jaką zgrozą Anusia spoziera na ciebie"— rzekła śmiejąc się Zosia— „Ale bo też ona sama dziwnie rzeczy swoje szanuje. Nosi długo, naprawia, znowu nosi; a kiedy ja, dwie już suknie, i trzy kołnierzyki zdarłam tak, że i niewiem gdzie mi się podzieją, ona jeszcze swoje wycerowane, i odświeżone podaruje jakiéj biednéj dziewczynce, która z radości nie wie jak dziękować."

— „Zrobienie każdéj części naszego ubrania kosztuje tyle pracy, tyle czasu„— rzekła Anusia— „że niepodobna tak mało je cenić."

—„ A cóż mi do tego?"— odezwała się Lu-

dwisia— „Na to przecię mamy służące by szyły, i naprawiały. Ja wolę mieć zawsze cóś nowego, niźli wiecznie toż samo nosić.“

— „I ja podobnież“— rzekła Zosia biorąc sąsiadkę pod rękę i prowadząc ją do pokoju. Bo jeśli pilno było Ludwisi zobaczyć robótkę, to jéj pilniéj jeszcze z nią się popisać.

Weszły do salonu. Powitalny ukłon Ludwisi zaledwie spostrzeżonym został, bo wszyscy, gospodarze domu i goście, stali jakby przed obrazem, przed ścianą gdzie zawieszoną była nowa robota Zosi. Świeżo oprawiona *szyfonierka* jaśniejąca złotém, i srebrném wyklejaniem, przedstawiała czarowny krajobraz szwajcarski: gładkie jezioro, na niém łódź napełniona pięknie przybraném gronem; po jednéj stronie nad brzegiem powabny domek, gołębnik, sernica, drzewa. W oddaleniu, góry przepaściste przerżnięte mnóstwem wykutych ścieżek— stado krów i owiec wspinających się po nierównném pastwisku, i nad tém wszystkiém pogodne, błękitne niebo. Ludwisia była zachwycona; a szczere jéj uwielbienie tak pochlebiło Zosi, iż jéj obiecała pożyczyć na ekran wzór tak piękny, jakiemu podobnego w całéj nie znajdzie Warszawie.

— „Śliczna praca“— rzekła jakaś dama, ściskając Zosię z wyrazem twarzy nie zupełnie

szczerym— „Cóż to za zgrabne są rączki, co tak ładne rzeczy robić umieją.

— „A... a! można powinszować pannie Zofji ślicznego talentu“ odezwał się ktoś inny.

— „Jak to miło mieć salon tak elegancko ozdobiony rękami własnéj córki“ — powiedziano z trzeciéj strony, obracając się do pani Z.

Zosia w pół zarumieniona w pół dumna témi czczémi pochwały, kłaniała się za nie każdemu z osobna, a z twarzy jéj widać było, że sama szczerze uwierzyła, iż wykonała arcydzieło: nie tylko nader piękne, lecz chwalebne.

— „Ładna, cudowna robota!“— zawołał jeszcze jakiś młody mężczyzna zwracając się ku niéj: a potém idąc z drugim do okna, rzekł śmiejąc się cicho.

— „Niech umrę, jeźli znam się na tych wyszytych gałgankach — ale cóż robić; skoro drudzy chwalą, niegrzecznie byłoby milczeć— chwalę więc, chociaż na honor, nie ma za co.“

Matka Ludwisi z lekka tylko pochwaliła piękny szwajcarski krajobraz, a jeden z obecnych, podżyły już człowiek, zbliżył się do Zosi; i gdy ta z miłym uśmiechem na ustach, pewna nowéj grzeczności odsuwała już nogę do dziękczynnego ukłonu, zapytał.

— „Wolnoż wiedzieć moje dziécię czy po-

siadasz upoważnienie do odbierania w cudzém imieniu tych wszystkich hołdów?

— „W cudzém imieniu? jakto!“ — rzekła Zosia cokolwiek zwarzona.

— „Upewniam pana że jam sama wyszyła tę szyfonierkę: nikt ani jednego ściegu nie dodał.“

— „Aż nazbyt pewny tego jestem.“

— „Od kogoż więc potrzebowałabym upoważnienia na odbieranie dawanych mi tu łaskawie pochwał.“

— „Ależ zdaje mi się że od tego, co największą w téj rzeczy ma zasługę; to jest od pięknie malowanego wzoru z którego szyłaś“ — odpowiedział staruszek — „Bo przyznaj panno Zofjo że robota krzyżowa łatwa, i wyrachowana, nie może się nie udać skoro wzór był piękny, a włóczki dobrze przez kupca dobrane w sklepie. Pojmuję zatém twój kłopot kochane dziecię gdy cię zmuszają do podziękowań za pochwały, nie mające żadnéj ceny.“ — I ściskając dobrotliwie jéj rękę, dodał — „Wiem że dobrze wychowaną, i miłą panienkę jaką ty jesteś, możnaby chwalić z wielu przymiotów daleko szacowniejszych.“

Odszedł. Zosia zmięszana, i zawstydzona trochę, stała nic nie mówiąc: on zaś idąc do starszych dam, rzekł:

— „Powiedzcież mi przecie łaskawe panie,

jakby to cacko do ściany przylepione nazwać po polsku?"

— „Szyfonierka" — odezwała się matka Zosi.

— „A to drugie rozpięte przed kominkiem?" — dodał z udaną niewiadomością starzec wskazując palcem.

— „To ekran."

— „Szyfonierka! ekran! hm... mnie się zdaje że to nie po polsku.

— „Prawda, prawda" — rzekły damy — „Wyrazy są francuzkie; trzeba je przepolszczyć."

— „Broń Boże!" — zawołał staruszek z zapałem — „Nie twórzcie słów daremnych: język nasz dość jest bogaty; ma on wyrażenia właściwe na wszystkie uczucia, i potrzeby wrodzone nam, to jest krajowe. Jakże chcecie znaleść w polskim dykcyonarzu to, co nigdy do polskich nie wchodziło zwyczajów.

— „Jakto?"

— „Nasze babki i prababki" — rzekł starzec wznosząc mimowolnie oczy w niebo — „nie używały waszych szyfonierek: bo cóżby w nie składały? skrzętne gosposie, miłosierne chrześcijanki, nie miewały pod ręką tych tysiącznych nieużytecznych drobnostek, bo u nich wszystko miało swoje przeznaczenie. Co nie należało do sprzętów lub rzeczy domowych, poszło na dar litościwy dla bliźniego. Nie wlekły się po komnatach

Chiffony, nie było zatém i *Chiffonierek*.... Albo ów ekran! to nowy cudzoziemiec. U nas dawniéj w Polsce kominek zgromadzał wkoło siebie całą rodzinę. Siadała matka z córkami; robiły roboty i gawędziły wesoło. Siadał ojciec i synowie dla wypocznienia w lubém gronie po pracach dziennych; zdarzył się nieraz i sąsiad, a rozmowa nie cedziła się po słówku, bo każdy co miał w sercu, to i w ustach. Ogień migał wesoło, oświecał obraz szczęścia, zgody domowéj, moralności. Dziś, jakby zagasło rodzinne ognisko, zastawiono kochany kominek ekranem, wyszytym w dzikie floresy, lub kwiaty... A mnie od nich tak zimno, taki dreszcz przejmuje, jakbym patrzał na marmurowy wieniec, zdobiący pomnik grobowy!“

Anusia, starsza córka państwa Z. słuchała co mówił staruszek, ale młodszym zbyt się to nudne wydało: zaczęły więc bawić się pomiędzy sobą, a Ludwisia biorąc spory kłębek bawełny leżący na stoliku, wrzuciła go do szyfonierki, i rzekła.

— „Trzeba cóś do niéj włożyć, by zaraz na wstępie rozpoczęła służbę swoją.“

— „Ach!“ — wykrzyknęła lekko, przestraszona Zosia, wyjmując czémprędzéj rzucony kłębek— „jakiejże obawy nabawiłaś mię kochana Ludwi-

siu. To dno, jest z klejonego papieru, bardzo wątłe: lada ciężar może je przedziurawić.“

— „Doprawdy? jakże to będzie! Więc ci się wnet szyfonierka zepsuje, skoro używać zaczniesz.

— „Dziecko jesteś: alboż to ona do użytku zrobiona. Mamy przecięż gdzie chować kłębki, i tym podobne drobiazgi. To tylko tak sobie; dla pozoru, dla ozdoby salonu. A i tobie radzę moja Ludwisiu gdy zrobisz swój ekran, każ go starannie odsuwać od ognia ile razy w piecu palić się będzie: bo gorący wyziew zniszczy kolor włóczek. Skoro wystygnie, znowu go odstawić, bo już z kształtu swego przeznaczony na to, żeby niby-to od płomienia zasłaniał.“

— „Widzę Zosiu“— rzekła Ludwisia śmiejąc się,— „że i moja, i twoja robota kończy się na— Niby to — Ale nic nie szkodzi; zawsze ładnie, i wszyscy chwalą. Trudnoż znowu dla rozrywki szyć koszule lub suknie: toby była kara, nie zabawa.“

— „Zapewne: zawsze się o to sprzeczam z Anusią; która tak lubi szyć, i kroić, że gdybyś jéj dała igłę, nici, nożyczki, i zamknęła na cały dzień w oddzielnym pokoju, ona się nie znudzi. Ale przyjdź wieczorem; pewna jestem iż znalazłabyś że zdjęła własną suknię, skroiła z niéj dwie mniejsze, i uszyła: nie licząc w to chusteczek, i czepeczków, na które pewnie potrafiłaby oszczę-

dzić jeszcze cokolwiek materji z rękawów, lub długości."

— „Dziwny gust! A mama wasza pozwalaż na to?"

— „Nieraz ją za to jeszcze pocałuje, pochwali."

— „Widać zatém że wszystkie mamy tak lubią: bo i moja..."

— „Oto ci przytoczę świeży przykład" — przerwała Zosia— „Gdym miała wyszywać tę piękną szyfonierkę, mama chciała i Anusi wyznaczyć równą ilość pieniędzy na jaką przyjemną robótkę. Ona zamiast wzorów i włóczek, pragnęła mieć co innego, i wiesz co uprosiła u mamy?— Oto pół sztuki płótna, dwie stare suknie, paczkę igieł, i mnóstwo rozmaitych nici. I tak była kontenta, że wyżéj odemnie skakała z radości."

— „Nie rozumiem. Na cóż się jéj zdadzą te wszystkie gałganki?

— „Zajrzyj tylko do jéj kosza z robotami, a przekonasz się naocznie."

Ludwisia i Zosia pobiegły do pokoju obu siostr. Tam, rzeczywiście stał pod oknem duży kosz zamykany.

— „Czy wolno go otworzyć?" — spytała ciekawa, lecz zawsze grzeczna Ludwisia.

— „I to natychmiast: bo Anusia postrzeże iż

tu pobiegłyśmy, i przyjdzie nam przeszkodzić. Nie bardzo lubi żeby przeglądać jéj roboty."

To mówiąc otworzyła kosz, a Ludwisia wydostała zeń pierwszą sztukę, na wierzchu leżącą. Właśnie w téj chwili Anusia rzeczywiście we drzwiach stanęła; chciała prosić by nie otwierano jéj kosza, lecz było już po czasie, bo właśnie Ludwisia z wielkiém podziwieniem swojém, roz-[illegible]ęła— pięknie uszytą malutką koszulkę.

— „A to co?" — zawołała śmiejąc się, i spo-[illegible]ając na zarumienioną panienkę— „Anusia [illegible]a duża, i jeszcze dla lalek szyje? Przyznać [illegible]zeba że lalka musi być śliczna! a osobliwie duża" — dodała przeglądając chciwie na nowo koszulkę— „Jakżebym rada przypatrzyć się jakie ona ma oczki, i buzię! Możnaż było nigdy mi jéj niepokazać? Ale muszę, o! muszę teraz znaleść tę jejmościankę, którą chowasz przedemną tak troskliwie."

To rzekłszy Ludwisia z wzrastającą ciekawością sięgnęła aż na dno kosza. Nie było tam lalki, tylko z rąk jéj wypadło mnóstwo koszulek, fartuszków, czapeczek mniejszych i większych, mankietki, kołnierzyki, słowem tłum robótek zaczętych, lub świeżo skończonych. Ale Ludwisia mniej na to wszystko zważała, trzymając tylko zawsze małą koszulkę w ręku, jako dowód istnienia lalki, zaczęła szukać jéj po całym pokoju.

Anusia nic nie mówiąc stała z uśmiechem na ustach, choć nieco zmięszana. Zosia patrzyła na Ludwisię zwiedzającą każdy koszyk, każde pudełko, każde łóżko nawet i zamykała chustką głośny śmiech, z ust się jéj wydobywający.

— „A co Ludwiniu, nie możesz nigdzie znaleść lalki?"— spytała wreszcie pół figlarnie, pół przyjaźnie.

— „Jak widzisz"— odpowiedziała Ludwisia nie przestając szukać— „a jednakże wyznaję ci iż umieram z niecierpliwości by ją czém prędzéj ujrzeć. Lalka potrzebująca tak dużéj koszulki... ależ to musi być cudo piękności!"

— „Nie tyle jak mniemasz... Prawie zawsze umurzana."

— „Doprawdy? Pomimo to Anusiu muszę ci powiedzieć żeś złą sąsiadką. Godziłoż się mieć w domu taką osobliwość, taką wielką lalkę, i nigdy ani wspomnieć przedemną."

— „Wybacz jéj Ludwisiu"— rzekła Zosia — „Ale skoro chcesz, ja dziś tę winę naprawię, i pokażę ci ową jak nazywasz osobliwość."

— „Droga, kochana Zosiu; dziękuję ci! wszak Anusia pozwoli?"— dodała patrząc z prośbą na starszą z panien..

— „Dobrze"— odpowiedziała uprzejmie Anusia— „ale przekonasz się że w tém wszystkiém jest tylko swawola Zosi.

— „Jak to? nie ma lalki?..

— „Wszakże sama trzymasz w ręku jéj koszulkę“— podchwyciła Zosia— „Anusia tylko się wstydzi że choć tak duża, przecięż dla lalek szyje. Upewniam cię, że ma ich mnóstwo które sama ubiera.“

— „Więcéj niż jedną?“

— O! i daleko jeszcze od téj większe.“

— „Mój Boże! wszak to musi być bardzo kosztowne: wierzę teraz że na krzyżową robotę pieniędzy nie staje. Ileż płacicie za nie?

— „Nic.

— „Któż wam tych ślicznych lalek dostarcza?“

— „Właśni wieśniacy nasi z tych oto chatek co je widzisz.“

— „No proszę!— Ale pojmujesz niecierpliwość moją: dotąd nie widziałam téj tajemniczéj lalki... zmiłuj się Zosiu.“

— „Zaraz, zaraz: biegnę, lecę, wnet ci ją przyniosę.“

Zosia tłumiąc zawsze śmiech, wybiegła jak strzała do pokoju służących, i za chwilę wróciła, kołacząc do drzwi by ją wpuszczono.

— „Otwórz Ludwisiu!“— wołała— „lalka Anusi tak ciężka, że nie mogę podnieść ręki do klamki.“

Ludwisia jednym skokiem była już przy drzwiach; oczy jéj z ciekawości zdawały się przebijać ścia-

nę, i cóż ujrzała? oto Zosię czerwoną, oddychającą prędko, bo ciężar niesiony ją obarczał: na ręku miała żywą lalkę, to jest trzyletnią dziewczynkę; trochę umurzaną, trochę skrzywioną, lecz pomimo to dosyć ładną.

— „Co widzę?... dziecko!“— zawołała Ludwisia szukająca daremnie oczami mniemanéj lalki.

— „A cóż! czy nie piękna moja lalka?“— spytała Anusia biorąc dziecię z rąk siostry— „a do tego daleko od drewnianéj zabawniejsza. Marysiu ukłoń się téj panience na dowód że nie jesteś bałwankiem z drzewa jak ona mniemała“— I to mówiąc nachylała małą Marysię, która jeszcze sama z siebie nie znałaby się na téj grzeczności. Dziecina poczęła się uśmiechać, przerabiać języczkiem jakieś niezrozumiałe słowa, a gdy Ludwisia zbliżyła się, malutka swémi ładnémi rączkami pociągnęła po jéj policzkach, i wołała radośnie— „caca! caca!“

Tu weszła młoda dziewczyna, siostra małéj: i odebrała ciężar panienkom. Ludwisia ucałowała serdecznie Marysię.

— „Ach! jaka ona zabawna— rzekła śmiejąc się z ruchów małéj.“

— „Czyje to dziecię?“

— „Biednéj wieśniaczki kątnicy“— odpowiedziała Anusia— „Nieszczęśliwa kobieta leży sparaliżowana; starsza jéj córka musi posłużyć cho-

réj matce, jeść zgotować, i popielęgnować niekiedy małą siostrę. Marysia więc nie ma nikogo coby jéj uszył jaką taką koszulkę. Gdy się one do naszéj wsi przeniosły, ja szyłam dosyć już gładko; poprosiłam więc Mamy by mi pozwoliła sporządzić biednemu dziecku jakie przykrycie. Ach! moja Ludwisiu, żebyś wiedziała z jaką ochotą wzięłam się do pracy: jak usiłowałam pięknie odbyć lekcję żeby mi wolno było potém szyć dla Marysi! ściegi leciały jeden za drugim; ręce mi wcale nie potniały przy robocie, a za każdym uszytym kawałeczkiem myślałam sobie— otóż coraz bliżéj końca, odzieję przecię to biedne stworzeńko drżące w swojéj podartéj, staréj koszulce. Nareszcę skończyłam, i — mogę powiedzieć że bardzo prędko. Poszłyśmy z mamą, która choréj wieśniaczce zaniosła lekarstwo. Siostra Marysi obmyła ją; na miejsce brudnych, podartych łachmanków, włożyliśmy jéj czystą koszulę z kołnierzem, z długiemi rękawkami; a mnie serce skakało z radości patrząc jak mała Maryśka wyładniała w nowéj koszulce, i jak biedna jéj matka podniosłszy się na łóżku spozierała na córkę, składała ręce do modlitwy, i błogosławiła mi z płaczem. Gdyśmy wróciły do domu, tęskno mi było do jakiej roboty którąbym z taką ochotą robiła, jak koszulkę dla Marysi. Miałam wprawdzie zaczętą poduszkę włóczkami na kanwie

ale mi jakoś nie szło, ile razy wzięłam igłę do rąk, pomyślałam sobie: — Ta poduszka zawsze tylko do pozoru służyć będzie, nikt się o nią szczerze nie oprze z obawy zepsucia; nikt na niéj nie wypocznie w znużeniu, lub troskach — i przy téj myśli wcale niesporo przybywało ściegów. Mama to postrzegła; ja się jéj przyznałam iż żałuję żem tak spiesznie skończyła koszulkę, bo mi tęskno po téj robocie.

— „Cóż to?" — rzekła mama — „nie możnaż temu zaradzić, i do podobnéj wrócić roboty; czyliż to już raz w życiu tylko, wolno zrobić cóś użytecznego?"

— „Co mamuniu! możnaby..." — zawołałam z radością.

— „Czemu nie; Maryśka ma wprawdzie koszulkę; ale jesień nadchodzi, nie będzie jéj dosyć ciepło: zdaje mi się że ciepły kaftanik przydałby się bardzo."

Skoczyłam mamie kochanéj do szyi; ale za chwilę przyszło mi na myśl, że nie mam z czego uszyć kaftanika.

— „Trzeba wyszukać co starego" — rzekła mama. Nie miałam naówczas w zapasie żadnéj sukni znoszonéj, bo niewiedziałam nigdy, jak, i gdzie się one podziewały; chciałam więc użyć na to stanika od mego nowego watowanego szlafroczka. Ale mama nie pozwoliła; bo, powie-

działa— byłoby to marnotrawstwem, a marnotrawca niedługo będzie miał z czego być dobroczynnym. Wtedy Zosia przyszła mi w pomoc, i ofiarowała dać swoją starą, perkalikową sukienkę, jeżeli jéj za to pozwolę skończyć poduszkę na kanwie, którą wyszywałam. Najchętniéj przystałam na to, i obie byłyśmy kontente. Wnet z nową radością wzięłam się do roboty; wprawdzie nic dotąd na wacie nie szyłam, ale mama pokazała mi sposób, a ja sama wypracowałam cały kaftanik: bo póty wykrawałam wzory z papieru, póty fastrygowałam, prułam, wchylałam lub wypuszczałam materję, dopóki zupełnie dobrze nie leżał.

Trzeba było potém widzieć moją Maryśkę, gdym ją czysto, i ciepło ubrała. Znikła z jéj liców bladość; z rąk i nóg owa tak nazwana— gęsia skórka— którą zimno drżące członki pociąga. Czerwona jak jabłuszko, siedziała na łóżku u matki, a ta okazywała mi tyle wdzięczności, iż gdyby nawet robota zamiast bawić, była mię znudziła, jużbym za nią dostateczną miała nagrodę. Odtąd przez jakiś czas był u mnie prawdziwy warsztat krawiecki dla ubogich. Mama zebrała dla mnie wszystkie starzyzny jakie miała w domu. Przerabiałam, kroiłam, szyłam, i to sama, bez niczyjéj pomocy. Godziny wolne od nauk schodziły mi tak szybko przy robocie, iż

radabym była je potroić. Tyle osób wkoło mnie cieszyło się, i dziękowało! — Szczęścia mego opisać trudno: każda nie nowa odzież zdatna do mego warsztatu nęciła oczy moje jakby cacko, lub przysmaczek jaki; a nigdy weseléj nie rozmawiałam, ani nuciłam sobie jak siedząc nad robotą, kiedy igła latała mi w palcach tak szybko, że się tylko migała. Jedynem zmartwieniem mojém była myśl, że obfity zapas materjałów do mego krawiectwa przez mamę przysposobiony, skończy się jednak wkrótce, osobliwie przy takim pośpiechu w robocie: i że przerwać ją będzie trzeba, aż póki nie znajdzie się znów w domu cóś zbywającego, coby można przerobić na koszulki, czapeczki, fartuchy, i t. p. rzeczy dla biednych. Ale wówczas, dosyć jeszcze byłam bogata: miałam skrojoną czapeczkę na wacie dla staréj Pawłowéj— dwie spódniczki porządne dla dziewczynek biednéj pogorzałéj rodziny, i szyłam właśnie ciepły rękaw, mający okrywać chorą rękę matki Marysi.

Pewnego dnia, gdym po lekcjach zasiadła do mego krawieckiego stołu, igła mi się złamała; pobiegłam więc poprosić o inną mamy. Wchodząc do sypialnego pokoju, ujrzałam mamę siedzącą pod oknem, i szyjącą pilnie ranny szlafrok dla siebie. Obrócona plecami do drzwi, nie postrzegła mię gdym wchodziła, ale mnie na ten

widok zadrżało cóś w sercu jakby żal, jakby wyrzut jaki— Zatrzymałam się o kilka kroków za krzesłem mamy.

— „Mój Boże!“— pomyślałam sobie— „ja wyszukuję obcych ludzi, by im robotą rąk moich zapewnić wygodę; a tu obok mnie, własna moja matka sama dla siebie pracować musi!.... Ale czyliż musi?“— dodałam sobie w duchu— „przecież trzymamy służące na to.“

Właśnie w téj chwili mama zawołała przezedrzwi na pannę służącą— „Karolino, Karolino! czy ty szyjesz kołnierzyk dla Anusi?“

— „Szyję pani; i bardzo śpieszę“— odpowiedziała panna, również nie rzucając roboty— „ale nie wiem co będzie ze szlafrokiem pani; nie mam czasu nim się zająć.“

— „To nic, to nic“— rzekła mama— „już ja go sobie sama uszyję; bylebyś dla dzieci pokończyła wszystko przed niedzielą.“

Gdy to mówiła, igła przypadkiem ześliznęła się jéj z naparstka i ukłuła w palec aż do krwi. Mama syknęła z bólu; mnie taki żal opanował że łzy mi w oczach stanęły— i byłabym pewnie z płaczem rzuciła się na jéj ręce, gdyby w téjże chwili nie wyproszono mamy za jakimś domowym interesem. Wstała z krzesła, i wyszła z pokoju nie widząc mię wcale. Wtedy pochwyciłam robotę którą zostawiła, poczęłam szyć jak

mogłam najprędzéj, aż mi ręce drżały; a szyjąc myślałam sobie:

— „O! nie, nie — nie chcę żeby nadal tak było. Rodzice tyle się mną zajmują! uczą, odziewają, karmią; ja im w niczém a w niczém użyteczną nie jestem— trzebaż jeszcze by matka pracować musiała dla tego, że mnie się podoba uchodzić jéj kosztem za dobroczynną, i odbierać niezasłużone dzięki? O! widzę to; należy wprzód wypełnić własne obowiązki, a potém dopiéro dalszych cnót probować, o ile tylko czasu, i możności staje.“

Gdy wróciła mama do pokoju, znaczna część jéj roboty była już ukończoną, bo przy mojém krawiectwie dla ubogich nabyłam wielkiéj łatwości w szyciu, i sama nie postrzegałam jak ręce pracowały, podczas gdy myśl moja czém innėm nawet zajętą była. Mama zdziwiła się nader przyjemnie, bo wyznała mi poźniéj iż znużona mnóstwem zatrudnień, bynajmniéj szyć szlafroka ochoty nie miała. Spytała mię, zkąd mi przyszła myśl wyręczenia ją, a ja opowiedziałam wrażenie jakie na mnie uczynił widok jéj pracy, i uwagi z tego powodu uczynione.

— „Masz słuszność moja córko“— rzekła całując mię— „zbytek w najlepszéj nawet rzeczy w złe się zamienia, a cnota wtedy tylko jest cnotą, gdy się obowiązkom naszym nie sprzeci-

wia. Nie żądam ja bynajmniéj byś się zrzekła twego warsztatu ubogich; i owszem mianuję cię jałmużniczką moją w tym względzie, i pragnę by wszystko co ze znoszonéj bielizny, lub odzieży dla biednych przeznaczam, dochodziło ich przez twoje ręce przerobione, naprawione, a przez to samo i lepsze. Ale, skoro sama uczułaś, żeś winna i w domu ulżyć nam starań koło siebie łożonych, z radością postrzegam w tém dowód delikatności twojéj; i przyznaję że dobrze uczynisz: bo nietylko mnie, lecz i siebie samą zadowolnisz. Człowiek wtedy jedynie wesołym, i szczęśliwym bywa, kiedy czuje że nie ciężarem, lecz użyteczną istotą jest na świecie."

Odtąd kochana Ludwiniu tak polubiłam szycie i krojenie, że z tak zwanych— pięknych robótek włóczkowych— nie postała żadna w moim koszyku; bo i czasu na nie brakuje mi. Przez chęć zaś podarowania moim biedakom czegoś dobrze zrobionego, nabyłam takiéj wprawy krawcując ze starzyzny, iż mi teraz bardzo łatwo przychodzi skroić sobie suknią, zrobić mamie czepeczek, lub Zosi kołnierzyk. „A to wszystko winnam mojéj żywéj lalce" — dodała z uśmiechem biorąc znowu na ręce bawiącą się w kąciku małą Maryśkę— „bo koszulka dla niéj, była dla mnie pierwszą robotą tego rodzaju."

Ludwisia słuchała uważnie opowiadania Anusi, a potém rzekła:

— „Kochana Anusiu, zachęciłaś mię bardzo do szycia, które dotąd nie zbyt lubiłam. Wezmę się i ja do pracy: ale nauczona twoim przykładem, zamiast ubierania żywéj lalki, zacznę od razu jaką robotę dla mamy lub dla siebie.“

— „Radzę ci owszem poszukać żywéj lalki“— odpowiedziała śmiejąc się Anusia— „Znajdziesz ich mnóstwo! małych, starszych, i starych, drżących z zimna, lub wieku. Niewprawna do robót, mogłabyś zepsuć cóś nowego, kosztownego. Przeciwnie biedacy nie zważają czy odzież ich doskonałego jest kroju czy szycie wyborne: tym sposobem łatwiéj się wprawisz. I jeszcze jedną, wielką odniesiesz ztąd korzyść.“

— „Jaką?“

— „Oto pamiątkę że pierwszą pracą twoją był dar dla nędzy. Wierz mi, bo mówię ci z doświadczenia: koszulka którą szyłam dla Maryśki tyle mię zajmowała, z taką ochotą robiłam ją, że późniéj każde szycie więcéj mię bawi, przez pamięć jak wtedy bawiło. Ilekroć teraz wezmę igłę w rękę, jakieś dobre, wesołe myśli, przychodzą mi do głowy, zawsze przypomnę sobie ile to jest biednych którym można małym kosztem radość sprawić— jak miło zrobić cóś użytecznego, i...“

— „Ach! mój Boże“— zawołała wbiegając Zosia, która podczas opowiadania siostry wyszła była do salonu— „Ach! Boże— co za szkoda! Pani A. chce już wyjeżdzać, i woła na Ludwisię.“

W saméj rzeczy konie stały przed gankiem; Ludwisia choć z żalem pożegnała sąsiadki swoje. Anusię czuléj niż zwykle uściskała, a gładząc ładniutką Maryśkę, rzekła— „Adieu, żywa lalko: podobno z twojéj łaski nie będzie ekranu przed naszym kominkiem.“

Przechodząc przez salon, Ludwisia spojrzała na świetną szyfonierkę Zosi; ale oczy jéj nie wyrażały już takiego jak przedtém zachwycenia. Zosia jednakże biorąc i to spojrzenie za hołd należny jéj pracy, zawołała:

— „Ach! Ludwiniu— kochana Ludwiniu zapomniałam ci dać obiecanego wzoru na ekran. Zaczekaj chwilkę, wnet go przyniosę.“

— „Dziękuję ci Zosiu„— odpowiedziała Ludwisia rumieniąc się, i jąkając cokolwiek— „dziękuję... ale.., teraz nie mogę.“

— „A więc przyszlę ci go jutro. Taki piękny!... zobaczysz.“

— „O! nie... nie... wdzięczna ci jestem nieskończenie, ale nie przysyłaj... nie będę jeszcze w tych dniach miała czasu wyszywać... sama cię później poproszę, gdy...“

— „Jak chcesz“— rzekła Zosia— „bądź pewna że ci go w każdym czasie, z ochotném sercem udzielę.“

Pani A. spojrzała na córkę z zadziwieniem, bo pamiętała jak przed parą jeszcze godzinami Ludwisia ekranem tylko swoim zajętą była, i myślą by go zacząć czémprędzéj— Turkot powozu nie dał nam dosłyszeć rozmowy jaką miała w drodze córka z matką; to tylko pewna że Ludwisia nie posłała wcale prosić o deseń u Zosi, ani w Warszawie włóczek nie kupowała.

Jednakże ręce jéj nigdy nie próżnowały: pani A. z większą jeszcze niż dawniéj czułością całowała córkę, a pewnego dnia, na kamień leżący przed gankiem domu, spadły dwie łzy gorące z oczu siedzącéj przy nim żebraczki, która mówiła kładnąc ciepłą czapeczkę na główkę swego dziecięcia— „Boże! daj by takich panienek wiele było na świecie.“

W parę miesięcy późniéj, znowu Ludwisia z matką pojechały do państwa Z. Miła Anusia, i Zosia, znowu ją z otwartémi przyjęły rękami. Lecz teraz Ludwisia nie rzuciła już o ziemię kapelusza: a gdy uprzejma Zosia zdejmując jéj salopę, pociągnęła przypadkiem kołnierzyk, Ludwisia mimowolnie zarumieniła się z obawy czy go nie rozdarła, i niespokojném wejrzeniem zdradziła myśl swoją.

— „Cóż to?“— zawołała śmiejąc się Zosia— „żałujesz tego kołnierzyka? Wszak to widzę ten sam, coś go ostatnią razą będąc u nas bez litości darła.“

— „Już pocerowany“ — odpowiedziała zcicha, uśmiechając się łagodnie Ludwisia.

— „Pamiętam żeś mówiła wtedy iż go nie cierpisz. Otóż o mało co nie uczyniłam ci w téj chwili owéj wielkiéj przysługi, że wcale nosićbyś go już nie mogła.“

— „Ach! broń Boże“— odpowiedziała wesoło, ale bez żartu Ludwisia— „Zrobić i wyhaftować kołnierzyk, to kosztuje tyle pracy!“

Mówiąc podniosła wzrok, i spotkała oczy Anusi, wpatrującéj się w nią z podziwieniem. Panna Z. przybliżyła się do niéj, ucałowała ją serdecznie, potém z figlarnym uśmiechem:

— „Ludwiniu“— spytała— „czy powiesz mi prawdę, jeżeli jedną rzecz o tobie zgadnę?“

— „Powiem.“

— „Ty ubierasz własną pracą żywą lalkę— Poznaję to, po twojém ocenieniu czasu i roboty.“

— „Zgadłaś. Tylko że moja lalka nie tak piękna jak twoja; suwa biedaczka nogami, trzęsie głową, kaszle.“

— „A zowie się?....“

— „Stara Ignacowa; matka biednego parobka. Nie ma córki, ani synowéj którahy ją oszywała—

a prócz tego“ dodała Ludwisia— „zrobiłam już dla mamy czepeczek nocny, i sobie parę mankietek.“

— „Wybornie moja kochana sąsiadeczko. A cóż to za paczkę masz tu w chustce?“

— „Przywiozłam z sobą zaczętą robotę...“ — odpowiedziała trochę nieśmiało Ludwisia— „Myślałam że się nie będziesz gniewać.... pilno mi ją skończyć, a szyjąc weseléj się jeszcze rozmawia.“

— „Ach! jak dobrze zrobiłaś!“— zawołała Anusia prowadząc ją do swego stoliczka. Siadły obie; Zosia przyłączyła się do nich, igiełki migały w zręcznych paluszkach, a nigdy jeszcze podczas wzajemnych odwiedzin, tyle się nie uśmiały, i tak wesoło nie bawiły.

Józefina O.

O MORALNOŚCI.

Życie ludzkie bardzo właściwie porównać można z podróżą— żyjąc, nie spoczywamy w miejscu ani na chwilę— okoliczności, wypadki, a wreszcie sam czas posuwa nas coraz daléj, zbliża nas coraz więcéj do celu, a celem tym jest wieczność— kraj z którego cofnąć się człowiekowi nie wolno, gdzie nie czas zbierać zasługi, lecz zdawać sprawę ze środków, jakich nam do odbycia téj ważnéj podróży dostarczano.

Wędrowiec wybierając się w podróż, pyta troskliwie o drogę, w miejscach mniéj znanych bierze przewodnika, i choćby sam był jak najwyżéj ukształconym, idzie za owym człowiekiem, chociaż to najczęściéj bywa prosty wieśniak, nieznający nic więcéj, prócz drogi, którą wskazuje, nie troszczący się o korzyści lub przyjemności jakie

ztąd podróżny odniesie.— Kiedy wypadnie przebywać ciemne jakie pieczary— wędrowiec pomimo ostrożności przewodnika, sam się jeszcze uzbraja w latarnię, bo własną ręką bliżéj, dokładniéj rozjaśnić sobie może niepewną drogę.

Również idąc przez życie powinniśmy zbierać jaknajwięcéj wiadomości któreby nam tę podróż ułatwić mogły— Rodzice i opiekunowie uzbrajają nas od dzieciństwa, wpajają w pamięć nauki i przestrogi jak się chronić upadku, a nawet potknięcia— przewodniczą nam sami, i idąc za ich głosem, możemy być pewni niezbłądzenia.

Alež, niezawsze trwają lube lata dzieciństwa, młodości!— Niezawsze możemy mieć obok siebie tkliwych doradców— Często bardzo wypadnie nam iść samym, a może jeszcze innym przewodniczyć— Dla tego więc, obok czułéj uległości dla osób strzegących nas tak troskliwie; obok zupełnego zaufania w radach rodziców, obok wdzięcznego posłuszeństwa ich rozkazom, powinniśmy się starać o ułatwienie im pracy jaką z nami podejmują, o zastąpienie ich w trudnym zawodzie strzeżenia czynów i myśli naszych.

Powinniśmy nakoniec starać się o nabycie światła, którém samibyśmy mogli zaświecić w głąb

serca naszego, i poznać czy też wszystkie uczucia — czy wszystkie myśli na prostéj są drodze. Głównym do tego warunkiem jest poznanie obowiązków jakie nam Stwórca przeznaczył, i środków do dokładnego ich wypełniania.

Obowiązki człowieka są trojakie— względem Boga— względem bliźnich, i względem nas samych.— Pierwszych uczy nas dokładnie religja, nieopuszcza ona i powinności naszych względem braci — bo główném jéj prawidłem jest: „kochaj Boga nadewszystko— a bliźniego jako siebie samego.“

Jednakże święte i poważne przepisy religji nie zawsze stają nam na pamięci— w drobnych, małoznaczących wypadkach zdaje nam się nawet nieraz że byłoby to niejakiém ubliżeniem gdybyśmy się wprost do niéj odwoływali— i dla tego potrzebną jest koniecznie nauka, któraby pośredniczyła między wzniosłémi nakazami religji, a powszednim życiem człowieka.— Nauka taka zowie się Moralnością — i pewną jestem że czytelnikom moim nie z samego nazwiska jest znana.

P. K.

ŁZA CHRYSTUSA

(lacrimi Christi).

Brat.

Moja siostrzyczko co to za kwiatek
Wisi w doniczce pośród okienka?
Taka skromniutka jego sukienka,
Takie bielutkie gałązki śliczne
Wijąc się w kształty rozliczne
Ponad doniczkę się wysunęły,
A na ich końcach drobne listeczki,
Jakby gwiazdeczki,
Jakgdyby łezki spłynęły.
Moja siostrzyczko co to za kwiatek?

Siostra.

Gdy Chrystus gościł na ziemi,
I błogosławił tych, co cichémi
Łzami koili cierpienia,

I za nich oczy ku niebu wznosił,
Nagrody dla nich u ojca prosił;
Wtenczas— niedoli żałość głęboka
Z boskiego oka,
Stoczyła łzę rozczulenia.

Wnet, z tego miejsca gdzie łza upadła
Wybiegła drobna roślina,
Postacią smętna, wybladła,
Listeczkiem łzę przypomina,
A z ponad krzaczka długie ramiona
Wyciąga, jak matka tkliwa
Gdy uścisk niesie dziecięciu,
A z niém jakgdyby chciała u łona
Wspólną rodzinę—
Ludzkość utulić w objęciu.
Widzisz braciszku tę to roślinę
Lud *łzą Chrystusa* nazywa.

Gdy w życia drodze zdarzy się troska,
Przykra pielgrzymka cię strudzi,
Albo prawica dotknie cię boska
Wtenczas nie szukaj ulgi wśród ludzi,
Ale w skrytości lecząc się łezką,
Na sercu połóż ten kwiatek,
On gładząc w duszy troski ostatek,
Stłumi goryczy ból żywy,

W serce pociechę lejąc niebieskę
Słowem, co Chrystus wyrzekł do ciebie:
Cichy szczęśliwy
Albowiem dam mu królestwo w niebie.

W. T.

ODPOWIEDŹ

NA WIERSZ:

«Człowiek jestem, dość na tém—stworzon do cierpienia»

Nie do cierpień, do szczęścia stworzyły nas nieba,
Wszędzie je znajdziesz, szukać tylko umieć trzeba,
Ten, kto poranku życia szczędził na swawolę,
Kto na żyzną dziecinnéj duszy posiał rolę
Poczciwości, nauki, talentów nasiona,
Czyja młodość doświadczeń szkole poświęcona,
Kto z roskoszą bliźniemu pomocy udziela,
Kto dziecinnego z duszy nie wygnał wesela:
Ten, choć wszystko postrada co dla serca miłe,
Straci mienie— kochanych zagrzebie w mogiłę,

Los mu weźmie przyjaciół, w nieszczęściu osłodę,
Choć zna cenę roskoszy, choć na boleść tkliwy:
Zamknąwszy się sam w sobie powie—*jam szczęśliwy!*

Marcin Ossoryja.

ZGON DZIADKA.

„Z woli to Boga, ziemia nas wzywa
Wszystkich do swojego łona:
Już i mnie coraz siły ubywa,
Już podróż moja spełniona,
„Jutro nad ranem gdy błysną zorze,
Wy usłyszycie głos dzwonu,
A on zwiastunem będzie już może
Staruszka waszego zgonu.
„On do was więcéj już nie przybędzie,
O cudach Twórcy nie powie,
Już was w przystojnym nie ujrzy rzędzie,
Nie przestrzeże dziatek w mowie;
„I w domku jego puszczyk zamieszka,
Nim się starością pochyli;

Zarośnie do wsi starowna ścieszka,
Gdzieśmy codziennie chodzili.
„Mnie już nie będzie, wy zostaniecie
Dzieląc rodzinne swobody,
Wkrótce atoli na świat wyjdziecie.
W samym zawiązku wiek młody
„Ileż-to biedy doświadczyć musi,
Ile walk staczać ze światem,
Nieraz występna żądza pokusi;
I nie koniec jeszcze na tém.
„Jeśli niepomni na powołanie
Wy zapomniecie o Bogu,
Życie, goryczą wieczną się stanie,
Zginiecie na życia progu.
„Ja w ciemnym grobie przeżyję wieki,
Ciało, mogiła pokryje,
Lecz was nie puszczę jeszcze z opieki,
Póki ostatni dożyje.
„Dzieci, odchodzę!— już na mnie czas,
Jutro odwiedźcie świątynię,
Pomnąc o starcu, co pożegnał was.
Niech was pomyślność nie minie.“
Zaledwie zorze błysły jaskrawie,
Biegną dziateczki i płaczą,
W starca zagródkę biegną w obawie,
Czy ojca jeszcze zobaczą.
Wtém dzwon jękliwy z klasztornéj wieży
Smutną nowinę ogłasza;

Już go tu niema, w grobowcu leży,
Zgasła już pociecha wasza.
„Pójdźcie młodziuchne, rzekł brat zakonny,
„Tam mogiła usypana,
„Zostawcie na niéj kwiateczek wonny,
„Upadnijcie na kolana."

Ks. H. P.

BRYLANT I KRZEMIEŃ.

Śród nocy cienia,
Leżał raz brylant obok krzemienia;
Ktoś uderzył w krzemień stalą:
Więc się z niego iskry walą,
Lecz chociaż która jasna wypadła
Przy brylancie zaraz zbladła.
„Patrz!" rzekł kamień: patrzaj z bliska
Patrz, jak iskra ma połyska!
Czyliż to niedowodzi
Że nas jedna skala rodzi?

Brylant odpowie: „Jedynie w nocy
Iskra twa nabiera mocy,
A drogi kamień w każdéj dnia porze
I bez stali jaśnieć może.

Teofil Nowosielski.

DOBROCZYNNOŚĆ ŚWIATOWA,

i dobroczynność religijna.

Mówić do człowieka o ludzkości i dobroczynności, jest-to mu mówić o powinności wyrytéj w głębi jego serca tąż samą ręką co go ukształciła; jest-to mu przypomnieć obowiązek zawarty w przykazaniu zalecającém mu miłować bliźniego jak siebie samego: lecz żeby o tym obowiązku przemówić do niego jak przystoi, trzeba przemówić językiem religji a nie filozofji i filantropji, trzeba mu dać słyszeć głos najwyższéj istoty a nie człowieka; głos miłości chrześcijańskiéj a nie głos chełpliwości i dumy. Dwa są gatunki dobroczynności: dobroczynność religijna i światowa, filantropiczna. Pierwsza jest-to dobroczynność powinności, przywiązania, bezinteresowności; jest-to dobroczynność powsze-

chna niemająca względu na osobę, bo miłość z któréj wypływa obejmuje wszystkich ludzi. Druga, jest-to dobroczynność chełpliwości, interesu, kaprysu, humoru i że tak powiem: jest to dobroczynność zawsze zarażona występkiem miłości własnéj.

Dwa te gatunki dobroczynności przecudnie odmalowała i odróżniła pani de Genlis w swém wyborném dziele: La religion considerée comme l'unique base du bonheur.

„Dobroczynność światowa — mówi ta pani: może wykonać jakiś czyn pychy i chełpliwości, ale nigdy czynów zadziwiających i prawdziwie wzniosłych. Jest ona obudzona przez przedmioty obecne, i patetyczne, albo przez dumę i chęć odznaczania się. Miłość chrześcijańska zarówno odważna, czynna i tkliwa zajmuje się bez przestanku niesieniem ulgi cierpiącéj ludzkości. Ona wyszukuje troskliwie owe ciemne zakątki w których się znajdują matki nieszczęśliwe i sieroty poopuszczane. Ona się wznosi ponad przyrodzoną bojaźń i nie lęka się ani zarazy, ani trudów ani żadnych niebezpieczeństw. Ona prowadzi człowieka do owych szanownych przytulków gdzie to za każdém stąpieniem przedstawia się rozrzewniający widok boleści i śmierci. Ona się przedziera aż do najgłębszych i najciemniejszych więzień; i tu cieszy niewinnego pognębionego;

sam nawet winowajca odbiera od niéj pomoc: on cierpi, a to dosyć jest dla niéj.

Robiąc ofiarę ze wszystkich uciech i rozkoszy, ze wszystkich przyjemności życia, z majątku, wolności i zdrowia, poświęcając się wyłącznie zbawieniu nieszczęśliwego, nie żąda ani chwały ani szacunku u ludzi: więcéj jeszcze czyni— pogardza pochwałami, a nawet nie myśli o tém żeby te były należne jéj czynnościom: sądzi że tylko dopełnia swych powinności, Dobroczynność światowę wynoszą pod niebiosa: bo ona się lubi objawiać; o miłości zaś chrześcijańskiéj zaledwie co mówią: bo ta się kryć lubi pomnąc na słowa Pana Jezusa „Niech nie wie prawica co czyni lewica“ bo ona, nie wymaga wdzięczności i na niewdzięcznych nigdy się nie żali. Chrześcijanin uważa bogactwa jako skład który mu powierzyła Opatrzność na wsparcie nieszczęśliwych. Filozofia i filantropia mówią do nieszczęśliwego:— daję ci, robię ci ofiarę! chrześcijanin zaś mówi: — oddaję ci; dopełniam powinności na mnie włożonéj. Pierwszy mniema że obowiązuje sobie osobę biorącą, że ona zaciąga dług u niego; drugi zaś sądzi że się uiszcza z długu swego.

Młodzi! zachowajcie wy dobrze w pamięci przedstawioną sobie różnicę pomiędzy miłością chrześcijańską i miłością światową czyli filozoficzną i filantropiczną: obliczcie uważnie korzyści jednéj

i drugiéj. Ja wam powiadam — jeśli będziecie wykonywali miłosierne uczynki z pobudek pierwszéj, będziecie mieli chwałę u Boga i u ludzi, usłyszycie kiedyś z ust Boga swego sędziego: „Łaknąłem“ a nakarmiliście mnie“ itd. jeśli zaś je czynić będziecie z pobudek drugich, będziecie mieli chwałę, ale tylko u ludzi i to nie u wszystkich: Bóg zaś do was powie: „Zaprawdę powiadam wam, jużeście odebrali swoją zapłatę.“ Mat. VI. Od saméj więc zaraz młodości sposóbcie się na prawdziwych chrześcijan a nie na uczciwych tylko pogan. Starajcie się być kiedyś Augustynami, Ambrożemi, Paulinami, Marcinami, Paulami, Monikami, Elżbietami a nie jako Focyonami, Kamillami, Aristydesami, Katonami, Lukrecyami, Ferrencyami i t. d.

Ks. P. Rzewuski.

MISSJONARZE

(z fr. Les grâces chrétiennes).

Możeż być cudowniejsze poświęcenie, nad to, którego dowody dają święci opowiadacze Ewanielji, za boskiém natchnieniem spieszący nauczać nieumiejętnych, uzdrawiać chorych, wspomagać ubogich, pokój i zgodę zaszczepiać w dzikich, barbarzyńskich narodach. — Słudzy Boga codzień poświęcają się w ten sposób:— burze na morzu, lody podbiegunowe, zwrotnikowe upały, nic ich nie przeraża; narody świata całego stały się ich uczniami; niema punktu na ziemi któryby się ukrył przed ich gorliwością, bo nie wstrzyma ich niebezpieczeństwo ani cierpienie w udzielaniu świętego światła religji.— Ileż to może żywa wiara w sercu czystego człowieka! Wzbudza w nim siłę i żądzę znoszenia mąk i

cierpień, przelewania krwi własnéj, byle nieszczęśliwych, dzikich braci swoich od bałwochwalstwa odwrócić.— Niczém są dla niego okrutne i zabobonne hordy, niedostępne skały, bezdenne potoki, prace niesłychane, nędza i śmierć sama, jeżeli tém wszystkiém choćby jedną duszę zjednać można niebu.

We wszystkie strony świata rozeszli się Missionarze — a każda missja choć jeden cel. oddzielną przecięż ma barwę.

Kiedy jeszcze Grecy walczyli z Turkami, i potajemnie tylko odbiérać mogli pomoc i pociechę jakiéj chrześcijańska religja udziela, kapłan katolicki w tureckiéj odzieży powierzał się śmiało morzu, i lekkiém czółenkiem przybijając do brzegu któréj z owych wysp tak niegdyś wsławionych, w nędzném schronieniu pocieszał leżącego na słomie potomka Periklesa, lub innego bohatera Hellady, rozdzielał jałmużny w imieniu Chrystusa i krył się czyniąc dobrze, jak inni ze zbrodnią się kryją.

Góry Libanu i piaski Arabji zarówno świadczyć mogą o poświęceniu Missjonarzy, którzy mają jakieś niepojęte przeczucie w odgadywaniu i wyszukiwaniu najobfitszych przybytków nędzy.

„Niewolnicy chrześcijaśscy (pisze jeden z nich) zamknięci w twierdzy Konstantynopola potrzebują

pomocy naszéj, dla zachowania się w wierze i bojaźni Boga; podajemy im również wsparcie, które na ręce nasze składają pobożni, dodajemy im odwagi w chorobach' i uczymy po chrześcijańsku umierać.— W czasie zarazy, ponieważ jest nas tu tylko pięciu, a chorzy ciągłéj pomocy potrzebują, jeden z Missjonarzy zamyka się w więzieniu na cały czas klęski;— gotuje się zwykle na to przez kilka dni modlitwy i rozmyślania, żegna braci swoich jak gdyby szedł na śmierć i często się zdarza że ją spotyka; czasem jednakże pozwala Bóg uniknąć oczywistego niebezpieczeństwa, a, poległych w świętéj pracy, jakże hojnie nagradza!"

W Kanadzie, Missjonarze inne znoszą przykrości i cierpienia, na inne wystawiają się trudy.— Jeżeli im się uda osiąść pomiędzy dzikimi, niechcąc ich zrażać odmiennym sposobem życia, towarzyszą im w podróżach i polowaniach trwających po kilka miesięcy, znoszą najcięższe niewygody, żywią się trawą i korzonkami, cierpią nieraz głód i pragnienie, a jednak za najszczęśliwszych się uważają jeżeli w ciągu tych udręczeń uda im się pozyskać duszę jaką Bogu, otworzyć niebo dziecięciu, otrzeć łzy nieszczęśliwemu, lub ulżyć choremu cierpienia.— Nie żałują zdrowia i życia, i nieraz umierając nawracają jeszcze prześladowców swoich.

W Chinach, najpierwsi missjonarze ukazali się w połowie dwunastego wieku, byli to franciszkanie, jeden francuz, drugi polak, imiona ich zaginęły, lecz pamięć wiecznie żyć będzie.— Marek i Mikołaj Paolo wenecjanie daleko późniéj w tęż samą wybrali się drogę, lecz obyczaje i prawa chińskie nie dozwoliły im przystępu wgłąb kraju.

Gdy portugalczycy odkryli drogę do Indji, osiedlili się w Makao, a ojciec Ricci Jezuita postanowił otworzyć sobie koniecznie drogę do owego kraju, o którym tyle cudów opowiadano.— Zaczął się więc najprzód uczyć po chińsku, i przy gorliwości i pomocy Boga zwyciężył niesłychane trudności tego języka, a rozumiejący go już mandarynowie, w r. 1682 pozwolili mu osiąść w Chouachen.

Ricci biegły bardzo w matematyce zjednał sobie wkrótce opiekę znakomitszych chińczyków, którym wykładać począł Jeometrję, a do téj nauki łączył zręcznie wykład zasad i moralności chrześcijańskiéj.— Przebywał on kolejno w Chouachen, Nemham, Pekinie, Nankinie, już pogardzany i krzywdzony— już przyjmowany ze czcią i radością;— pokorny i cierpliwy nie tracił nadziei o plonie jaki słowo Boże wydać miało;— jakoż cesarz chiński ujęty cnotami i wiadomościami missjonarza, pozwolił mu mieszkać w stolicy, i tak jemu jak towarzyszom

jego, przyrzekł wsparcie i opiekę.— Nowi missjonarze chcąc sobie ująć chińczyków, szanowali ich zwyczaje, a nawet stosowali się do nich o ile to nie przeciwiało się przepisom religji; wziętość ich rosła też znacznie, a z nią i duchowna korzyść chińczyków,— Po śmierci ojca *Ricci*, cesarz *Cunchi* mianował ojca *Adama Schall* naczelnikiem matematycznego zgromadzenia.— Pod panowaniem cesarza *Canghi* uczeni chińscy zajęli się rozpoznaniem chrześcijańskiéj religji, i oświadczyli, że religja ta jest dobrą, że nie zawiera nic przeciwnego czystym obyczajom i pomyślności państwa.— Wtedy-to kapłani najświatlejsi we Francji, na wezwanie ojca *Verbiest* przełożonego chińskich missjonarzy udali się do Pekinu, a rady ich przyjmowane z wdzięcznością przyczyniły się znacznie do oświecenia Chin.— Między Pekinem i Paryżem toczyły się rozprawy o astronomji, chronologji, historji naturalnéj, a kiedy w r. 1771 Jezuici mieli stawiać kościół w Pekinie, cesarz chiński sam ułożył trzy napisy mające zdobić kolumny chrześcijańskiéj świątyni.

Nakoniec, ważną także przysługę oddają missjonarze Chinom, wyrywając pewnéj śmierci i bałwochwalstwu tysiące niewinnych ofiar— niemowląt— które podług barbarzyńskiego zwyczaju istniejącego od wieków, rodzice ubodzy wyrzucają bez litości na ulice.— Już w r. 1792,

lord Makartnéj w podróży do Chin odbytéj świadczy, jak missjonarze troskliwie ratują owe nieszczęśliwe ofiary, jak te co po udzieleniu im Sakramentu Chrztu S^go^ zostają jeszcze przy życiu, wychowują starannie, i jak z owych sierot nie jeden już wyszedł żarliwy missjonarz, udzielający ziomkom, krewnym co go niegdyś tak nieludzko odtrącili od siebie, skarbów prawdziwéj wiary.

W tych czasach kiedy stosunki Chin z Europą tak się znacznie pomnożyły, straszliwy ów zwyczaj zwrócił na siebie mocniejszą uwagę prawdziwych sług bożych.— JXJanson biskup w Nancy ustanowił pobożne stowarzyszenie, w celu uchronienia od śmierci chińskich niewiniątek, i — do tak ważnego dzieła— wezwał pomocy dzieci europejskich.— Niewiem czy śmierć szanownego tego kapłana przed kilkoma miesiącami zaszła nie zaszkodziła rozwinięciu tak świętéj instytucji.— Zdaje mi się jednakże że myśl taka rzucona w serca dzieci usnąć nie powinna.— Możeż bowiem być co tkliwszego, jak owa pomoc którą słaba rączka rzucić zdoła bliźniemu aż w głąb innéj części świata;— jak przekonanie, że grosik który sobie ujmiecie od zabawy lub zbytku łącząc się z innémi, ocali wam podobnych, od nędzy— od śmierci— od straszniejszego jeszcze bałwochwalstwa! (1).

(1) Obszerny opis wspomnianej tu instytucji znajduje się w poszycie III tomu IV Pamiętnika Religijno-moralnego.

Otóż kochani czytelnicy niektóre przykłady działań pobożnych rozesłańców bożych— przykładów takich tysiące znajdziecie w ich dziejach, ale więcéj jeszcze pozostało w ukryciu, więcéj nierównie jest takich, których świadkiem, tylko Bóg i sumienie— których śladem może zaledwo jedno było westchnienie.— A przecięż missjonarze przestają na tém, cieszą się tajemnicą otaczającą święte ich czyny, bo we wszystkich krokach przewodniczy im zasada.

„Niech nie wie lewica, co daje prawica.“

P. K.

PSZCZOŁA.

Któż nie zna tego stworzenia, kto nie kosztował słodkiego owocu pracy tego owadu, tak drobnego, tak niepokaźnego, a który przecięż niezmordowaną pilnością, zamiłowaniem porządku, wysoką umiejętnością budownictwa, wreszcie poświęceniem się dla ogólnego dobra nietylko

że nas zadziwia, ale nauczające daje przykłady.— Poznajmy się z pszczółką bliżéj.

Pszczoła domowa czyli miodna w stanie dzikim żyje w lasach, zawsze gromadą, czyli rojem; obiéra sobie na mieszkanie grube, wypruchniałe sosny, dęby, topole, lipy, czasem nawet rozpadliny w skale, murze, lub jamy w ziemi.— Tu stawia budowle na jakie jéj miejsce pozwala, urządza je wewnątrz, opatruje we wszelkie dogodności, i zaczyna pracować nad wyrobieniem słodkiej żywności, nietylko dla siebie i swego rodzeństwa, ale dla zwierząt i ludzi.

Ze zwierząt, oprócz leniwych trzmieli i szerszeni podkradających się często do pszczolnego ula, najchciwszym miodu jest niedźwiedź.— Niezgrabny bartnik niezważając na boleśnie kolące żądła którémi pszczoły bronią swéj własności, wspina się po gałęziach, szarpie szeroką łapą sztucznie ułożone plastry, i nieraz mnóstwo przytém robotnic zabija.— Człowiek widząc to zastawia mu czasem zdradliwy przyrząd, z desek i sznurów złożony, w którym uplątawszy się niedźwiedź pada ofiarą łakomstwa swego;— lecz człowiek równie chciwy a lepiéj wyrachowany, dla siebie tylko słodkie zapasy ochrania, i w stosownéj porze ostrożniéj, zręczniéj, a może ściśléj od niedźwiedzia miodek z barci wybiera.— Pszczoły nie zrażają się tém jednak— po każdém wypróżnieniu ula zabierają

się na nowo do pracy, niepomne czy to dla siebie czy dla drugich pracować będą.

W każdym ulu trzy są gatunki pszczół;— matka, czyli królowa, większa od innych, szanowana widocznie od wszystkich— od niéj bowiem zależy byt całego ula, gdyż ona rzeczywiście daje życie pszczółkom, i pielęgnuje je w stanie młodości, w czém dzielnie pomagają jéj pszczoły robocze.

. Pszczół roboczych dziełem jest zbudowanie wewnętrzne ula, utrzymanie w nim porządku, staranie o młodszych siostrach, słowem wszystkie roboty do pomyślności ogólnéj potrzebne.

Ponieważ zaś wszędzie i zawsze znajdują się tacy co kosztem cudzéj pracy żyć lubią, i między pszczołami znajduje się trzeci gatunek, zwany *trutniami* który nie pomagając w pracy, pasie się obficie miodem, i żyje swobodnie bez trosk i zachodów. — To jednakże dzieje się tylko w lecie; kiedy kwiatów dostatek aż do zbytku dostarcza materjałów, pszczółki robocze mniéj dbają że im ktoś wypróżnia spiżarnię, ale skoro zima we drzwi chatki zapuka, kiedy wypada sobie żywność na kilka miesięcy zabezpieczyć, wtedy skrzętne gosposie pozbywają się próżniaków, wypędzają je z ula, a opierających się zagryzają nawet niekiedy, nie narażając się przytém na niebezpieczeństwo, gdyż trutnie żądeł nie mają.

Pszczoły robocze opatrzone są wszelkiemi narzędziami, mogącémi im ułatwić zatrudnienia; na zewnętrznéj stronie nóg tylnych mają koszyczki, czyli dołeczki delikatnémi włoskami otoczone, na stopach zaś szczoteczki służące do obmiatania z kwiatów i z siebie pyłku kwiatowego; ponieważ zaś obowiązkiem ich jest oprócz własnéj obrony czuwać nad bezpieczeństwem całego pszczolego społeczeństwa i bronić jego własności, przeto uzbrojone są żądłem by się niém zastawić mogły przeciw zwierzętom i ludziom. Żądło to na końcu jest zadzierzyste, skoro je zatém pszczoła głęboko zapuści, nie łatwo je wydostać z ciała, prędzéj się ono z całą osadą od głowy oddzieli, a wtedy pszczoła zapalczywość swoją życiem przypłaca.

Cały rój czyli gromada pszczół w jednym ulu zawarta, zostaje pod władzą i rozkazami matki; jeżeli jéj nie ma, rozwiązuje się cała społeczność, ustają prace, robotnice przestają wychodzić w pole, błąkają się po ulu brzęcząc smutnie, dopóki człowiek nie opatrzy ich inną matką, lub póki się takowa z zniesionych przez poprzedzającą jaj nie wylęgnie. — Inaczéj cały rój ginie, pszczoły bez matki pracować ani rządzić się nie mogąc, rozbiegają się, lub umierają w ulu.

Czy to w ulu, czy gdziekolwiek indziéj obiorą sobie mieszkanie, pszczoły zaczynają budowę jego

postępując z góry na dół— wystający lub nierówny punkt w górze ula służy im za kamień węgielny, czyli za podstawę; — przylepiają u góry kawałek wosku, i do niego czepiają komórki jednę za drugą.— Każda pszczoła pracuje osobno nad swoją celką, lepi zwolna, i wznosi jéj boki;— z początku wygląda to niekształtnie i niegładko, ale wystawiwszy ściany komórki, pszczoła wchodzi we środek, wykręca się na wszystkie strony, rozpycha, poprawia, gładzi, i nadaje najforemniejszy kształt sześcioboczny; komórki zaś te, tak są ułożone w plastrach, iż piramidalne dno jednéj, zachodzi swym końcem między dna trzech komórek z drugiéj strony przytykających.— Dowiedli matematycy, iż rozum ludzki nie mógłby wymyśleć korzystniejszego rozkładu dla oszczędzenia miejsca, czasu, i materjału.

Takie komórki są dla pszczół roboczych i trutniów, dla matki zaś zupełnie odmienna. Dla niéj pszczółki nie żałują ani czasu ani materjału.— Nadają komorze kształt wydrążonego żołędzia, i lepią ściany tak obszerne i mocne, że na nią tyle wychodzi wosku ile na sto zwyczajnych komórek.— Plaster mający sześć cali szerokości, a jednę stopę długości zawiera około 4000 komórek, a przy pogodzie i obfitości kwiatów

w sąsiedztwie, zwyczajny rój zbudować go może w przeciągu jednéj doby.

Plastry wiszą zawsze równolegle, tak jeden od drugiego oddalony, aby przechodzące po nich pszczoły wygodnie mijać się mogły; gdzie można, w tyle lub po bokach przymocowane są do ścian ula, aby zaś oszczędzić sobie drogi w przebieganiu całych plastrów, w niektórych miejscach przewiercają pszczoły otwory.

Każda komórka przeznaczoną jest na kolebkę młodéj pszczółki, lub spiżarnię, w którą składają czysty miód, i pyłek kwiatowy miodem zarobiony, zwany chlebem pszczolim, dlatego że im w pierwszych chwilach życia za posiłek służy.

Pszczoły szczególniéj przywiązane są do porządku i spokojności, dlatego starają się o to by nie mieszkać w zbytecznéj liczbie; — jeżeli bowiem rój zanadto się pomnoży, jeśli jeszcze w jednym ulu znajdzie się dwie lub więcéj matek, a ztąd powstaną niesnaski — cały rój dzieli się na partje; z tych jedna z nową matką pozostaje w ulu, inne zaś z matkami opuszczają dawne mieszkanie, i gdzieindziéj starają się o robotę i siedlisko.

Rozdzielenie to zowie się *rojeniem.* — Rojenie odbywa się szumnie i wesoło. — Najprzód brzęcząc ochoczo pszczoły wylatują pojedynczo przez otwór, potém coraz więcéj uwija się ich przed

wyjściem, to wchodzą, to wychodzą z ula, kręcą się niespokojnie jakby oczekując czegoś, nakoniec, jak gdyby odebrały hasło do pochodu, najadłszy się ile tylko można na drogę, wysypują się tłumnie wszelkiemi otworami, unoszą się w powietrzu, dopóki wszystkie które się na przesiedlenie zgodziły nie opuszczą ula.— Wtedy ruszają wesoło i uleciawszy kilkanaście kroków siadają kłębem na płocie, drzewie lub ziemi dla naradzenia się w którą lecieć stronę, ale wtenczas, czatujący już pszczolarz zabiera je w koszyk i w nowym ulu osadza, inaczéj odleciałyby bez powrotu.

Osiadłszy w nowém mieszkaniu nie tracą ani chwili napróżno, i natychmiast biorą się do pracy.— Oglądają wszystkie ściany, kąty i otwory, wynoszą nieczystości, lub je okrywają *zasklepem* czyli wonną balsamiczną massą z pączków topoli zebraną; tymże samym pokostem obciągają ściany, zalepiają niepotrzebne otwory, i zbyt wielkie zmniejszają.— Inne tymczasem zakładają fundamenta i wznoszą budowle, przyrządzają komórki, napełniają je zapasami a spojrzawszy wewnątrz ich szczupłego mieszkania trudno pojąć, jak małe te istotki umieją korzystać z czasu, jak wspólnie dopomagają sobie.

Ledwie wschodzące słońce oświeci ziemię i zajrzy do okienka, już pszczółki spieszą co żywo,

każda dąży w wiadomą sobie stronę po zbiory, nie czekając aż zupełnie rosa obeschnie, zwiedzają źródła swoich dostatków, zaglądają w kwiatki rozstrzępiają ich liście, wysysają miód, i szybko przelatują na inny;— albo też naładowawszy co można pyłku w koszyki u nóżek, i całe się w nim utarzawszy by od razu zabrać jaknajwięcéj, wracają obciążone do ula.— Tam przy wnijściu wybiegają naprzeciw nim pozostałe towarzyszki, zdejmują z nich ciężar, i niosą gdzie potrzeba; nieraz nawet w drodze już ulżewają im brzemienia, a wszedłszy do ula, karmią głodne i zmęczone.— Nigdy dwie pszczółki nie poklócą się o zbiory, jeżeli lecąc około kwiatka widzi jedna że tam już druga plon zbiera, nie siądzie obok niéj ale leci daléj.— Taż sama zgoda i wewnątrz;— jedne składają miody, inne budują celki, inne jeszcze chodują gąsieniczki z których wkrótce siostry im się wylądz mają, inne nakoniec posługują matce, otaczają ją dokoła z uszanowaniem główkami się do niéj obracając, i towarzyszą jéj wszędzie gdzie się tylko wyruszy.

Pilne i zamożne robotnice znają dobrze że chciwi na ich skarby nieprzyjaciele czatują bez ustanku, dlatego jakby w obronném mieście pszczoły odbywają kolejno straż przy wszystkich otworach ula, poglądają bacznie co się dzieje

zewnątrz, i bronią każdemu przystępu; gdy zaś same napastnikom podołać nie mogą wzywają pomocy, a wnet przybywają posiłki, i dzielnie odpierają najście. — Nie patrzą one ani na siłę, ani na liczbę nieprzyjaciół, niech tylko człowiek albo zwierz ukaże się z zamiarem szkodzenia przed ulem, pierwsza z stojących na straży uderza nań odważnie, raniąc prosto w twarz, a nawet pod oczy; — jeżeli napastnik odstraszony odejdzie, pszczółka zakręciwszy się powróci na swoje miejsce, i pilnować będzie czy się czasem gdzie nie zasadził.— Jeżeli jedna się za nadto, zapędzi i nie prędko powraca, spieszą jéj wnet inne na pomoc, wspierają w walce lub mszczą się za nią.— Matka również nigdy nie przyjmie obojętnie tego co jéj dzieci obchodzić może, zapukać tylko w ul, a natychmiast biegnie ona jakby chcąc się przekonać zkąd niepokój pochodzi; pszczoły straż jéj składające wybiegają otworem na wierzch, okrążają ul dokoła dla przekonania się kto je napastuje i drażni, lub czy niema rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Ale téż, jeżeli jedna drugą żywo broni i ujmuje się za nią, tak wszystkie gotowe są poświęcić się za matkę; zasłaniają onę własném ciałem, a jeżeli czasem w zimie zabraknie w ulu miodu, wolą wszystkie wymrzeć z głodu byle ostatnią kroplę dla matki zostawić.— W przy-

padku śmierci matki, smutny w całéj rodzinie ukazuje się widok;— niema wesołego szmeru, czynnego ruchu, ciche tylko i pojedyncze odzywają się głosy; pszczoły siedzą cicho skupione jakby martwe, lub łażą po ulu błędnie i obojętnie, nie drażnią się nawet przytomnością ludzi lub zwierząt, jakby były w przekonaniu że niemają nic tak kosztownego coby bronić należało. Tak więc we wszystkich krokach pracowitéj gromadki nie znać śladu miłości własnéj, widoków osobistych, wszystko zmierza do ogólnego dobra, wszystko się zasadza na miłości rodzinnéj.— Jakiż to przykład dla ludzi! jak często zawstydzićby nas mógł maleńki skrzydlaty owadek.

Za nadejściem zimy, pszczoły skupiają się u wierzchu ula między plastrami, i niepracując już, ale mniéj niż zwykle jedząc, przykrą tę porę przebywają.— Nie drętwieją one jednak jak inne owady, owszem, im bardziéj dokucza im zimno, tém więcéj biją skrzydłami dla zagrzania się, tém głośniejszym brzękiem oczyszczają ściśnione powietrze.

O bogdajbyśmy biorąc pszczółki za wzór do naśladowania starali się nawyknąć do pracy, zgody, miłości dla bliźnich, i tylu szacownych przymiotów któremi je szczodra obdarzyła natura, a które my ludzie pracą tylko i usilnością nabyć możemy.

P. K.

PODRÓŻ ZA ROGATKI

(wyjątek z dzienniczka).

Całe życie przepędziwszy w Warszawie, z opisów tylko znam wiejskie przyjemności; nieraz czytając jak to się wolniéj sielskiém oddycha powietrzem wzdychałam do niego— prawda że długo napróżno— ale téż tego roku na pewno już ułożyli rodzice, że całe lato przepędzimy w Mokotowie.— Nacieszyć się tą myślą nie mogę— prawda że Andzia i Julcia które każdego lata aż pod Kraków do babki jeżdżą, śmieją się z tego co ja wsią nazywam— prawda i to, że w owém letniém mieszkaniu nie tak nam wygodnie jak w Warszawie będzie— jednakże ja się cieszę serdecznie nowością— a więcéj jeszcze nadzieją, że kochanéj mamy zdrowie wzmocni się może zdaleka od turkotu miasta, od kłopo-

tów gospodarstwa.— Tak! ale prócz tego czyliż ta kochana mama mało ma z nami trosk i kłopotów! Widzę ja to dobrze — chociaż niby staramy się wszyscy żeby nic złego nie zrobić, choć u mamy na ustach zawsze taki serdeczny uśmiech, przecięż, nieraz znajdzie się chwila że na jéj czole marszczki się zbiorą, a w oku łza zabłyśnie. — O! gdyby to można takich chmurek uniknąć! — gdyby wszystko co się w nas mamie niepodoba, można porzucić na warszawskim bruku — jakżebym się cieszyła! — Siostra i bracia dzielą moje chęci — może nam się też to uda.

w Mokotowie.

Wczoraj wyjechaliśmy z Warszawy!— O! tak zupełnie! — z książkami, lalkami, pościelą, sprzętami, słowem, z całym taborem jaki dla dziewięciu osób i osóbek koniecznie jest potrzebnym — mówię koniecznie, bo mama postanowiła nic zbytkowego nie brać ze sobą.

Przez cały dzień zabierano sprzęty, wypróżniało się mieszkanie, i niecierpliwie oczekiwaliśmy chwili wyjazdu; kiedy już zabrano skrzynię z naszém dzieciuném bogactwem, smutno i tęskno

nam się zrobiło, nie pojmowaliśmy, jakim sposobem żyliśmy dotąd w tych ścianach gdzie teraz tak się każde słówko szeroko rozlegało, tak pusto, tak nie miło było.— Nakoniec zaszedł powóz— przeżegnaliśmy się i zaczęliśmy wsiadać.— Na usilne prośby nasze, mama przystała abyśmy wszyscy zabrali się od razu— zdawało się że to nie tak trudno będzie, bo powóz obszerny, a my nie tak wiele potrzebujemy miejsca; ale pokazało się inaczéj. Jużeśmy się usadowili wszyscy i było nam— wygodnie, bo się jedno na drugiém wspierało;— alić wynoszą jeszcze ogromną torbę mamy, w któréj klucze, kluczyki, koszyczek od pończochy, i różnych drobnostek moc niezliczona.— Obejść się bez tego wszystkiego niepodobnaby ani na chwilę, znalazło się zatém miejsce na torbę— lecz widok jéj, przypomniał nam mnóstwo zapomnianych jeszcze rzeczy— dalejże każde wołać o swoje;— mnie żal było ślicznéj krystalinki (1) którą już od roku hoduję:— ona tak wiele wody potrzebuje! gdyby téż jutro zapomniała służąca podlać ją rano! Mama pozwoliła mi wziąść ją w rękę, a ponieważ siedziałam na przodzie, nie przeszkadzało to niko-

(1) Roslina któréj zielone liście pokrywają pęcherzyki czystą wodą napełnione, nadające im podobieństwo kryształu

mu. — Zosia zapotrzebowała swojéj komódki, gdyż lalka nie mogłaby się bez nocnego ubrania spać położyć— wstawiono ją pod nogi— Kazio chciał w ręku trzymać biczyk i konika, Lucio bębenek— mały Staś płakał wołając swojéj „kizi“ — podano i tę do powozu ku wielkiemu jéj zadziwieniu— Już téż zdawało się że ani szpilka niezmieściłaby się więcéj— już stangret poruszył lejce, konie tupnęły nogami— aż w tém wybiega niańka.— „Proszę pani“— zapomnieliśmy włożyć na furę biegunów od Stasiowego łóżeczka, jakże go uśpimy w Mokotowie?— Unosimy się zatém znowu, i bieguny wcale nie elastyczne zajmują miejsce ławeczki do tuzina nóg naszych.— Jedziemy więc?— nie jeszcze! Jakóbowa wychodzi z ogromną bułką chleba i miseczką soli. — „Ach! jejmość kochana, jakże to zaś na nowe mieszkanie jechać bez chleba i soli? — Zabieramy zatém dar boży, i przecięż wyruszamy z bramy: — na wielkie szczęście, bo kiedyśmy już na końcu ulicy byli, ujrzałam jak służąca powiewała przed domem jakiemiś salopami, któremi pewnie zabezpieczyć nas chciała — od 20 stopni ciepła.

Szybko przebyliśmy aleje, a choć nam doprawdy wcale nie było przestrono, droga odbyła się wśród żartów i śmiechu.

Przy rogatkach—chłopcy nasze wesołym wykrzy-

kiem pożegnali Warszawę, a w kilka minut potém, stanęliśmy przed wiejskiém mieszkaniem.

Zdziwiłam się trochę na widok ładnego murowanego domu — zdawało mi się że na wsi takie tylko bywają chatki, jakie nieraz na rycinach widziałam. — Ale mniejsza o dom! — przed nim śliczna łączka miejsce dziedzińca zajmuje, w samym środku stoją trzy lipy, których szerokie gałęzie splatając się przyjaźnie tworzą chłodną, zieloną altanę, daléj — ogród nie tak ładny jak warszawskie, ale milszy, bo bez murów, niskim tylko płotkiem otoczony, a za nim szerokie pola, zieloném jeszcze zbożem pokryte, i łąki po których bydło ryczy wesoło.

Poznaliśmy się już z gospodarstwem naszém, byliśmy w obórce, kury, kaczki i perlice biegające swobodnie po dziedzińcu uraczyliśmy ziarnem, z dwoma ogromnémi, na łańcuchach przywiązanémi psami poprzyjaźniliśmy się za pośrednictwem grubéj kromki chleba, i już jesteśmy u siebie.

Wieczorem, kiedy się już wszystko uciszyło, otworzyłam okienko w mojéj izdebce, — rozłożysta akacja ocienia je zupełnie, a szum tych drobnych listków, zapach pączków, i świeżość jakaś w powietrzu, tak miłe na mnie zrobiły wrażenie, że zamiast iść spać, siadłam sobie w oknie, żeby się tą niezwyczajną dla mnie ci-

szą, tym widokiem obszernych pól nacieszyć.— Z boku przy drodze stoi murowana figura, czyli kolumna, na któréj szczycie wizerunek Chrystusa przywiązanego do słupa,— księżyc świecił jasno, widziałam wszystko wyraźnie, i rozrzewnił mię widok kilku wieńców i bukietów z polnych kwiateczków pobożną przechodniów ręką u stóp figury złożonych.— To sąsiedztwo, więcéj jeszcze nadaje ceny naszemu mieszkaniu, tu już prawdziwie na wsi jesteśmy!— Modliłam się gorecéj jak zwykle, a dziś rano najpiękniejszą gałązkę krystalinki, złożyłam pokornie przy wiązce czeremchy, którą mały pastuszek przed świtem jeszcze idąc z trzodą na pole, zatknął w ceglaną figury podstawę.

Mokotów.

Jużeśmy zwiedzili prześliczne okolice siedziby naszéj — sąsiedni pałac i zwierzyniec mokotowski, Sielce — Wierzbno co się tak wdzięcznie po wzgórzach rozsiadło, i z rozlicznych w cudzoziemskim smaku zbudowanych domków tak ciekawie spogląda na szmaragdowe łąki zstępujące ku Wiśle, i na błękitną wstęgę téj rzek naszych

królowéj.— Wszystkie te wycieczki odbywamy pieszo, i cieszymy się niewymownie czując pod nogami zamiast ostrych kamieni miękki piasek, nad głową zamiast parasolek widząc cieniste kasztany, dokoła zamiast ścian kamiennych otwarte pole, i unoszące się w słoneczném świetle kolumny z drobniutkich komarów złożone, które spieszą, tańczą, wiją się niby bez celu, i brzęczą tak wesoło— szkoda jednak, że i tak dotkliwie gryzą.

Wczoraj zamiast przechadzki odbyliśmy przejażdżkę, i to od rana, na cały dzień wybraliśmy się liczną gromadą do Wilanowa.

Wyjechaliśmy zaraz po śniadaniu, i zdążyliśmy jeszcze na ranną mszę do wilanowskiego kościołka; oprócz naszego towarzystwa nie wielu było modlących się;— jest to czas gdzie w polu i ogrodach liczne bywają roboty, kmiotkowie zatém równo z dniem opuszczają domy, a Stwórca pewnie prośby ich i tak mile przyjmuje, boć:

„Najmilszą Mu się zdała
„Pracującéj ręki chwała.“

Po szczeréj modlitwie wyszliśmy z kościoła, i wyznaję że nie przypatrywałam mu się wcale w czasie nabożeństwa, a potém rodzeństwo moje tak się śpieszyło do ogrodu o którym tyle słyszeliśmy opowiadań, że nie miałam serca zatrzy-

mać ich dla zaspokojenia mojéj ciekawości.— Poszliśmy zatém do ogrodu— jeżeli ogrodem nazwać można obszerny kawał ziemi, na którym znajduje się wszystko, co tylko człowiek mógł wymyśleć by swoje mieszkanie uprzyjemnić i ozdobić.

Chińska altana, prześliczne kląby, cudzoziemskie drzewa i kwiaty w pomarańczarni, mosty, z których jeden na linach zawieszony, łazienka, posągi, migająca w dali umyślnie zbudowana ruina,— daléj jeszcze kształtne ściany pałacyku przedstawiają się zdziwionemu oku koleją; pojmuję że wszystko to przy dostatkach i dobrym smaku wszędzie utworzyć można;— ale w wilanowskim ogrodzie są rzeczy, których za pieniądze nabyć nie podobna— odnoga pysznéj Wisły udzielająca uprzejmie wód swoich do ozdoby miejsca, i topole sadzone ręką Jana III.

Z uszanowaniem poglądaliśmy na te olbrzymy, mierzyliśmy obwód obejmując stopy ich pni rękami, liczyliśmy je— niestety! już ich tylko dziewiętnaście stoi— czas co nic nie oszczędza powalił resztę.

Nachodziwszy się po krętych ulicach ogrodu zasiedliśmy na ławce tuż nad brzegiem Wisły, i rozmawiając spoczywaliśmy w chłodzie.— Coraz to ponad wodą błysnęła białém skrzydłem zwinna rybitwa, a zanurzając się dziobem, chwytała

pewno rybki igrające na powierzchni rzeki, i odlatywała z pośpiechem.— Nad nami wśród topolowych liści słowik wyśpiewywał głośno; widzieliśmy go wyraźnie, i on nas widział zapewne, bo coraz zchylał główkę ku ziemi, i jakby uradowany że tylu i tak uważnych ma słuchaczów na nowo rozwodził śpiewy.— Chłopczyk jeden z naszego grona chcąc się przekonać czy też słusznie słowików o ciekawość posądzają, podbiegł pod topolę na której siedział nasz śpiewak, i z wielkiém niby zajęciem, począł patyczkiem kopać w ziemi dołek; zaledwie odszedł, ptaszyna w milczeniu już i oglądając się ciekawie zeskoczyła na niższą gałązkę;— wyciąga szyjkę, pogląda na nas i znów się zbliża do ziemi, ciekawość widocznie walczy z obawą, walczy długo, upornie, i nakoniec— zwycięża— słowik pomimo obecność naszą skoczył na ziemię, zajrzał w dołek, i nic nie znalazłszy odleciał.— Ale napróżno czekaliśmy czy nam jeszcze nie zaśpiewa— oddalił się w inną stronę ogrodu, zawstydzony może, że przed obcymi wydał się z wrodzoną wadą.

Uprzejmy ogrodnik pozwolił nam obejrzeć rozliczne kwiaty hodowane w szklarni, między któremi trzydzieści prawie odmian róży, mnóstwo kaktusów, tulipanów i narcyzów— poszliśmy na drugą stronę ogrodu, gdzie na trawniku rozło-

żono namiot pod którym Jan Sobieski zwykł był w obozach przebywać — teraz wnętrze jego zastawione sofkami i taburetami służy za przyjemne w czasie upałów schronienie.

Było około południa; — zostawiając sobie na późniéj obejrzenie pałacu i osobliwości jego, wyszliśmy na wieś, i wstąpiwszy do chałupy przed którą czysto pomyte dzieci igrały, z pozwoleniem gospodyni, rozłożyliśmy się w sadzie między staremi gruszami, i wydobywszy przywiezione zapasy, powiększone świeżutkiém mlekiem, i śmietaną, chlebem razowym, i białym jak kreda wilanowskim serem, zabraliśmy się czynnie do obiadu.

Gospodyni, w podeszłym już wieku kobieta miała twarz przyjemną, w obejściu nie widać było grubéj prostoty, a ubiór chociaż wieśniaczy zamożność okazywał. — Krzątała się uprzejmie podając nam to miski, to łyżki drewniane, to sól w drewnianéj stępce tłuczoną, i uśmiechała się życzliwie, patrząc na nasz apetyt. Ojciec, który równie przykładem jak słowy uczy nas szanować stan wieśniaczy, zaprosił włościankę do biesiady, którąśmy sobie tak ochoczo w jéj zagrodzie wyprawiali.

— Bóg zapłać jegomości! odpowiedziała: my już po obiedzie; — ale kiedy państwo pozwolą to sobie tu blisko usiądę, i popatrzę na te jagódki,

na dzieciaczki, co się tak cieszą i śmieją że aż serce rośnie człowiekowi.

I usiadła na trawie blisko nas.

— Czy to wasze dzieci? spytała mama wskazując na igrające przed chatą chłopiątka.

— Wnukić to moja jejmościulku!— sierotki— córka mi umarła, zięć przy gospodarce niedałby sobie z robakami rady, przyjechałam też do niego aż z pod Żółkwi, i tak z łaski Boga żyję tu jak można.

— To z tak daleka jesteście gosposiu.

— Tak, tak— moi rodzice w Żółkwi mieszkali, a dziadek był gajowym u króla Jana, ale ja go nie pamiętam.— Wiem tylko że nieraz przyjeżdzał do króla kiedy w Wilanowie mieszkał, kiedy to tu jeszcze wcale inaczéj być miało— i że nawet raz smutny mu się zdarzył przypadek.

— Jakiż to? jaki? zawołaliśmy na wyścigi.

— Oto tak było:— poczęła opowiadać kobiéta— mój dziadek jak mówiłam był gajowym w żółkiewskich borach. a że go król nieboszczyk co często w Żółkwi bawił znał i lubił, to jak jeno się zdarzyła jaka liczniejsza wysylka do Warszawy albo Wilanowa, zaraz go wyprawiano.

Jednego razu, przyjechawszy tutaj, jak oddał Królowi Jegomości paki i papiery, poszedł sobie do folwarku, bo tam miał rodzoną siostrę za

ekonomem, kobietę z głową, wielką gospodynię, i na całą tutejszą stronę głośną z szczęśliwego hodowania drobiu— a tego niemało na królewski stół było potrzeba.— Otóż tedy— siedzą sobie wieczorem, gadają to o tém, to o owém, mój dziadek wypytuje się co też tu słychać około bydła i drobiu, bo blisko Żółkwi wtenczas zaraza panowała;— a ekonomowa zaczyna się żalić, że u niéj nie choroba ale zwierz jakiś kurnik nawiedza— czy to mówi pozamykam, czy psy spuszczę, czy stróża postawię, zawsze rano brakuje mi to kapłona, to kury, i to najtłuściejszéj, aż mnie wstyd nieraz, że na pański stuł chudziaki zabierają, a co lepszego jakaś poczwara zjada.

— Pewnie tchórz lub kuna— mówi mój dziadek, bo to zwinne i łakome strasznie!— Ale czekajcie pani siostro, kiedy wam nikt rabusia wypatrzyć nie może, to ja go wypatrzę— przecież nie darmo w lesie żyję, żeby się nawet po najmielszym piasku czołgało zwierzę już ja go posłyszę.— Jéno— nie spuszczajta psów z wieczora, żeby mi licha nie spłoszyły.

Po wieczerzy, kiedy się już wszyscy w folwarku spać pokładli, dziadek mój wyszedł sobie na podwórze przewiesiwszy strzelbę przez ramię, wziął do tego gruby kij sękaty, i począł pacierze odmawiać, a razem nadstawiał wprawnego ucha czy się co do kurnika nie skrada.— Miał

to być ciemny wieczór, ciężkoby co zobaczyć, ale gajowy słuch miał bystry— posłyszał że cóś pełza około sadzaweczki co w środku podwórka była.— Po stąpaniu poznał że to nie pies; jak się więc zamierzył sękowcem, jeno mu cóś pod ręką jęknęło.— Schylił się, poszukał po ziemi, i podniosłszy zabite zwierzę poszedł pomału ku folwarkowi.— Ekonomowa usłyszała jego przyjście.

— A co panie bracie? pyta z alkierza.

— Mam rabusia! odrzekł mój dziadek, ale skrzeszta ognia, bo ręką poznać nie mogę co to za zwierz, ani tchórz, ani kuna.

Siostra skrzesała ogień— wybiega patrzeć na swego nieprzyjaciela— ale— ledwo spójrzała, ujęła się z frasunkiem za głowę:

— Jezus Marja! a cóżeś to waść najlepszego zrobił! toćże to ulubiona wydra Króla jegomości!— Mężu, patrzaj!— wody! octu! może ją docucim.

Gdzie tam! dziadulo miał ciężką rękę, wydra nie ożyła.— Dopieroż lament i frasunek w folwarku— dopieroż ekonomostwo opowiadać jak król Jan dostawszy od szlachcica jednego dziwnie oswojoną wydię, strasznie się do niéj przywiązał,— jak ona każde słowo rozumiała, jak łowiła ryby na rozkaz— sypiała w nogach królewskiego łoża— cóżto dopiero będzie jak się jéj śmierć do pałacu doniesie!

— Moja siostro! nie mówtaż nic nikomu o téj przygodzie, powiedział dziadek, boby to i mnie i wam było nie na rękę— a teraz idźwa spać.

Gospodarstwo natrapiwszy się jeszcze chwilę usnęli, ale gość ich zabrał swoje manatki, osiodłał szkapę, i w rzeczy z pośpiechu wyjechał.— Nazajutrz zaś wśród pola znaleziono wydrę nieżywą;— zabójcy nie można było wyszukać.

— Jakaż to szkoda! zawołaliśmy wszyscy że tak oswojone i miłe Królowi zwierzę marnie zginęło.

— „Oj tak! bardzo się pono smucił Król Jegomość— ale czas— to na wszystko doktór,— a było téż panu nie o jedném myśleć.“

— I nie dowiedział się wcale kto mu taką przykrość wyrządził.

— Dowiedział się.— We dwa lata cóś potém trafunku, siedział przed pałacem Król Jegomość, przy nim królowa, i królewicze— aż tu przynoszą z Żółkwi jakieś papiery.

— A któż z tém przyjechał?

— Grzegórz, gajowy; powiadają.

— Niechno tu przyjdzie!

Dziadulo nieśmiało przystąpił, kłaniał się aż do ziemi, a czapkę w ręku obracał, bo mu przed oczami ciągle zabita wydra leżała.

— Cóż to ty Grzelo! tak się chronisz przede-

mną? powiedział dobrotliwie król:— ani z tobą o lesie, ani o zwierzynie pogadać.

Już téż dziadek wytrzymać nie mógł;— padnie dopiero Królowi do nóg.

— Ach panie! ach ojcze! jam Waszéj Miłości taką krzywdę wyrzędził— nie śmiem i oczu podnieść nieszczęśliwy.

— No! no! wstań już, wstań! cóż to za straszna krzywda?

— A taż wydra!...

Król Jan zachmurzył czoło:

— A bratku! toś to ty moją wydrę zabił!

Dziadek opowiedział jak co było, a Król już przebłagany powiedział:

— Miałeś rozum żeś uciekł— bo jakby się było wykryło— w gorącym razie obiecałem sto plag zabójcy.

— Zasłużyłem! zasłużyłem ojcze! wołał dziadek, i teraz gotów jestem na tę samą karę.

— Musisz mnie stary z tego długu zkwitować— powiedział Jan trzeci, a na drugi raz nie bij zwierza po nocy.

I od téj pory, znów Grzela był w łaskach i estymie u pana.“

Podziękowaliśmy uprzejméj kobiecie za jéj opowiadanie, i zapłaciwszy należytość za nabiał, udaliśmy się do pałacu, rozmawiając o bohaterze,

którego pamięć z każdego kącika ulubionego mu siedliska tak żywo jeszcze odbłyska.

Pałac wilanowski piękny zewnątrz, a w środku wspaniały, nie odrazu takim stanął jakim jest dzisiaj. — Wiadomo że tatarscy i tureccy jeńcy pracowali około jego budowy, ale było też tam pracy nie mało, zaczém się wyrównał grunt, zaczém wzniesiono murowany taras, który górnego ogrodu od wylewów dziwacznéj Wisły broni.— Król Jan kazał tylko wystawić tę część która dzisiejszy korpus tworzy— skrzydło jedno zbudowali Sieniawscy, drugie Lubomirscy, w których posiadanie przeszedł Wilanów.

Pokoje w których król wojownik przemieszkiwał, zachowane są dotąd w stanie takim, w jakim były za jego życia;— dziedzic teraźniejszy czując że miejsce takie do całego kraju należy, dozwala każdemu oglądać przedmioty służące niegdyś obrońcy chrześcijaństwa.

Zaraz od bocznego wnijścia jest sala jadalna marmurem wykładana— na środku ogromny stół, na nim księga w którą odwiedzający wpisują swoje nazwiska;— myśmy naszych nie wpisali— cóż znaczą imiona nasze w starym Wilanowie!— Na boku téj sali stoi wielki bufet— na nim srebrne, kryształowe, i z malowanego szkła puhary— Jeżeli one do picia rzeczywiście służyły, to dawniéj u nas i pragnienie i siłę ogromną

miewać musiano— najmniejszy bowiem z tych kufli dwie kwarty w sobie zawiera.— Dokoła ścian pozawieszane są portrety królów i ich żon od czasów Władysława IV, i współczesnych im hetmanów.

Z téj sali wchodzi się do przybytku osobliwości.— Salka marmurem wyłożona obejmuje różne rzadkie i kosztowne przedmioty.— Naczynia etruskie wykopane z Herkulanum stoją na stołach, jakby zdziwione że po tylu wiekach ukrycia wydobyte z głębi ziemi, znów stoją przed ludźmi, obcymi sobie mową i obyczajem, podziwiającymi to, co niegdyś do prostego służyło użytku.— Na suficie prześliczne malowauia na porcelanowych medalionach; w szafach rzeźby delikatne ze słoniowéj kości, muszle niezwyczajne, mumje egipskie— naczynia porcelanowe— taca z agatu po Zygmuncie Auguście— szkatułka hebanowa podręczna Marji Kazimiry, miecz króla Jana; model bronzowy przedstawiający sławny posąg Mojżesza przez Michała Anioła wykonany, i biórko hebanowe perłową macicą wykładane, z niezliczoném mnóstwem szufladek półek i kryjówek, którą papież Innocenty przesłał Sobieskiemu po zwycięztwie pod Wiedniem.

Niewielki pokój o dwóch staroświeckich zegarach następuje potém; na kominku marmurowym poustawiana chińska porcellana, osobliwszéj

brzydkości, co jednakże ma wartość jéj stanowić.— Na środku długi stół drewniany skórą wyklejony, na którym Jan III pisywał; na skórze mnóstwo znać plamek z atramentu; patrzyłam na nie z prawdziwém ukontentowaniem jako na dowód: że Sobieski także jak ja niebardzo uważnie pióra maczał w kałamarzu.

Do tego pokoju przytyka gabinecik Marji Kazimiry, którego ściany wykładane są laką, czyli massą jakąś, mającą barwę złotawą na któréj rozliczne chińskie figury, uwijają się pieszo i konno.— Dziwny to lud być musi— chyba że całe życie w krzesłach spędzają, bo jakżeby chodziły kobiéty na tak maleńkich nóżkach, mężczyźni z tak długiemi, śmiesznie zakręcanemi trzewikami!

W drugim takimże gabineciku stoją dwa machoniowe bióreczka, które podobno były królewiczów własnością.— Daléj— salonik zwierciadlany— wielkie szafy w murze całe ze zwierciadeł, i w takiejże oprawie dwa zegary staroświeckie.

Gotowalnia Marji Kazimiry— musiała dawniéj byś świetniejszą; dziś na stoliku na którym się buja niewielkie zwierciadło stoją tylko cztery blaszane pudełka;— tuż obok biórko, w dawnych nawet czasach znakomite zapewne liczbą szufladek i skrytek.— Na ścianach portrety familijne, dwaj

królewiczowie na koniach, i Kunegunda Teressa Sobieska Elektorowa bawarska.

We wszystkich pokojach prześliczne malowania, lub bogate obicia, w jednym z gabinetów na suficie wyobrażono Florę z orszakiem, ma to być portret Marji Kazimiry.

W jednym saloniku oprócz olbrzymiej, orzechowéj, starannie wyrzynanéj szafy, i osobliwych biórek, zajęło mnie nieduże malowidło nad kanapą zawieszone, — Król Jan III z rodziną— Jak téż miło spojrzeć na ten obraz, kiedy tak dokładnie wiemy że on z natury malowany— że Sobieski serdecznie kochał żonę i dzieci, pieścił się z nimi, i nawet w listach z pola bitwy pisanych, nie przepominał o przydomkach nadanych im w chwili wesołego żartu.

Ztąd na jedną stronę wychodzi się do pokoju, albo raczéj do przysionka wyłożonego białym marmurem, w którym w szklannych szafach stoją starożytne srebrne naczynia,— na drugą zaś stronę otwierają się drzwi do galerji obrazów.

Nieznam się jeszcze na malarstwie, nie umiałabym ocenić należycie arcydzieł sztuki zebranych w wilanowskim pałacu, jednakże dla pamięci, muszę tu wspomnieć o niektórych obrazach, dla tego że na mnie mocniejsze od innych uczyniły wrażenie.

Matka boska trzymająca na kolanach zmarłego syna, tyle ma boleści w twarzy, taki wyraz głębokiego strapienia, że patrzącemu na ten obraz serce się ściska z żalu i łzy do oczu się cisną.

Sąd Salomona bardzo delikatnie malowany na słoniowéj kości, znać że dawny;— zajęła mnie bardzo matka zrzekająca się uścisków dziecięcia byle mu życie ocalić.— Och! te matki! oneby się wszystkiego dla naszego szczęścia wyrzekły.

Herodjada trzymająca uciętą głowę S. Jana zgrozą i przestrachem przejęła nas wszystkich. — W twarzy świętego znać jeszcze wyraz ciężkiego cierpienia, a na młodém licu dziewczynki wesołość osiadła, uśmiecha się z radości że wypełniono jéj życzenie!— Nie wiedziała chyba co to za zbrodnia pozbawić życia bliźniego? o! pewnie— bo inaczéj, nie śmiałaby się przecież.— Wypełniła tylko rozkaz bezbożnéj matki.— Biedna! Ale jakże? ten widok ściętéj głowy, ta krew, ta bladość czyliż żadnego na jéj sercu nie zrobiły wrażenia?— cóż to za serce być musiało?— O! odwróćmy oczy od tego płótna!

Kilka jest obrazów wystawiających *S. familję* podobały mi się wszystkie— Jeden szczególniéj, gdzie dwie dziecięce głowy zbliżone uśmiéchają się— obie twarzyczki śliczne, ale jakaż w wyrazie różnica! jedno z tych dzieci ma spojrzenie bo-

skie, drugi święte tylko.— Jakżeby się tu ziemskie wydało? ale tego niema w całym obrazie!

Rubensa *Ucieczka do Egiptu* zatrzymała mnie także długo.

Portrety *Zygmunta Augusta* i *Władysława IV* malowane (jak mówią) z natury, i wiekiem, i przedmiotem, i samém wykonaniem bardzo dla nas szacownémi być powinny.

Córka Cymona karmiąca ojca w więzieniu, przypomniała mi historję grecką o któréj wyznać trzeba że zapomniałam trochę od czasu opuszczenia Warszawy.— Prosta i piękna myśl— matka powierzająca dziecię swe obcéj ręce, byle dopełnić dawniejszego córki obowiązku.

Andrea del Sarto dziecię obejmujące białego ślicznego baranka, a buzia dziecięcia tak wesoła, tak świeża, że niechce się odejść od tego obrazka.

Gdyby téż kiedy znawca jaki przeczytał te moje notatki, uśmiałby się pewno serdecznie z mojego smaku— ale téż nie piszę tego bynajmniej dla obcych, nie zbieram uwag nad sztuką, tylko po prostu chwytam wrażenia jakich dusza moja za pośrednictwem nieumiejętnego oka doznała, i przykuwam je do téj kartki, żeby je potém odświeżyć w umyśle.

W galerji téj mnóstwo jest osobliwości, rzeźby alabastrowe i marmurowe, starożytne hełmy, i inne tym podobne przedmioty, na których jednak wcale a wcale się nie znam, i dla tego minęłam je obojętnie.

Na górze w pałacu są jeszcze cztery pokoiki ubrane, a raczéj zapełnione porcellaną — wolno je oglądać, ale że się już zbliżało ku wieczorowi, zrzekliśmy się zaspokojenia po tym względem ciekawości naszéj.

Wracając, spoczęliśmy w cienistéj ulicy prowadzącéj do ogrodu, a potém wyszedłszy na trawnik co się jakby kobierzec przed pałacem rozściela, zwiedziliśmy stojący w środku pyszny marmurowy grobowiec, wystawiony w kształcie sarkofagu, na którym dwie postacie spoczywa— wierzch jego stanowi kształtnie wyrobiony baldakin, pewno także z marmuru, a po bokach znajdują się napisy:

„Alexandra Hr. Potocka córka Stanisława X. Lubomirskiego Mar. Wiel. Kor. i Izabelli z XX. Czartoryjskich Lubomirskiéj małżonki St. Potockiego.

Urodziła się.

Umarła w Krakowie dnia 19 marca 1831. szanownéj pamięci matki Hr. Alexander Potocki wzniósł ten pomik 1836 r.

„Stanisław Hr. Potocki syn Eustachego Potockiego Gener. Artyll. Litew. i Marji z Kątskich Potockiéj— za panowania St. Aug. poseł na wielu sejmach— Członek Rady nieustającéj— Gener. Art. Kor.— za X. Warsz. Prezes Komm. Rząd.— Senator Wojewoda, Prezes Rady Stanu i Ministrów. Za panowania wiekopomnéj pamięci Cesarza i Króla Alexandra I. Prezes Senatu, Minister Oświecenia i Wyz. Rel. Król. Polskiego. Urodził się 1756 r. umarł w Wilanowie d. 14 września 1821 r.

Szanownéj pamięci ojca Hr. Alexander Potocki wzniósł ten pomnik 1836 r.

Henryk Markoni architekt, pomnik ten projektował.

Konstanty Hegel rzeźbiarz r. 1836 pomnik ten uskutecznił:

Figury są roboty Jakóba Tatarkiewicza."

P. K.

DO CZYTELNIKÓW ZORZY.

Kończy się już rok drugi od czasu, jak za pomocą tego dzienniczka zaczęłyśmy do was dzieci ukochane przemawiać, już to was bawiąc, już ucząc, już pod postacią nieznanych wam towarzyszy napominając. — Przez ten czas, niejedną miałyśmy sposobność poznać jak mile przyjmowałyście nasze rady, jak umiałyście ocenić usiłowania nasze w dopomaganiu matkom i nauczy-

cielkom w łatwém i pożyteczném zajęciu wolnych chwil waszych.— O! wierzcie dzieci kochane! to przekonanie najmilszą nam jest za całą pracę nagrodą, i chociaż teraz okoliczności nie dozwalają nam nieprzerwanych z wami stosunków, nie żegnamy was na długo.— Widząc jak dobre myśli przyjmują się w sercach waszych, w jak piękne rozkrzewiają się cnoty, rozstajemy się z wami tylko chwilowo, zapewniając jednakże, że czyto w takiéj jak dotąd, czy w odmiennéj szacie, najlepsze nasze myśli, najszczerszą wesołość, poświęcimy waszéj korzyści i zabawie.

K O N I E C.

SPIS RZECZY

W TOMIE VI. ZAWARTYCH.

Proza.

Stron: